



DEC 28 '38

JAN 9 '39

JUL 12 '39

AUG 7 '40

JUN 24 '54

Data
wrotu



B 177
D 2729

Biblioteka
Związku

narodowego
polskiego
w Chicago

od autora.

Warszawa

25 Października

1927 r.





Stanisław Belza.

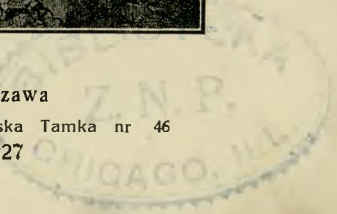
Echa Szwajcarji.



Warszawa

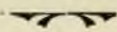
Drukarnia Loretańska Tamka nr 46

1927



Dzieła podróżopisarskie

Stanisława Bełzy

1. Jeden miesiąc w Norwegji.
 2. W Danii i z Danii.
 3. W Górach olbrzymich.
 4. Listy z Sycylii
 5. Obrazy Korsyki.
 6. Odgłosy Szkcacji.
 7. W Pirenejach.
 8. Pod niebem Dalmacji.
 9. Łądem i Morzem.
 10. Nad grobem wiekiego patrioty.
 11. W ziemi Maurów hiszpańskich.
 12. W wagonie i Karjoli po Norwegji.
 13. W zapomnianej stronie, (z pobytu na Kaszubach).
 14. W ojczyźnie Faraonów.
 15. Obrazy i obrazki Indji.
 16. Nad złotym Rogiem.
 17. W północnej Afryce.
 18. W Tunisie i na Malcie.
 19. W Bośni i Hercegowinie.
 20. Holandja.
 21. Na Lagunach.
 22. Za Apeninami.
 23. W dolinach krwi. (Lipsk, Waterloo, Solferino, Sedan).
- 



ECHA SZWAJCARJI

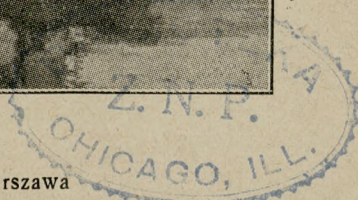




Stanisław Belza.

D 2729

Echa Szwajcarji.



Warszawa

Drukarnia Loretańska Tamka nr 46

1927

LUDOWI SZWAJCARJI, —

*który wiekowym wysiłkiem bohaterskich
swoich przodków, Ojczyźnie swojej wywal-
czył niepodległość,*

*i skruszywszy kajdany tyranów, opieką
gościnną łagodził nam, ciężko przez los
prześladowanym, Hiobową naszą, w jarz-
mie katów naszych dolę, —*

dzięki to,

*powstałe w czasie wielkiej ostatniej wojny,
która rządzeniem Opatrzności zmasała
„grzech śmiertelny Europy:“ zbrodnię roz-
bioru naszego kraju, —*

w hołdzie

składa autor.



AU PEUPLE SUISSE, —

*qui par l'effort séculaire des ses encêtres
héroïques, conqui l'indépendance de sa
Patrie,*

*et ayant rompu les fers des ses tyrans,
par sa tutelle hospitalière adoucissait à nous,
persécutés par le sort, dans le joug des
nos bourreaux, notre destin de Job,*

cet oeuvre,

*née pendant la dernière grande guerre, qui
grâce à la Providence, effaça „le péché
mortel de l' Europe:“ le démembrement de
la Pologne, —*

*offre en hommage
l'auteur polonais.*





ROZDZIAŁ I.

Wielkopolska Szwajcarów. Kolebka ich niezależności i kuźnia ich swobód. Legenda Tella. Lubo nigdy nie istniał, żyje i żyć będzie wiecznie. Głos krytyki historycznej. Ślepa wiara ludu. Pietyzm godny uczczenia.

Szwyc, Uri i Unterwalden, trzy niemieckie kantony przysiadłe ze wschodniej i południowej strony do jeziora Czterech Kantonów, w dziejach Szwajcarii odegrały tę mniej więcej rolę, co Wielkopolska w dziejach naszego kraju.

Były jej kolebką, kanwą na której zapoczątkowany został obraz jej konfederacji, kuźnią, w której trzeźwe głowy, żelazne ramiona i gorące serca, kuły ognia jedności narodowej, poszanowania praw człowieka, i na porządku opartej wolności.

Jak Wielkopolska nam Polakom, tak też one są ze wszystkich najdroższe każdemu Szwajcarowi, i gdy każdy z nich zamarzy o zaczątkach dziejowej swojej ojczyzny, jak my ku Gopflu i Warcie, tak on ku skałom Mythen, Stanserhornu i Pilatusa, kieruje wzrok swojego ducha, świadomy tego, że czem jest i co dziś znaczy, zawdzięcza tym wielkim dziejowym budowni-

czym, którzy nie gdzieindziej tylko tam właśnie, kładli fundamenta drogiej mu państwowości.

Dzisiejsza Szwajcaria na przestrzeni 739 mil kwadratowych, w kształcie owalu zalegająca najbardziej górzysty kąt zachodniej Europy, w zamierzchłych czasach była dziedzictwem Helwetów i Retów, a po ich wypędzeniu weszła do cesarstwa rzymskiego.

W czasie wędrówek narodów w piątym wieku po Chrystusie, Allemanowie i Burgundzi władali północnymi i środkowymi jej dzielnicami, podczas gdy południowo wschodnie, pod opieką króla Ostrogotów Teodoryka, żyły odrębnem od innych jej części życiem.

Około roku 1032, stanowi Szwajcaria posiadłość niemieckiego cesarstwa, dzieli jego losy ulega jego przewadze i wpływom.

Ale rządzona jest przez książąt Zaryngskich, którzy jej wiele dobrego wyświadczają, i jako założyciele miast Berna i Fryburga, w kronikach kraju zapisują się trwale i wdzięcznie.

W początkach 13 wieku, zasłużona ta Szwajcarji rodzina, w osobie księcia Bertolda V-go wymiera, rozpada się też cały kraj na mnóstwo małych dzierżaw, wolne miasta, gminy, opactwa i biskupstwa, wszystkie one przecież cieszą się jedynie połowiczną niezależnością, w rzeczywistości zaś są satelitami silniejszych o wiele panów.

Na północy Habsburgów, na południu hrabiów Sabaudji.

Habsburgowie powołani właśnie na tron

cesarzy niemieckich, ku większym niż szwajcarskie rzeczom zwrócony musieli mieć wzrok, rządy więc nad górską dziedziną zdali na swoich wójtów, zlewając na nich władzę, której bezpośrednio wykonywać nie byli w możności.

I stało się to, co się staje zwykle przy podobnych w rządzeniu zastępstwach.

Gdy tron cesarski zajmował książę ludzki i sprawiedliwy, władza jego wyręczycieli nie ciążyła nad jego poddanymi, ale biada im, skoro koroną uwieńczył skroń tyran i samowolnik, gdyż wtenczas, ci w których ręce z konieczności ją przelał, nie hamowali się w swoich bezprawiach.

Tak się właśnie stało po śmierci Rudolfa, szanującego swobody ludu i miłowanego przez lud.

Cesarzem obrano smutnej pamięci Albrechta, Szwajcarja została zalana wójtami, którzy srogo zapisali się w jej kronikach.

Zwłaszcza w kronikach trzech kantonów górskich, Szwyc, Uri i Unterwalden.

Słabsze od innych, wystawione one zostały na bezwzględniejszy od innych ucisk, czego osiągnąć nie spodziewali się wielkorządcy Habsburgów gdzieindziej, wierząc w skuteczność rozpędu po linii mniejszego oporu, mieli nadzieję wśród nich urzeczywistnić.

Gotując reszcie kraju niewesołą zaistę dolę.

Łamiąc z czasem opór Berna i Zurychu, dwóch kantonów, na których zdruzgotanie za słabą była jeszcze ich dłoń.

Ale myśląc tak i dążąc do takich celów, zapomnieli oni o jednym.

O sile ducha.

Wierzyli do zbytku, jak Prusacy i ich odwieczni sojusznicy Moskale u nas, w siłę pięści.

I to im i ich mocodawcom Habsburgom, jak wczorajszym niemal jeszcze naszym katom, zgótowało grób.

Bo w trzech tych właśnie kantonach, tej Wielkopolsce Szwajcarii, duch mieszkańców miał hart stali, bo tu właśnie miało w ich sercach schronisko to, co w stal słaby przemienia nieraz wosk.

Wyzwane do walki, przyjęły ją one ochotnie, nieuleknione przeważną przeciwników siłą, przeciwstawiły jej ten swój hart, i siłę powaliły o ziemię.

Rozpoczęty przez nią bój zagrał resztę, do rydwanu wojennego walczącego o wolność, wciągnął ospałych dotąd i obojętnych, i koniec końcem dokonał cudu.

Oswobodził kraj od najeźdźców, wyrzucił ich precz, zcementował związek, który jako oparty na związku wolnych, szanujących prawa każdego ze swoich członków, jest dezyderatem, do ziszczenia którego, dążyć powinien szarpany dotąd walkami narodowościowymi i wyznaniowymi świat.

Czyż więc gdy zajrzemy do roczników historii, (świadczącej nam o tem wyraźnie), nie możemy z całą stanowczością twierdzić, że Szwyc, Uri i Unterwalden, są jak powiedziałem kolebką

dzisiejszej Szwajcarji, że tu nie gdzieindziej spoczywają zaczątki cudownej jej konfederacji, że tu stoi kuźnia, w której wykute zostało to, co stanowi chlubę kraju, co jest celem, do którego zmierzać powinni na całym jak szeroki i długi świecie wszyscy, pragnący urzeczywistnienia ideału nieśmiertelnego Mickiewicza, aby „miłość rządziła plemieniem człowieczem, a trofeami świata były ofiary”.

I w myśl nakazu Odkupiciela świata, który nie nienawiść, ale miłość ponad wszystko postawił, objęła nareszcie czysta i szlachetna, rządy nad ociekającymi krwią narodami.

Tak jest, w tych kantonach jest to wszystko.

I kolebka Szwajcarji, i zaczątki jej państwowej organizacji, i kuźnia jej swobód i praw.

I dlatego nie będzie dziwnem, że ku nim, jak Polak ku Wielkopolsce kierować każdy Szwajcar zawsze będzie swojego ducha wzrok, ilekroć na tle osnutej tu przeszłości, w wyobraźni budować zapragnie przyszłości ojczyzny swojej obraz.

Do kronik zatem starych niechaj zagląda, kto z nas cudzieziemców zrozumieć chce jak należy, miłość jaką Szwajcar przejęty jest dla tych kantonów, ale niech też daje ucho legendzie, co je opłótła pajęczą siatką niebiańskiej poezji, ilekroć odczuć zechce pietyzm, czyniący mu z miłości tej nieledwie że dogmat wiary.

Legendzie.

Bo ona zamglonej rzeczywistości nadała jas-

ne barwy, przystroiła ją skrzydłami, otoczyła płomiennym nimbem, i w sercach wszystkich wyrwywszy się niestartemi zgłoskami, wszystkie serca uniosła ku górze.

Legenda tych trzech kantonów, to właśnie Tell.

Czy człowiek noszący to znane i czczone przez każdego Szwajcara nazwisko istniał rzeczywiście, czy nie jest on takim samym bajecznym mitem jak wielkopolski Piast z Rzepichą, do których aniołowie z nieba przybyli na postrzyżyny?

Kiedy w roku 1770 Fredenberger pastor Berneński wydał książkę, w której wypowiedział zdanie, że cała opowieść o Tellu jest wierutną bajką, rząd kantonu Uri nakazał tę książkę spalić na stosie, ale kiedy w 130 lat potem, do szkół kantonu tego wprowadzoną została historia Szwajcarii, na kartach której nie figurowało nazwisko Tella, jako osobistości fantastycznej, zagotowało się tam od zgrozy w umysłach wszystkich ojców rodzin, i książkę tę musiano usunąć z rąk uczniów.

A przecież niemiłosierna krytyka naukowa wypowiedziała już pod tym względem swoje zdanie, stwierdziła, że w liczbie wójtów cesarskich w Walddorfie, Gesslera, który miał Tellowi kazać jabłko z głowy syna zestrzelić, nigdy nie było, że wyrazem „tell” (toll, „szalony”) oznaczano oddawna w Szwajcarii tych, którzy umyślnie zrzucili jarzmo cesarskie, za pozbawionych rozumu byli uważani przez wszystkich, że

podobna jak tellowska legenda, znana jest od wieków narodom skandynawskim i innym, i z dalekiej północy najniezawodniej przeszczepiona została pod Helweckie niebo.

Ludzie czytali o tem, zaprzeczyć temu nie mogli, zwłaszcza gdy im udowodniono iż kronikarze z roku 1307 o Tellu wcale nie wspominają, a dopiero historycy z końca 15 wieku wyprowadzają go na scenę dziejową, popełniając przy tem chronologiczne i geograficzne omyłki, nic to jednak nie pomagało, i gdy rozum kazał im przeczyć istnieniu człowieka tego nazwiska, przed oczyma duszy ich stał on jak najrzeczywistsza rzeczywistość, wcielając w sobie patriotyzm, odwagę i poświęcenie, trzy cnoty o które jak o opokę opiera się dzisiejsza Szwajcarja.

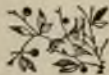
Żyje więc Tell, pomimo wszystko co go pragnęło życia pozbawić, — w kształtach Florjana, Szyllera i Rossiniego, owiany urokiem poezji, w wyobraźni całego narodu stoi jak kolos imponując wszystkiemu i wszystkim, i wbrew przysłowiu, że „prawda jak oliwa zawsze na wierzch wypływa”, zwycięzko urąga prawdzie.

I urągać jej wiecznie będzie, i z piedestału na którym go kraj jego postawił nie zejdzie nigdy, bo każdy Szwajcar instynktownie czuje, iż gdyby kiedy z niego zeszedł, w sercach wszystkich powstałaby pustka, której zapełnić nie można już było niczem.

Więc uczcijmy pietyzm, z jakim ku tej wytycznej postaci zwraca się bez wyjątku każdy, gdyż jest on świadectwem umiłowania szczyt-

nych ideałów, których uosobieniem pozostanie, póki nie zniknie wiara w to, co jak tellowska legenda jest szczytne i piękne, co unosi dusze ludzkie ku gwiazdom i słońcu, i na wyżynach oczyszcza je z prozy tej ziemi i z jej nędz...

Ale uczciwszy ten pietyzm, zapytajmy się sami siebie, czy i pod tym względem, te trzy kantony nie przypominają Wielkopolski naszej, i czy nie czynią ich tak drogiemi całej Szwajcarii, jak nam Polakom ziemię przysiadła do wód Gopła, Warty, Brdy i Noteci, i dlatego także, a może i dla tego przedewszystkiem, że podobny naszemu Piastowskiemu mit, serdeczną nicią związał się z dziejami dalszemi, jak naszego tak i Szwajcarów kraju ?



ROZDZIAŁ II.

Jeziro czterech kantonów. Co się widzi z pokładu statku? Kapryśnica natura i jej osobliwości. Wobec uroku wód i pejzażów. Poezja i groza. Pieczęć fantazji ludu. W kaplicy Tella. Czem są gminne dzieje?

Środek Szwajcaryi zajmuje jeziro Czterech kantonów.

Mniej więcej, bo gdy figura tego kraju jest owalem niekształtnym, i matematyczne też centrum tej figury nie jest do odszukania łatwym, ale każdy kto na mapę ojczyzny Tella zwróci oczy, uderzony zostanie w miejscu do matematycznego jej środka najbardziej zbliżonem, znacznem zbiorowiskiem wód, nie będącem z pozostałemi w najmniejszym związku.

To zbiorowisko jest właśnie jeziorem, miano to w geografji noszącem, najdziwaczniejszym jeziorem jakie Szwajcarya zna.

Bo gdy największe z nich Genewskie i Zurychskie, mają kształt półksiężyca, a wszystkie inne, bądź linii zakrzywionych, bądź kul i owali, ono przedstawia figurę przetrąconego u podstawy krzyża, o ramionach wydłużonych, a wierz-

chołku nie nazbyt uniesionym ponad te ramiona.

Ta dziwaczna figura jeziora tego sprawiła, że Szwajcarzy nadali mu nie jedną ale cztery nazwy, jak gdyby składało się ono z czterech jezior, wązkiemi jedynie przesmykami łączącymi jedno z drugim.

Tak przecież nie jest, rozlane tu wody mają ujścia otwarte i szerokie, ponieważ jednak rozchodzą się z sobą, i długimi rękawami wciskają w okoliczny ład, przeto noszą miana wód Lucerny, Alpnachu, Küsnachtu i Uri, od miast i kantonów, które falami swemi podmywają.

Najdziwaczniejsze ze wszystkich, ze wszystkich przecież nie największe i nie najgłębsze, pod względem piękności, jezioro Czterech kantonów trzyma najniezawodniej palmę pierwszeństwa.

Piękności i grozy, bo gdy u swego wierzchołka darzy wzrok obrazami pełnemi słodkiego uroku i poezji, a w dwóch rozpostartych swoich ramionach daje przedsmak majestatyczności, nieznaney jeziorom północnej Szwajcarji, w miarę jak się ku wschodowi posuwamy, wprowadza nas ono w świat coraz romantyczniejszy i żywszy, który od miejsca gdzie się ku południowi załamuje, staje się światem z bajki.

Ale nie z tej bajki słodkiej i miłej, którą czułe matki usypiają swoje dzieci do snu, nie, lecz z tej strasznej i mrocznej, wstrząsającej wyobraźnią niby piorun powietrze, którą sen ciężki trapi nas nieraz po dniach pełnych niepokoju.

W przystani sąsiadującej z głównym kole-

jowym dworcem w Lucernie, gromadka mężczyzn i kobiet wyczekuje na nadchodzący z przeciwległej jeziora strony statek.

Wyłynął już z wybrzeża narodowego, i wyczekując nowych pasażerów, jak gdyby mu tych których wiezie było za mało, posuwa się z powagą powoli ku nim.

Wszystkich oczy zwracają się z ciekawością w stronę jego szerokiego kadłuba, śledzą za ruchem jego kół, przyglądają wydobywającym się z niego kłębowi czarnego jak noc dymu, wszyscy gotują się w duchu do przeżycia na jego pokładzie kilku godzin prawdziwie czarodziejskich, niewiele pokrewnego mających z temi, jakie w zgiełku i zaduchu miast i pracowni, spędzają codzien w prozie gniotącej ich wszystkich, niby głaz.

Wszyscy, a ja za wszystkimi.

Tylko gdy wielu z tych co mają tym statkiem podróż po tem jeziorze odbyć, wyczekuje czegoś nowego i nieznanego, ja który przemykałem się już kilkakrotnie w życiu po jego uroczych falach, wiem co zobaczę, przygotowany więc jestem do wrażeń jakie mnie oczekują.

A przecież jadę.

Kto świadom tego, że wzniosłych wrażeń nigdy dusza ludzka nie ma za wiele, powie, że lepiej uczyniłbym, gdybym rozstawszy się z mojem otoczeniem, z tej przystani powrócił do domu ?

Piękna Lucerna znika więc nam powoli z przed oczu.

Rozpływa się niby w śnie.

Nie widać już ani wspaniałego hotelu szwajcarskiego, ani dwuwieżowej katedry katolickiej, ani kamiennego mostu, co linią prostą jak strzała łączy dwa, miasta tego, wybrzeża.

Widać tylko wodę pod nami, niebo ozłoczone blaskami słońca nad głową, i mniej lub więcej unoszące się dokoła góry.

Z dwóch stron biorą cię one w swoje objęcia, zbliżają się lub oddalają od siebie, z dwóch darzą obrazami harmonii i piękna, z jakimi nie często przychodziło ci się spotykać w życiu.

Wychodzisz więc na przód statku, byś dobrze co masz przed sobą mógł widzieć, wysuwasz się przed innych, nie zwracając na to uwagi, że ten lub i ów krzywo na ciebie spojrzy, — i cały zmieniony w oczy, patrzysz.

Co widzisz ?

Coś takiego czegoś nie miał, ani na jeziorze Zurychskim, ani na Genewskim i Niuszatel-skim, ani na tych dwóch na południu Szwajcarji jeziorach Thunu i Brienzu, co niby uspio-
ne w dwóch czarodziejskich kolebkach bliźnięta, śnią słodko o niebie i aniołach.

Coś takiego.

To coś, określiłbym wyraźnie: bajeczna wprost różnaitość widoków.

Nieznana żadnemu z powyższych jezior, gdyż żadne z nich od kapryśnicy natury nie otrzymało podobnych kształtów.

Zaledwie statek parowy opuścił Lucernę, ujęty zostaje w ramy górskie, o spadkach łagod-

nych i szczytach nie uniesionych nadmiernie ponad poziom wód, i płynąc wśród nich, nie darzy cię niczem takim, z czem nie spotkałeś się gdzieindziej, ale w tych ramach nie pozostaje on długo, i wkrótce wprowadza cię na szeroką przestrzeń, już nie z dwóch jak dotąd stron, ale z czterech, okoloną uniesieniami skalistemi, o spadkach ostrych, i szczytach bodzących obłoki.

Gdyby ta przestrzeń szeroka, zamknięta była linią owalną, różnaitości widoków nie byłoby przed okiem twojem, ale że tworzy ona gwiazdę, zanim wydłuży się następnie i raptownie załamie, przeto szafuje ci niemi z rozrzutnością, do jakiej tylko nieznaająca troski o wyczerpanie w niepewnem jutrze, zdolną jest przyroda.

I ta tu gwiazda jest tem „czemś”, co podróży po tych wodach do żadnej innej podróży po żadnem innem jeziorze szwajcarskiem przyrównać nie dozwala, co ją czyni odrębną, oryginalną na wskroś.

Bo przedewszystkiem jestto gwiazda o ramionach bardzo szerokich, nie czujez się wśród niej zatem niby w klatce ptak, masz dla piersi powietrza wiele, dla oka rozległą perspektywę, bo dalej, każdy jej punkt, to garb uniesiony mniej lub więcej nad wodę, przeglądający się w tej wodzie, nie rzadko spuszczaający się linią pionu w lazurową jej toń.

Ten garb, raz niżej to znów wyżej odcina się od ziemi, raz zieleni ci się łąką bajecznie bujną, to znowu wyszczerza skałą ogołoconą

z roślinności i śpiczastą, a że w miarę jak płyniesz, to się do ciebie zbliża, to znów oddala, przeto daje oku panoramę, której kto nie widział, wyobrazić sobie nie będzie w stanie.

I ta panorama, do odmalowania trudna, do opisanania niepodobna, jest właśnie urokiem tych wód, wyciska na nich swojego rodzaju pieczęć, oświetla je blaskiem nieznanym wodom innym, jest magnesem, który ku tym stronom ściągać nigdy nie przestanie poszukujących piękna i poezji natury, dopóki w sercach ludzkich nie skostniałych w uwiąznię starczym, nie zagaśnie święty i czysty ich płomień.

W Vitznau, punkcie wyjścia kolei Rigi — Kulm, wodnista ta gwiazda gwałtownie się urywa, jezioro Czterech kantonów robi skręt ku dołowi, i znów wśród krajozawów górskich, dwie równoległe ramy tworzących, prowadzi cię do uroczej osady Brunnen.

Ale w Brunnen odcina się ostro od wybrzeża, i jakby piłka odbita od ściany, spada gwałtownie na dół.

I już do Fluellen, wydłużonym kanałem płynie.

Tylko nie w otoczeniu takim jak przy swoim wyjściu pod Lucerną, tylko nie wśród większych i mniejszych garbów ziemi, jak w miejscu gdzie tworzy wyżej opisaną gwiazdę wodną.

Nie.

Jak gdyby chcąc nas zapoznać ze światem Alp niebotycznych, z jego majestatem i grozą,

bierze rozbrat z dotychczasową słodyczą i poezją, przybiera postać surową i ponurą.

Wychodzą więc z jeziora przejrzystych toni olbrzymy o czarnych zbrojach, dzikiem łonem skalistym bodą jego falujące się lekko lustro, cień długi i ponury rzucają na jego powierzchnię.

I nie rozstają się z nią ani na chwilę.

Coraz groźniej spoglądają na jego wody, coraz smętniejsze uczucia budzą wśród tych którzy mkną po nich, wreszcie przy Fluellen zamykają je klamrą żelazną, by nie rozlewały się już dalej.

I tą klamrą odgradzają je od gór dalszych, i to co pod Lucerną porodziła słodka poezja przyrody, kończy wulkaniczna kuźnia piekła, tworząc z tego jeziora, jeden z najbardziej interesujących i malowniczych zbiorników wody, jakie Europa zna.

Czyż więc, zapytuję po raz drugi, powie mi kto, świadomy tego żeś tem jeziorem kilkakrotnie już podróżował, iż lepiej uczyniłbym widząc nadpływający w Lucernie statek pasażerski do przystani, gdybym był rozstawszy się z nią, zamiast puszczać się ponownie na jego fale, zawrócił do hotelu by tam w prozie szarych ścian, myśleć o tem, czy jutro będzie pogoda czy deszcz?

Otóż jak nasi mytyczni Piast i Rzepicha w Kruszwicy na Gople, Tell wycisnąć miał tu, wedle legendy, bajecznego swojego istnienia ślad.

Przypomnijmy tę legendę.

Miało to być w pierwszych latach XIV wieku, kiedy w Walddorfie niedaleko wybrzeża tego zbiorowiska wód, miał być wójtem cesarskim Gessler.

Ten rządził surowo zabranym krajem, i jak ten sędzia z Byrona, do ucisku jego mieszkańców, rad dorzucał na pociechę ich, szyderstwo.

Bo szyderstwem chyba był jego kapelusz na tyce, któremu kazał się niby osobie swojej kłaniać.

Otóż Tell kapeluszowi się nie pokłonił, za karę więc kazano mu zestrzelić jabłko z głowy syna.

Każdy inny, drżąc ze wzruszenia, byłby najniezawodniej chybił, on trafił w jabłko i syna od śmierci zachował.

Ale strzelając, nie był pewny swojego strzału.

Więc na wszelki wypadek postanowił na Gesslerze się zemścić.

I drugą dla niego strzałę trzymał ukrytą w zanadrzu.

Podstęp odkryto, okuto go w kajdany i wrzuciono do łodzi, którą sam Gessler miał go zawieźć do miejsca kaźni.

W czasie długiej drogi do zamku Küssnacht, zerwała się na jeziorze straszna burza, Tell był znany jako arcyzręczny żeglarz, zdjęto mu zatem z rąk i nóg więzy, by kata swego cało i zdrowo doprowadził do przystani.

Doprowadził, ale po to aby go wkrótce potem życia pozbawić.

Bo ledwie wydostał się na ląd, posłał mu śmiertelną strzałę, i uwolniwszy kraj od ciemności, dał hasło do ogólnego powstania.

Legenda bajeczna, z prawdą nie mająca nic wspólnego, nad tem jeziorem Czterech kantónów znalazła swoje upamiętnienie. A to w kaplicy noszej Tella nazwisko. Cztery jej ściany, Stüchelberger utalentowany malarz Bazylejski ozdobił pięknie scenami z życia bajecznego bohatera, i te sceny stoją w Szwajcarji w pamięci wszystkich.

I stać w niej będą wiecznie, gdyż przemawiają do wyobraźni i uczucia i podobnie jak nasz Piast i Rzepicha, nigdy nie dadzą się w ludzkie na drugorzędne stanowisko zepchnąć.

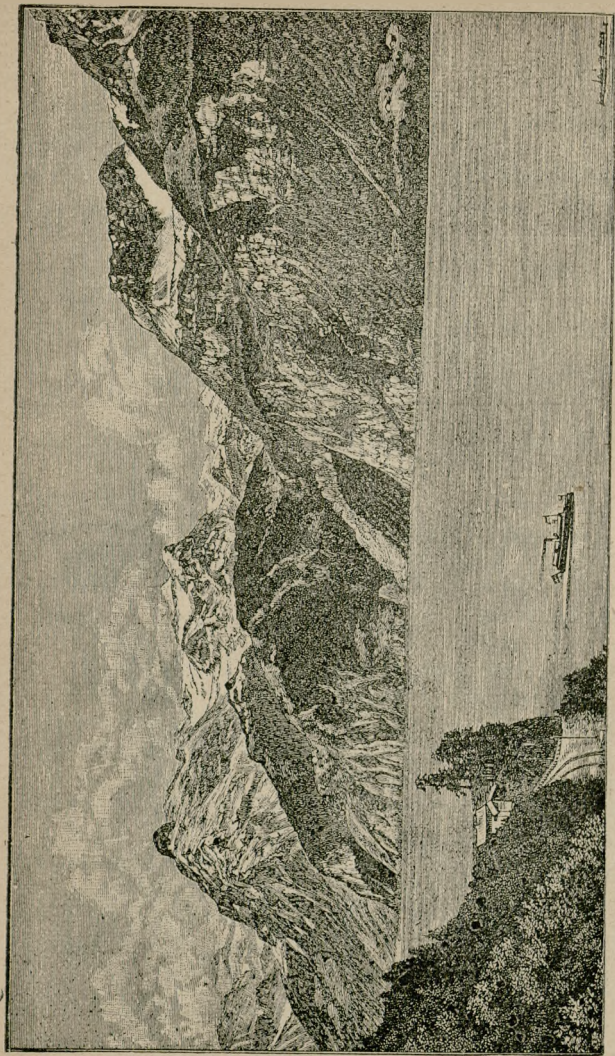
I mimo że z prawdą, jak to już wyżej zaznaczyłem nie mają one nic wspólnego, mimo że uczeni całego świata śmieją się z niej do rozpuku, lud nie przystanie w podanie wierzyć wszczepione mu od kolebki, a dla szyszających z dobrej wiary i naiwności, mieć zawsze będzie to zapytanie, z jakim nasz nieśmiertelny wieszcz, w „Pośle z Upity“, zwrócił się do wszystkich dziejopisarzy świata, każących ludziom wierzyć z przeszłości w to tylko, co się ostało wobec ich rozumu.

„Cóż są gminne dzieje?

Popiół, w którym zaledwie iskra prawdy tleje.
Hieroglich mchem zarosłe zdobiący kamienie,

Napis w którym spowite usnęło znaczenie.
Odgłos sławy wiejący przez lat oceany.
Odbity o wypadki, o kłamstwo złamany.
Godzien śmiechu uczonych, lecz nim się zaśmieje
Niechaj powie uczony, czem są wszystkie dzie-
je?"





JEZIORO CZTERECH KANTONÓW.

ROZDZIAŁ III.

Dzierżawca jeziora Czterech Kantonów. Lucerna. Siedm mostów dla czterdziestu tysięcy ludzi. Wobec tańca śmierci. W starem mieście. Pacyfista z przed wieków. Muzeum pokoju. Lew Thorwaldsena i Ogród Lodowców. Myśl o naszych Tatrach.

Kanton Lucerny jest właśnie jednym z tych czterech kantonów, co wzięły że tak powiem w dzierżawę jezioro tego nazwiska, i ciągną z niego korzyści.

Przechodzące o wiele te, jakie są udziałem trzech kantonów pozostałych.

Zawdzięcza to on temu, że gdy pozostałe kantony, nad jego brzegami położone, nie mogły się nigdzie zdobyć na miasto większe, on u jego wylotu postawił gród wspaniały, ciągnący ku swoim progom wszystkich, którzy zrażeni szarzyzną grodów europejskich, radzi podążają ku takim, co piętno odrębności od innych na sobie noszą.

A Lucerna je nosi, i dzięki temu, lwią część zysku ze zwiedzania tego jeziora zgarnęła do kieszeni swoich mieszkańców.

W miejscu gdzie się to miasto od końca XIV wieku rozsiało, z jeziora Czterech kantonów wpływa rzeka Reuss.

Poczęta w lodowcach Alp wysokich, w Fluellen spotkała na drodze ku dołowi to jezioro, przepłynęła je przez całą długość, i oczyszczona jego wodami, pędzi w szalonym pośpiechu, by w nurtach Aary znaleźć śmierć.

Otóż zrazu na prawem jej wybrzeżu (pobudowało się pod nazwą Lucerny małe miasto, ale czasem przekroczyło jej koryto, i dziś z dwóch stron trzyma je w swych objęciach, złączone z sobą aż siedmioma mostami.

Siedmioma, i to w mieście liczącem niecałe 40.000 mieszkańców.

Co powie na to nasza Warszawa, która niedawno dopiero, trzecim komunikacyjnym dla ogółu mostem, pochwalić się przed światem może?

Te mosty Lucerny, któż temu zaprzeczy, to prawdziwa osobliwość tego grodu.

Żaden szwajcarski podobnej mu nie posiada, nic więc dziwnego, że każdy z przyjezdnych zaledwie opuści dworzec kolejowy, idzie się z niemi zapoznać.

Zwłaszcza też z dwoma oryginalnemi jak rzadko które, w tym kraju oryginalności na każdym niemal kroku.

Pomijając, że oba są kryte, tu bowiem nie inne tylko przeważnie takie, dla osłony od wiatru spotyka się na każdej większej i mniejszej rzece, ale oba one w swoim wnętrzu posia-

dają ozdoby, nieznane wielu miastom innym. Ozdoby w postaci malowideł u spodu swoich poddaszy.

Potrzeba mieć dobre oczy, aby w szczegółach malowideł tych się połapać, potrzeba nie czuć wartości zabytków z dawnych czasów, aby się nimi nie zainteresować.

Gdyż przywodzą one na pamięć innych ludzi, inne okazują nam poczucie przez nich piękna, świadcząc wymownie o ich artystycznych gustach, a przy gustach artystycznych, zarazem o upodobaniach w wyborze malarskich tematów.

Bo rozumiem doskonale na jednym z nich obrazy z dziejów Lucerny, te choć niezdarne jak na wiek XVIII, mogą być na nim na właściwym miejscu, ale co spowodowało narysowanie na drugim z nich scen z tańca śmierci, tego doprawdy nie tylko ja, ale nie odgadnie nikt.

Chyba że ci, którzy je tam umieścili, chcieli przypomnieć przechodzącym most z jednego wybrzeża na drugie, że pod ich stopami znajduje się coś takiego, co każdej chwili może ich w ten nie wesoły i nie pożądany przez nikogo taniec, pomimo woli, przy osunięciu się jego filarów wciągnąć.

Zaznaczam, że te malowidła są dla przeciętnego ludzkiego wzroku do dokładnego uchwycenia trudne, chyba więc zatem głosowi odległego stulecia, który z nich do nas przemawia przypisać należy, że gromadzą zawsze one przy sobie tłumy przechodniów obcych.

Zwłaszcza na moście drugim, gdzie koścista śmierć wciąga w wir taneczny bogatych i ubogich, starych i młodych.

Prowadząc ich tam, gdzie każdy z nas, radby jak najpóźniej się znaleźć.

Choć tam jest wieczny spokój a tu walka nieustająca, choć tam w morzu miłosierdzia i zapomnienia pogrążeni są wszyscy, a tu kąpią się wszyscy w oceanie łez.

I ja więc ilekroć w Lucernie się znalazłem, przyglądałem się tym scenom, mimo ich barbarzyńską zaiste naiwność z zajęciem, i przyglądając się myślałem o tem, że może inaczej byłoby na tym naszym nienasyconym świecie, mniej niż dziś może ociekałaby ludzkość krwią, gdyby każdy z nas, częściej miał na pamięci swojej tę srogą nie z tego świata panią, która jak nasz nieoceniony Baka powiada:

„Łzy wyciska gdy ściska, a równie przytula,

I dziecko co się lula, i zucha co hula“.

Te dwa tak charakterystyczne ze swych malowideł mosty Lucerny, wraz z pozostałymi pięcioma, łączą jak powiedziałem z sobą dwie części tego miasta.

Starą i nową. W nowej, prócz dworca i olbrzymich domów, nie ma tak dalece nic do widzenia, idę więc do starej, i zapraszam na tę wędrówkę czytelników.

Zajmie ich ona bardzo, bo tam znajduje się to właśnie, co do Lucerny ściąga podróżnych

z całego świata, i co gdy ich ściągnie, każe im przed sobą zatrzymać się na czas dłuższy. Słynny lew Thorwaldsena, Ogród lodowców, międzynarodowe Muzeum pokoju, i charakterystyczne budowle średniowieczne, o zamalowanych ścianach i napisach, z których dwa zwłaszcza, dają każdemu wiele do myślenia.

Przyjrzymy się przedewszystkiem tym budowlom, odczytajmy i zapamiętajmy te napisy.

Zawiazkiem starej Lucerny była dzielnica, na niewielkiej przestrzeni przysiadła do prawego brzegu rzeki Reuss.

Tu się gnieździł jej patrycyat kupiecki, tu bogaci mieszczenie ślali sobie wygodne gniazda, i ozdabiali je wedle pomysłów swoich.

Tu też stoją ich domy, których niech nikt nie ominie, kto się w Lucernie znajdzie.

Domy te rozsiane są w tej dzielnicy licznie.

Mam je nad rzeką, mam na placu Winnym i Jelenim, wszystkie wyróżniają się stylem od dzisiejszych, wszystkie mówią do nas głosem odległej bardzo przeszłości.

Przystaję przed jednym z nich, bodaj najcharakterystyczniejszym ze wszystkich.

Uderza moje oczy na zewnętrznej jego ścianie obraz.

Rycerz w zbroję przyodziany, wyjeżdża na wojnę, by odeprzeć grożącego Szwajcarji wroga, żegnają go u progu mieszkania, żona i dzieci.

Scena pospolita, nie mówiłaby do mnie

wiele, mówią mi przecież wiele napisy umieszczone u góry i u dołu obrazu tego.

Oba one godne są zapamiętania.

„O pokoju! — głosi z nich jeden górny, — jakimż szlachetnym skarbem ty jesteś, a jakże nie wiele miejsca zajmujesz między ludźmi”.

A drugi dolny:

„I wszyscy wojacy ze śpiewem i muzyką, ubrani w zielone oznaki zwycięstwa, ciągnęli do swoich domowych ognisk”.

I znowu przed temi napisami zatrzymuję się czas dłuższy, jak przy tych obrazach z Tańca śmierci na moście, — i znowu myślę.

Dom jest z czasów dawnych, kiedy Europa tonęła w morzu krwi, kiedy wojna była zjawiskiem tak powszednim, jak dziś dajmy na to kongresy w celach naukowych. Była też ona tak jak dziś wszystko co celem naukowym służy, ukochaną niemal przez wszystkich, i protest przeciwko niej, był nieledwie bluźnierstwem.

Przecież ten, do którego dom ten należał, nie musiał dzielić ogólnych poglądów.

Był szczęśliwym, a jak na swój wiek, i osobliwym wyjątkiem.

Uznał więc za właściwe zaznaczyć, zaszydziwszy sobie z niej, że nie ona, tylko jej przeciwstawienie pokój, jest największem ubłogoślawieniem ludzi.

I zaznaczył.

I to nie w rozmowie półszepciem przy kuflu piwa w gronie swoich najbliższych, nie w prowadzonych w dawnych czasach przez wielu,

rejestrach zdarzeń i wypadków ogólniejszego znaczenia, ale na szerokiem słońcu, na placu uczęszczanym przez całe sławetne swoje miasto.

I powiedział miastu temu co ?

Nie mniej nie więcej tylko to, co obecnie mówią wszyscy, wierzący w przyszłość pogodną świata, z czego wczoraj jeszcze wyśmiewała się barbarzyńska Europa, z burmbistrzującymi w niej żołdakami na czele, że największym skarbem ludzi jest pokój, i że w domowych ogniskach spoczywa szczęście, a nie na polach, zasianych podruzgotanemi niewiadomo po co, ludzkiemi kośćmi.

Pytam teraz, czy ten który to powiedział publicznie, i to komu? ówczesnemu światu, nie jest mędrszym, lepszym i większym od takiego dajmy na to pogromcy cesarskiej Francji Moltkego, który w oświeconym wieku dziewiętnastym, wygłaszał dytyramby na cześć wojny, zwąc ją celem i odrodzeniem, zapadającej niby bez niej w gnuśność ludzkości?

A przecież Moltkemu Niemcy postawili pomnik, przekazując jego czyny historii, a nazwisko tego prawdziwego człowieka, który takie złote słowa na swym domu wypisał, (gdy Moltke był barbarzyńcą prawdziwym), utonęło nawet w mgłę zapomnienia!...

Może je przecież odgrzebie przyszłość i postawi na świeczniku, spychając w przepaść złe i czarne duchy, co świat krwią i żelazem prowadziły i prowadzą do zezwierzecenia.

Kiedy w tej starej dzielnicy Lucerny stoi dom, na którym wypisane są godne rozumu i serca człowieka słowa, chyba dobrze się stało, że przymknęło do niego bliżej międzynarodowe Muzeum Pokoju.

Znajdowało się ono czas jakiś na brzegu rzeki, ale było mu tam ciasno i niewygodnie, więc przeniosło się na brzeg prawy, do własnego okazałego pałacu, i tu uzupełnia słowa tego napisu.

Przedstawiając całą grozę wojny.

Przypominając światu, ile traci i materialnie i duchowo, hołdując jej, niby czemuś co korzystać światu rzekomo przynosi.

Nie mówi ono wprawdzie, swojemi bogactwami zbiorami, co mu te napisy mówią, gdzie leży szczęście, ale ukazuje ocean nieszczęścia, w jakie pogrąża go, ta przeklęta córa bezbrzeżnej namiętności i chciwości ludzkiej.

I nawołuje do opamiętania.

Do uszlachetnienia się, i uduchowienia.

Czy nawoła, czy ze złej na dobrą drogę nawróci?

Kto wątpi o tem po ostatniej strasznej wojnie, urodzonej w szatańskiej pysze i chciwości Prusaka, kto nie uwierzy w to, jak w nieśmiertelnego Boga na niebie, że małowczko już małowczko, a miłość obejmie rządy nad plemieniem człowieczem, i słowa mędrca chińskiego: "nie czcicie zwycięzców i zdobywców, witajcie ich przekleństwem i łzami, otaczajcie ich groby pomnikami

ich ofiar", staną się programem odrodzonego i oczyszczonego człowieka.

Zatem te mosty, ta stara część Lucerny, w której nie tylko te malowane domy budzą ogólny interes, zatem to Muzeum pokoju, przebogate i przeinteresujące, nie pozwalają przyjezdnym do tego pięknego miasta, przebyć w niem tyle jedynie czasu, ile potrzeba na wyczekanie na statek parowy, mający ich przewieźć po jeziorze Czterech kantonów, nie tylko one zatrzymują ich w niem dłużej, — ma ono jeszcze inne magnesy, co je jak stal do siebie przykuwają.

Magnesami temi są: Lew Thorwaldsena, Ogród lodowców, i jak mówią Anglicy „last but not least“ (ostatnie ale nie najmniej ważne), czarodziejskie położenie.

Zacznijmy od lwa, dzieła sztuki, skończmy na położeniu, dziele przyrody, a pamiętni tego cośmy o ciekawościach Lucerny już powiedzieli, zrozumiemy interes jaki ona w świecie obudza.

Ten lew, ten wspaniały nad opis wszelki lew, jest kto wie czy nie najznakomitszym utworem rzeźbiarza duńskiego.

Choć miałbym być posądzonym o nieuctwo artystyczne, powtarzam poraz drugi, kto wie?

Bo Thorwaldsen, którego wspaniałe Muzeum w Kopenhadze żywo mi bardzo stoi przed oczami, odtwarzał z mistrzostwem wielkiem i ludzi i zwierzęta, rzadko przecież w którym dziele swoim, zamknął tyle wyrazu co w tem

We wgłębieniu wysokiej skały, kona ugodzony śmiertelną strzałą lew.

Przeszyła ona jego wnętrzności, nabawiła go cierpień niesłychanych, za chwilę spowoduje jego śmierć.

Ale ta chwila jeszcze nie nadeszła.

Mamy przed sobą obraz męki.

Męki strasznej.

I stoimy pełni współczucia przed tą męką.

Gdyż ten zwierz który tak cierpi, jest przed nami uosobieniem cierpienia człowieczego bohatera, gdyż nie zwierzęce uczucia ożywiają go i przejmują nawskroś.

Stał ten bohater na straży powierzonego jego pieczy dobra, usiłowano go tego dobra pozbawić, skierowano ku niemu przemocną ręką groty, powalono zmożonego przemocą siły na ziemię.

On przecież dobra tego nie porzucił.

I choć obezwładniony, czuje że tym którzy mu w zaufaniu je powierzyli, zwrócić go nie będzie już zdolny, choć zdaje się być pełnym świadomości, iż stanie się ono łupem tych, w walce z którymi się nie ostał, przecież nie wypuszcza go ze swoich objęć.

Resztkami sił trzyma je przy sobie.

Będąc symbolem wierności, urągającej samej nawet śmierci.

Tę wierność właśnie, Thorwaldsen uosobił w tym lwie.

Jej oddał hołd.

Kiedy Szwajcarom przyszła do głowy myśl, uwiecznienia w Lucernie pamięci ich współrodaków, którzy w roku 1792, broniąc króla Ludwika XVI przed rewolucjonistami, padli pod na-

porem wdzierających się do jego pałacu w Paryżu przeciwników, trupami swymi dając światu świadectwo swojej obowiązkowości, i uplastycznienie tej myśli w pomniku powierzyli słynnemu rzeźbiarzowi, miał on do spełnienia zadanie zaiste niełatwe.

Bo kiedy się do wykonania swego dzieła zabierał, cóż wtedy musiał myśleć?

Oto przede wszystkim, że ci Szwajcarzy nie poległi w obronie kraju ojczystego, byli bądź co bądź najmitami, za pieniądze obcemu oddali się w usługi.

Że zatem sławiąc ich śmierć, niepodobna wysławiać jej w ten sposób, w jaki się sławi zgon tych, co jak nasz Żółkiewski i Kościuszko krew swą przeleli, w obronie największego i najszlachetniejszego z dóbr doczesnych: rodzinnej swojej ziemi.

Tej ziemi, która dla każdego człowieka nie stoczonego gangreną zgnilizny, wedle nakazu twórcy Dziadów i Pana Tadesza:

„Jest i pozostanie,
Święta i czysta, jak pierwsze kochanie,
Niezaburzona błędów przypomnieniem,
Niepodkopana nadziei złudzeniem
Ani zmieniona wypadków strumieniem“.

Ale powiedziawszy on to sobie, dodać jednocześnie w duchu musiał, że przecież pomimo wszystko, są ci ludzie wartości wielkiej, należy się więc im wysokie uznanie.

Nie za wielką miłość jednak, o nie, gdyż nie kochali oni tego który ich opłacał, ale jego pie-

niądze, lecz za siłę i pogardę śmierci, i za ich wierność obowiązkowi.

I tej ich sile, tej pogardzie śmierci, tej ich wierności, dał też w dziele swoim wyraz.

Jak nie można wspanialszy.

Bo ten lew siłę uosabia, a to kurczowe trzymanie się w chwili strasznego zgonu o burbońskich liljach królewskiej tarczy, urąganie zgonowi i prawdziwie szczytną obowiązkowość.

To więc patrząc na tego lwa podziwia się.

Za to oddaje się twórcy naszego Kopernika, i powróconego Warszawie po niewoli moskiewskiej, księcia Józefa Poniatowskiego, hołd.

Mówiąc to co ja w tej chwili mówię, że w szeregu jego wielkich dzieł, lew ten jest dziełem i genialnie pomyslanym, i wykonanym genialnie.

Że przemawia.

Głośniejsz niż dziejów księga.

I sławiąc czyny obowiązkowości, w hierarhii wielkich czynów wyznacza im właściwe miejsce.

Godne tych, którzy stali przy sztandarze nie swoim, i tonąc w poczuciu obowiązkowości we krwi, tego nie swojego, nie wypuścili z rąk.

Kto nie odczuje uczuć ożywiających ten twór, ten nie wiele w swoim życiu niezawodnie musiał odczuć.

Z lwem Thorwaldsena sąsiaduje ogród lodowców.

Odnalezionych w tem miejscu w siódmym dziesiątku ubiegłego wieku.

Dokopano się ich w zagłębieniach skalnych, i świadczą tu one o geologicznej przeszłości tych stron.

To też i dla ciekawości i dla nauki, przygląda się ich pozostałościom, nie bez zdumienia, że dochowały się choć w tak miniaturowych śladach, w jakich tu je się widzi.

Mową niemą nikłych tych śladów dowiaduje się też tu Szwajcarja, a świat za Szwajcarją, jakim przemianom w tych górskich stronach, w prastarych czasach uległa kraju tego skorupa ziemna.

A teraz na zakończenie przyroda.

Nie ta wczorajsza, choć i te resztki lodowców pod jej nazwę się zaciągają, ale ta, z którą w Lucernie spotykamy się dziś, która stanowi jeden z największych uroków tego miasta.

Jak wiadomo, cała Szwajcarja dzieli się na cztery strefy.

Strefę Alp wysokich, przedalpejską, pagórkowatych równin, i Jurajską.

Strefa pierwsza, to świat wspaniałości i grozy.

Jestto strefa nietających śniegów.

I odwiecznych lodowców.

Objęła ona panowanie nad całym południem tego kraju, rozpostarła się na jego wschodzie, obdarzyła go skorupą z lodu, głębokością dosięgającą stu metrom.

A rozmiarami przechodzącymi rozmiar kantonu Zurychskiego, dorównywającymi 22-jej części ojczyzny Tella.

Skorupa ta jest rodzicem największych rzek i wodospadów szwajcarskich.

Stanowi urok tych dzikich stron, i w otoczeniu niebotycznych szczytów, unoszących się miejscami aż do 4600 metrów, nad poziom morza, przedstawia świat jakiemu podobnego nie znajdzie w Europie nigdzie.

Ze sferą tą graniczy przedalpejska.

Mniej o wiele dzika, w najwyższym swoim punkcie nie dochodząca do połowy nawet wyniosłości najbardziej uniesionych w strefie Alp wysokich gór, nie posiada już lodowców, więzi w swem łonie krajobrazy mniej wstrząsające wyobraźnią ludzką.

Jest przejściem do pagórkowatej, do kraju kwitnących miast i siół, pełnego dolin uprawnych i żyznych, będącego karmicielem Szwajcarii.

Nie granit w niej, jak przeważnie tam, jest częścią składową jej garbów ziemnych, nie z rzadko zaludnionemi miejscowościami spotyka się podróżnego po niej oko, piaskowiec nadaje jej kształty powabne, a dobrze uprawna gleba zrobiła ją siedliskiem runchu i życia.

To też wszystko co jest żyzniejszego w całym kraju tu jest, tu pracuje najskrzętniej człowiek nad wytworzeniem bogactw, nad wzmacnianiem narodowego kapitału, ztąd promieniuje najsilniej jego inteligencja, w wir swój błogosławiony wciągając wszystkich.

I tu są góry, bo gdzież w Szwajcarii ich nie ma, ale żadna z nich nie dochodzi tysiąca me-

W I E R N O Ś C I I C N O C I E H E L W E T Ó W .



trów, rozplywając się wszędzie w dolinach, żadna nie przedstawia niezwalczonych trudności dla tych, którzyby przez grzbiet ich na drugą stronę chcieli się przedostać, ubierają one okolice jak malownicze dekoracje sceny, nie każą przecież przyglądać się im ze strachem.

Kiedy się jedzie z Zurychu, przez Olten, Bern, Fryburg, i Lozannę do Genewy, doświadcza się też słodkich wrażeń, nic nie mających wspólnego z temi, jakich się doznaje w stronach, które Alpy większe i mniejsze objęły w swoje niepodzielne panowanie.

I może się przyglądać owocom tej pracy ludzkiej jaka tu kipi, dzięki warunkom przyrody pomyślnym, w jakiej wszystko co tu czuje, kocha i myśli, znajduje upust dla swojej energii i swoich sił.

Gdyby cała Szwajcaria, miała więcej takich sfer, nie potrzebowałaby jak dziś nieszczęsna, oglądać się po wszystkich stronach Europy by jej dzieciom chleba na stole nie brakowało, kto wie przecież czy śladem narodów mających go w swoim domu do zbytku, nie zgnuśniałaby w przesycie.

Dzielnica pasma Jurajskiego jest czwartą i ostatnią strefą tego kraju.

Zaczyna się ona na południo-zachodzie, kończy na północo-wschodzie.

Nie granit, nie piaskowiec, lecz wapno, tworzy tu wyniosłości górskie.

I nadaje im cechy geologiczne.

Łańcuch pięknego tego pasma przeryniają

uniesione doliny, spojony on jest z sobą ogniwa-
mi wyniosłości nierównej, odznacza się charak-
terem od alpejskiego zupełnie odmiennym.

Choć i w nim spotykamy szczyty, dochodzące do 1600 metrów wysokości.

Choć i tu bogactwo wody ma się w miejscu
niejednym.

Różni się ten łańcuch od Alp, bezporównania
większą regularnością kształtów, zamyka w ka-
miennem swoim łonie więcej pożytecznych mi-
nerałów.

Z żelazem, solą, asfaltem i gipsem, spotyka
się też w nim często, w przeciwstawieniu do jego
południowego pobratymca, gdzie zwłaszcza soli
nie znalazłbyś nawet na lekarstwo.

Otóż Lucerna rozsiadła się w strefie drugiej,
przedalpejskiej.

I w niej błyszczy jak brylant pierwszej
mocy.

Złożyło się na jej krasę warunków wiele.

Przedewszystkiem góry i woda, w drugiej
linji człowiek.

Który ją dla swoich celów wyzyskał.

Wprzągnął do swoich usług.

Nim jednak wprzągnął, został zachwycony
tem, z czem się tu spotkał.

Co zachwyczałoby nas wtedy nawet, gdybyś-
my usunęli z przed oczów wszystko, czego on tu
dokonał.

Bo tak jest.

Bo to miejsce, podłoże Lucerny, jest pełnem
czarów miejscem.

W którymkolwiek kierunku zwróci się oko.

Naturalnie od strony jeziora, gdyż tu dopiero oko to może swobodnie bujać po przestworzach.

Buja też chętnie, nie tamowane niczem biegnie przed siebie aż ku szczytom Rigi, osiada na wiecznym śniegiem pokrytych skalistych zboczach Alp najwyższych, zatrzymuje się z wytchnieniem, po gromie z jaką tam się spotkało, na pełnej zieleni wierzchołkach przedalpejskiej strefy.

I przyniósłszy wrażenia odniesione z tej wędrówki duszy, duszę tę unosi w jakiś świat wyniesiony, nieznanym żadnemu ze szwajcarskich miast.

Otóż znaczenie dla kraju tego, takiego świata, zrozumiał doskonale człowiek.

Zrozumiał, gdy w świecie nowoczesnym urodził się i wzmoógł turystyczny ruch.

Wędrówka narodów, w poszukiwaniu przecież nie jak w dawnej wędrówce podlanej obficie krwią zdobyczy, ale wypoczynku po pracy znojszej, — i piękna.

I mając Lucernę nad rzeką Reuss, postanowił ją wydłużyć w stronę, gdzie usłało sobie gniazdo to jej piękno.

W stronę jeziora.

I wydłużył.

Zabudował oba ich wybrzeża wspaniale, usiał je hotelami urządzonemi z przepychem nieznanym, przerzwał wygodnych tramwajów linią.

I czekał na owoce swoich zabiegów.

I po latach, doczekał się ich nareszcie.

Prąd podróżniczy nietylko poprowadził na Lucernę, ale zatrzymał w Lucernie.

Bogacąc tym sposobem miasto, kanton i kraj.

Gdy nasi nieprzyjaciele europeizowania Zakopanego, siania w nim szczerą ręką komfortu, dla ściągnięcia cudzoziemców, pod pozorem, że tym sposobem ściera się z niego i naszych Tatr wspaniałych piętno poezji, pomyślą, ile zyskała Szwajcaria przez taką jego w jednej Lucernie pracę, może ulitują się nad naszą Polską, i przyłożą rękę, do upodobnienia naszych skarbów przyrody, do skarbów tego kraju.

Może.

Tymczasem niech tu do tej Lucerny przyjeżdżają.

I patrząc na to co tu jest, niech dobrze rachują z kredką w rękę.

A jeżeli wynik tego rachunku nie przekona ich o tem, że przeciwstawiając się chociażby tylko projektowi poprowadzenia kolejki na Świnicę, przeciwstawiają się temu, co nam wyzwolonym z niewoli i niszczycielskich rządów naszych ciemężców, w pierze porastać pozwala, uznać ich chyba ruchaba ta każe, nie za ideowców godnych poklasku i pochwały, lecz za doktrynerów zaślepionych, dla celów drugorzędnych topiących to, co każdemu z nas stać powinno na pierwszym przedewszystkiem planie: dobro i pożytek kraju.

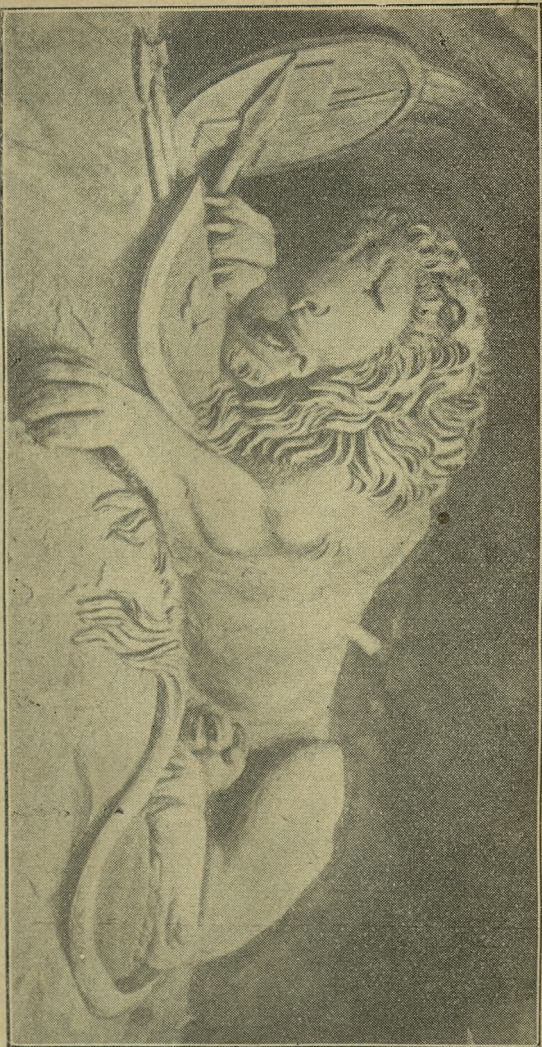
O ileż silniejsi byliśmy wewnątrz i zewnątrz,

o ileż więcej mielibyśmy pieniędzy w skarbie, chociażby tylko na budowę floty handlowej na Bałtyku, gdyby to dobro i ten pożytek, nie podporządkowane były celom, które pożytkowi temu i dobru przeciwstawiają się jak ogień wodzie, gdybyśmy idąc naprzód, i naprzód patrząc, szli zawsze wytrwale ku temu, co siły w nas wzmağa, w to jak w słońce spoglądali, co tym siłom dozwala się, dla ogólnego interesu odrodzonej naszej ojczyzny, pomyślnie rozwijać.

Szwajcarja ku temu zawsze idzie, w to bezustannie spogląda, wzrusza pogardliwie ramionami mądrych swoich synów, gdy ją ztąd i zowąd dochodzą takie głosy, jakie w naszym cu-downem Zakopanem prąd postępu paraliżują, i jest mimo ubóstwo skalistej ziemi, nawiedzana przez świat cały, szczęśliwą i względnie nawet bogatą.

A my, którzy leżymy w najlepszym Europy punkcie, łączymy wschód z zachodem, posiadamy glebę bogatą, skarby podziemne i klimat umiarkowany, my, o których w Psalmie dobrej woli powiedział tak prawdziwie Krasinśki: „wszystko nam dałeś co dać mogłeś Panie“, — a my?...





LEW THORWALDSENA W LUCERNIE.

ROZDZIAŁ IV.

W kantonie bajecznej legendy. Przed pomnikiem w Walddorfie. Co nam ukazał artysta wieki? Lud długi czas poza światem. Kolej Gotarda. Wcielenie miłości ojczyzny i ofiarności.

Więc to w Walddorfie wedle legendy starszej, miał Tell zestrzelić jabłko z głowy syna na rozkaz okrutnego Gesslerera.

Choćby się zatarł w kronikach dziejowych ten legendarny fakt, przejmujący każdego Szwajcara dumą, przypominać mu go nie przestanie wspaniały pomnik, ozdabiający miasta tego rynek.

Wykonał go pięknie Ryszard Kissling, i jeżeli prawdziwą jest opinja, że gdy artysta pragnie dobrze odtworzyć postać bohatera, musi się przejąć jego bohaterstwem, prawdziwości tej opinji, zadał on kłam.

Bo skoro świat cały nie wierzy dziś w istnienie Tella, i on wierzyć w nie też nie mógł, a przecież zrobił coś takiego, co w tych czasach pospo-

litości i szablonu w sztuce, wystrzela ponad zwykły poziom.

Mamy więc na tym pomniku Tella, gdy uszczęśliwiony trafnym strzałem w jabłko, nie zaś w głowę syna, ze swoim pierworodnym kroczy wśród tłumiącego oddech w piersiach z ra-



T E L Z S Y N E M N A P O M N I K U W A L T D O R F I E

dości ludu, ku swojej żonie, by ją strapioną i zbołałą pocieszyć i podnieść.

Przewiesił przez ramię łuk, uniósł do góry tryumfu i pogardy dla wroga wzrok, i jakgdyby chciał mu powiedzieć: widzisz czem jestem, drżyj na myśl o tem czem dla ciebie stać się mogę, idzie naprzód, budząc szacunek i podziw.

Energja w oczach, nadludzka siła w wyprężonych muskułach, śmiały aż do zuchwalstwa ruch, wszystko to mówi czem on jest, do czego, gdy nadejdzie czas zmierzenia się z najeżdżcą niosącym ojczystemu jego krajowi poniżenie i zagładę, zdolnym się stanie.

I symbolizuje nie człowieka, który nigdy nie istniał, ale naród, który istnieje i nie przestanie istnieć nigdy.

Naród zjednoczonych Szwajcarów.

Ten, co otoczony przemożnymi nieprzyjaciołmi, słaby pionek na szachownicy, na której inni grali o jego przyszłość, powalił ich na ziemię, —

Ten, co urodzony w górach trzech maleńkich kantonów, dla obrony wspólnej, ogniem swojego ducha ogrzał je wszystkie, skupiając je w jedną całość, —

Ten wreszcie, co oparty na prawie i wolności, uczy dziś świat depczący jedno i drugą, poszanowania najdroższych skarbów człowieczych: wiary i języka.

Ten.

O nim więc, o tym narodzie bohaterskim, ale nie o Tellu, twórca wielki pomnika tego musiał

myśleć, gdy wcielał swój pomysł w bronz, on nie Tell stać musiał przed ducha jego wzrokiem, zapatrzonym w dal bezgraniczną, w pogoni za natchnieniem.

Bez tego nie zdobyłby się on na to co stworzył, zrobiłby rzecz na obstalunek, o rysunku poprawnym i szarmonizowanym z sobą częściami ciała, ale też o niczem więcej.

Myśląc o bohaterskiej ojczyźnie swojej, stworzył prawdziwe dzieło sztuki.

Najpiękniejszą i najpodnioślejszą z rzeźb, jaką poszczycić się może jego ojczyzna.

Aldorf jest solicą kantonu Uri.

Przecina go żelazna kolej, prowadząca z Zurychu do Włoch, żadną przecież prostą linią nie łączy go z Zachodem i wschodem.

Chcąc się więc naprzykład do takiego Glarus dostać, należy zatoczyć koło, wzdłuż połowy jeziora Zurychskiego, chcąc wejść w styczeń z obu samodzielnie połowami kantonu Unterwalden, przepłynąć przez wód lustro, ponad którym unosi się w powietrzu Tellowska legenda.

Olbrzymie góry zalegające szerokie przestrzenie, paraliżowały tu chęć człowieka podania z bliska ręki sąsiadom najbliższym, musiał się więc on ograniczyć w swoich pragnieniach, i nie mogąc zdobyć się na to czegoby chciał, zrobił to jedynie, co na razie zrobić mógł.

I to też zrobił, że jednak nie odnieśli z tego takiej korzyści ci najbliżsi jego sąsiedzi, nie może to mu być poczytane w żadnym razie za obciążającą go okoliczność.

Położony w strefie Alp wysokich, przywalony literalnie łańcuchem olbrzymich skał, kanton Uri, nie matką, ale macochą jest dla zaludniających go mieszkańców.

I po kantonie Gryzońskim, najmniej z całej Szwajcarji, bo tylko 18 mieści ich na jednym kilometrze kwadratowym.

Jak oni żyją, przekonać się o tem dobrze można, gdy przebiegnie się ten kanton wszcz i wzdłuż.

Niema tu pól uprawnych, „malowanych zbożem rozmaitem, wyłaczanych pszenicą posrebrzanych żytem”, nie widzi się rozłożystych łąk zielonych, czarujących wzrok szmaragdem traw, kołysanych wiatru podmuchem.

Czarne olbrzymy skaliste na prawo i na lewo, w głębokich czeluściach rzeka Reuss i parę potoków górskich, przewalających swe fale po ostrym kamienach, a na tem i przy tem, niewielkie domki dające dach nad głową człowiekowi, nieliczne gromady krów, kóz i owiec, chroniące go od śmierci z głodu.

A tam na szczycie, stado gemz skaczące ze zrębu na zrąb, budzi w nim nadzieję, że stanie się ono przy pomysłnych okolicznościach jego łupem, tam zachowana dotąd od zniszczenia część starego lasu, lub niewyekspluatowane jeszcze łomy pięknego granitu i kryształu górnego, w dalekiej perespektywie ukazują mu szczęśliwsze niż dziś jutro.

Smutna egzystencja, niezawodnie bardzo smutna, i gdyby nie hart jego ducha i poprzesta-

wanie na małym, nie ostałby się on tu w liczbie 20 tysięcy mieszkańców, złamałyby go warunki twarde, skruszywszy jego nadludzkie wysiłki.

Opancerzony przecież zaletami swojemi, stoi on tu silnie, mimo, że lawiny górskie zmiotają mu nieraz z przed oczu cały jego dobytek, wylewy wód zatapiają jego nędzne łąki, fön zdradliwy, zrywając mu dach z nad głowy, wieje w jego oczy.

Jakaż nauka dla tych, którzy jak my w naszej Polsce naprzykład, i ziemię mamy urodzajną pod nogami, i nie potrzebujemy się borykać z żywiołami, które mu tu zagładę poprzysięgły, i którym jeśli czasem w oczy wiatr zawieje, to prawie zawsze dzięki nie innej przyczynie tylko tej, że te oczy ospale przed siebie spoglądają, podczas gdy ręce leniwie spoczywają w spokoju.

Jakaż nauka...

Do roku 1880 kanton Uri odcięty był zupełnie nie tylko od Europy, ale i od reszty Szwajcarii.

Leżał po za światem.

W głębi swoich gór zamykających go niby w wale ochronnym.

Ale leżał w ważnym punkcie.

Na drodze prowadzącej z północy na dalekie południe.

Nie tylko więc było w interesie Szwajcarii, aby go przerznąć żelazną drogą, Niemcy i Włochy zainteresowane były też w tem wielce, gdyż pragnęły po przez niego podać sobie ręce.

By wymieniać z sobą wytwory swojej gleby

i swojego przemysłu, a może przy rozbudzonej
chciwości na cudze, śmierć niosące pociski
i ciosy.

Poprowadzenie przecież drogi szynowej
przez ten kanton, połączone było z olbrzymimi
technicznymi trudnościami.

Należało przebić górę św. Gotarda, wysoką
na 3 tysiące przeszło metrów.

Wywiercić w niej tunel olbrzymich rozmiarów.

Zatryumfowano przecież nad przyrodą, która
w tym miejscu gdzie się ta góra wznosi zdała
się szydzić z ludzkich zamiarów.

Silna wola skoalizowana z nauką, trudności
te pokonała.

Zebrano 230 milionów franków, ściągnięto
z północy i południa armję robotników, zwie-
ziono ze wszystkich stron materiał budowlany,
i w roku 1872 zabrano się do wielkiego dzieła.

I ukończono je po ośmiu latach wytężonej
i nieustającej ani na chwilę pracy.

Tunel stanął, ustronny kanton wszedł w ści-
sły związek z kantonami innymi Szwajcarji, Eu-
ropa wzbogacona została nową komunikacyjną
linją, powołaną do wzmożenia jej dobrobytu.

Dziś więc do kantonu tego, obcy przycho-
dzień przenikać bez trudności może, i podziwia-
jąc grozę i majestat niezrównanej jego przyro-
dy, jednocześnie przyglądać się ze zdumieniem
dzieła inżynierji, świecącej tu jeden z najwięk-
szych swoich tryumfów.

Jak dotąd ku dobru człowieka, przyszłość

jednak która jest w ręku Boga, przekona nas, czy przy niepohamowanej pożądlivości i dumie, chociażby tylko takich żarłocznych i nigdy niczem nienasyconych Prus, tryumf jej nie będzie kiedy złego tryumfem.

Zatem, jedynie na północ i na południe kantonu Uri wydostać się ztąd wygodną i szybką drogą można.

Na wschód i zachód nie.

Do Stansu więc i do Sarnen należy kołować, zabierając nawet ze statkiem parowym bliższą znajomość.

Przecież jechać tam muszę, skoro już bowiem jestem w tak nazwanej przezemnie Wielkopolsce Szwajcarów, czyliż mogę pominąć najbardziej na zachód wysuniętej tej dzielnicy kanton Unterwalden, w którym dwa te miasta zaliczają się do najgłówniejszych.

Kanton Unterwalden należy do tych, które jak Bazylejski i Appenzelski podzielony jest na dwie samodzielne połowy.

O odrębnych rządach i urządzeniach społecznych.

Otóż stolicą jednej niższej jest pierwsze z tych miast, drugiej, drugie.

Prawdziwie oryginalną jest ta pierwsza stolica, ten Stans rozłożony u stóp olbrzymiego Stanserhornu.

Bo liczy zaledwie 2,800 mieszkańców, najmniej chyba ze wszystkich stołecznych miast na całym świecie.

Niezbyt oddalony od jeziora Czterech Kantonów, zbudowany na uboczu gęsto zadrzewio-

nego pagórka, wygląda ładnie ze swoim rynkiem o kościele starożytnym, kaplicą śmierci z ozdabiającymi ją czaszkami i piszczelami zmarłych, z pomnikiem Winkelrieda.

Zwłaszcza z tym pomnikiem, który stanowi największą jego ozdobę.

I ten Winkelried jak Tell, jest drogim sercu każdego Szwajcara, i on zapisał się w jego dziejach niestartem zgłoski.

Tylko nie jak Tell fantastycznemi.

Bo istniał, oddychał jego powietrzem, poświęcił się rzeczywiście dla jego dobra.

W krwawej bitwie z Austryjaczami pod Sampach.

W bitwie, która po długich bojach z niemi, przesądziła o ich losie w Szwajcarji, i usunęła ich na zawsze z kraju.

Jak wiadomo, w bitwie tej Winkelried zdecydował odwagą swoją o zwycięstwo, gdy bowiem nacierający na wrogów Szwajcarzy nie mogli przedostać się po za zbity uzbrojony dziedami ich żywy wał, on rzucił się śmiało naprzód, piersi swoje nadstawił na ich ostrza, i padając wraz z niemi na ziemię, utworował postępującym za nim drogę do zwycięstwa.

Otóż tę chwilę tej bitwy uplastycznił na pomniku w Stans rzeźbiarz.

W grupie trzech figur, na tle obramowania architektonicznego o barwie czerwonej.

Na ciele poległego starca, leży z dziedami utkwionemi w swoich piersiach ten bohater, i z nim wyda ostatnie tchnienie, zwraca poza siebie

wzrok, w stronę stojącego za nim młodego rycerza z maczugą.

By mu powiedzieć, że spełnił swoją powinność, że zrobił wyłom, przez który przedostać się dla zgnicenia Austriaka można.

Taką chwilę wybrał dla uplastycznienia swojej myśli rzeźbiarz.

I ten tu pomnik jak tamten w stolicy kantonu Uri uosabia patriotyzm i odwagę, i ten sercem wstrząsa, ale o ileż od tamtego stoi pod względem arystycznym niżej, choć jak tamten mówi każdemu gromkim głosem obowiązkowości i miłości Ojczyzny.

Jednak łączność pomiędzy obu temi pomnikami jest duchowo jedna.

Pomnik ten wzniesiony jest w niewielkiej odległości od domu, w którym Winkelried miał kiedyś zamieszkiwać. Przejmuje on każdego Szwajcara dumą, i każdemu każe nie zapominać o kraju rodzinnym, tak jak nie zapomniał o nim i mityczny Tell.

Szczęśliwy kraj, który gdy myśl swoją w przeszłość zwróci, może ją oprzeć o taki mit i o taką rzeczywistość...

Ten Stans malowniczo niezmiernie i upamiętniony tym pomnikiem, jest przejściem ze strefy przedalpejskiej do Wysokich Alp.

O krok od niego unosi się grzbiet Stanserhornu, z którego szczytu gdy się nań linją kolejową przedostanie, widzi się przed sobą dwa jeziora, a przy sobie skaliste łańcuchy, Oberlandu Berneńskiego.

Krajobraz prawdziwie niezrównany, z wysokości 1901 metrów, wzrok niby z zawieszzonego nad ziemią balonu ogarnia szerokie przestrzenie, z lotu ptaka podziwia ten czarodziejski zakątek Szwajcarii.

W Engelbergu, górze anielskiej, urywa się linja kolei żelaznej, prowadząca w głąb dolinę rzeki Aa, od jeziora Czterech Kantonów.

Zaczyna ją płaszczyna wodna, kończy zapora skalista, w postaci olbrzymiego Titlisu (3.239 metrów) rozpościerająca się na dalsze południe.

Pozostawiono ją tu w spokoju, przez połączenie przecież drogą szynową Engelbergu z resztą świata, stworzono w tym miejscu stację klimatyczną, jedną z najwspanialszych jaką Szwajcaria zna.

Hotel też stoi tu przy hotelu, a w dniach zjazdu turystów, odległy ten zakątek słynny klasztorem Benedyktynów, przeinacza się w miejsce stacji ludzi z całej Europy.

To jedna samodzielna połowa kantonu Unterwalden, niższa, druga wyższa jest znacznie wprawdzie od niej większa, zaludnieniem przecież swoim nie o wiele nad nią góruje.

Równie katolicka, liczy mieszkańców przeszło 15 tysięcy, i grupuje się dokoła małego miasteczka Sarnen, nie o wiele zaludnieniem swoim górującego nad Stansen. A charakterem powierzchni całkowicie upodobania się do niej, i krajobraz rozpościerający się uszczytu Pilatusa, ukazuje oku równie rozległy i wspaniały

jak ten, jakim wzrok szczyt Stanserhornu wzbogaca.

Z jednakowym więc zajęciem niechaj przybysz ze stron dalekich przebiega obie połowy pięknego tego kantonu, i pełen podziwu dla wspaniałego tego łańcucha, zamieszkującego jego góry i doliny człowieka, tu i tam niechaj na każdym kroku słowami wysokiego uznania i szacunku darzy.



ROZDZIAŁ V.

Kraj przez pół katolicki. Ze statystyki wyznaniowej. Częstochowa Szwajcarji. Podobieństwa i różnice.

Szwajcarja jest krajem przez pół katolickim.

Przez pół.

Protestantów jest w niej o pół miliona tylko więcej niż katolików, ale podczas gdy na 22 kantony nie spotykamy ani jednego wyłącznie protestanckiego, katolickich w których protestantów prawie niema jest cztery: Uri wyższy i niższy, Unterwalden, połowa kantonu Appenzell, (Inner Rhoden).

Na ogólną liczbę 61.529 mieszkańców tych kantonów, mamy w nich tylko 2.090 protestantów, co przedstawia tak znikomy ułamek, z jakim o ile o katolików chodzi, nie spotykamy się w żadnym kantonie protestanckim. Ale nie tylko te kantony są katolickie nawskroś.

W kantonie Lucerny na 134.020 katolików,

mamy protestantów jedynie 12.085, w kantonie Szwyc na 53.537 pierwszych, drugich zaledwie 1.836, w Zug na 23.362, — 1.701, we Fryburskim na 108.372, 18.373 w Tesyńskim na 135.823, 2.214, w kantonie Vallis na 112.584 — 1.610.

Tak więc w ośmiu kantonach, katolicy wprost przygniatają protestantów liczbą, w dwóch przecież Sollurskim i St. Gall, stanowią przeważającą o wiele ilość mieszkańców.

Można więc powiedzieć, że na 22 kantony w tym kraju, 10 należy do nich, podczas gdy jedenasty Genewski, jest więcej katolicki niż protestacki, liczy on bowiem katolików 67.162, a kalwinów 62.100.

Jeżeli przejdziemy teraz do kantonów przeważnie protestanckich, cóż uderzy nasze oczy?

Oto że w każdym z nich bez wyjątku są znaczne odsetki katolickie, że nie ma ani jednego, gdzieby katolicy stanowili mniej niż 10% mieszkańców.

Gdy więc w kantonie naprzykład takiego niższego Unterwalden, na 12.833 katolików, jest protestantów zaledwie 185, a w kantonie wyższego Unterwalden na 15.009, — 249, najmniej katolicki kanton (połowa kantonu Appenzell) liczy ich bez mała 11%, a kantony silnie protestanckie Neuchatel i Zurychu, od 12 do przeszło 25.

Można więc rzec śmiało, że w Szwajcarji oba te wyznania są rzeczywiście panującemi,

a zaledwie w kilku kantonach protestanckich, mieszkańcy ich nie są religijnie rozdzieleni.

Podobnego ustosunkowania do siebie dwóch wyznań, nie spotykamy nigdzie w Europie.

Nic dziwnego że kraj tak silnie katolicki jakim jest Szwajcarja, posiada świątynię najdroższą sercu wszystkich, dokoła której jak przy naszej Częstochowie gromadzą się w dniach uroczystych tysięczne rzesze, czerpiące jak przed jej ołtarzami wiarę, do pokonania przeciwności losu, i siłę duchową do nieupadania pod jego, naporem.

Świątynią tą, tą szwajcarską Częstochową, jest klasztor Benedyktynów w Einsiedeln, położony na północnym krańcu kantonu.

Miejsce to, już w roku 861, upodobał sobie, głoszący prawdy ewangelii świętej w Szwajcarji Św. Medar, w niem osiadł w osamotnionej celi, świecąc nawracającym się do prawd Chryszjanizmu, lub nawróconym już do nich starym Helwetom, szczytnym swoim przykładem. I od tego czasu stało się ono miejscem świętem.

Tam gdzie przybywał, zbudowano kosztowną kaplicę, rozpostarto nad nią sklepienie olbrzymiej świątyni, otoczono ją murami potężnego opactwa Benedyktynów, którzy jak Paulini nasi, stanęli na straży wizerunku Matki Zbawiciela.

Tylko nie z obrazu jak w naszej Częstochowie, ale z rzeźbionego postumentu, przyglądającej się hołdowi wierzących rzesz.

Na wielkim placu odsłoniętym ze wszyst-

kich stron, stoi w Einsiedeln to opactwo, cel niezliczonych od wieków pielgrzymek.

O białych murach, dwóch wieżach kopułami nakrytych, o szerokich przysiadłych do niego szerokich trzypiętrowych budowlach, patrzy ono na warownię obronną, uniesioną ponad budowlę miejskie, i panującą nad temi budowlami.

Zewnętrznym wyglądem swoim nie zachwyca, bo i kościółek i sam klasztor z zewnątrz bynajmniej pięknymi nie są, ale przemawia ono gromkim głosem powagi wielkiej i wielkiego namaszczenia.

Widzisz że to jest miejsce niezmiernej czci, że jest megneseem dla tłumów niezliczonych, że w niem i przy niem od wieków, jak w naszej Częstochowie, znajdowały opiekę miliony nieszczęśliwych i opuszczonych, i wieki jeszcze znajdować ją będą.

Póki w sercach ludzkich nie wyschnie wiara, ten kwiat życia, który godzi ludzi, choćby z najcięższem i najbardziej kamieniami usianem życiem.

Poważny i namaszczenia pełen, kościół opactwa z zewnątrz, olśniewa wewnątrz bogactwem i bajecznym kolorytem.

Wprost drzwi wchodowych uderza wzrok czworokątna kaplica Matki Boskiej.

Cała z marmuru czarnego, ze złoconemi ozdobami po bokach, stanowi ona świątynię w świątyni, i choć odcięta od zewnętrznych okalających ją murów, ściśle z tą której jest drobną częścią się łączy.

Bo we wgłębieniu jej nad bogatym ołtarzem widnieje wizerunek tej, która jest królową uroczego tego ustronia, i roztacza nad niem opiekę swoją.

Uniesiona ponad ołtarze, oświetlona tajemniczym światłem, spływającym na jej twarz jak gdyby nie z tego świata, tuli miłośnie do swoich piersi Odkupiciela win naszych, łagodnym wzrokiem spoglądając na korzających się przed nią, w pokorze wzywających jej orędownictwa, w niedoli rozkrwawionych serc.

I wlewa pociechę w serca.

Kiedy się przed tą kaplicą stanie i powiedzie okiem dokoła, widzi się cały ogrom i wspaniałość świątyni, która zamykając ją w murach swoich, jest jak gdyby olbrzymią jej ramą.

Składają się na to marmury i stiuki, ozdoby z brązu, malowidła po bokach i na szczycie.

I wszędzie pieścżą wzrok, wstrząsają ducha, czarują blaskiem drogocennych kamieni, błyskiem złociń, kolorytem farb.

I jeżeli o wrażenie chodzi, góruje nad naszą Jasną Górą.

Ale pod innym względem, porównania ona z Jasną Górą nie wytrzymuje.

Nie mówi Szwajcarji tego, co Jasna Góra mówi nam.

Bo nie rozegrało się przed jej ołtarzem nigdy to, co rozegrało się w Częstochowie przed wzrokiem Polaka, --

Bo w kronikach historycznych kraju nie zapisała się ona takimi jak nasza zgłoskami, —

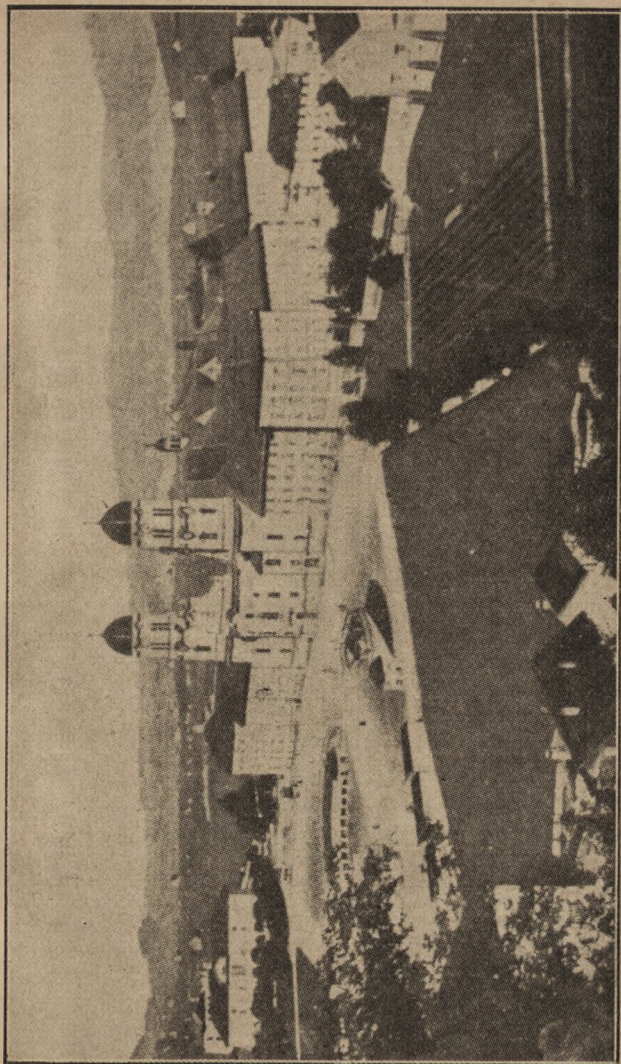
Nie skruszyła się tu w proch żadna potęga obca, jak szwedzkiego najeźdźcy za naszego Jana Kazimierza, —

Nie zapłonęła tu po jej odparciu przez Kordeckiego iskra Boża, która zelektryzowała i od upadku już w 17 stuleciu uchroniła Polskę.

I nie padał tu nigdy na kolana bohater tej miary i tych dla świata całego zasług co nasz król Sobieski, gdy szedł oswobodzić Wiedeń i Chrześcijaństwo od Turków, i nie biegł tu nikt nigdy jak nasz naród do Częstochowy, po ulgę w cierpieniach i łzach, gdy go barbarzyńca moskiewski i główny sprawca zbrodni rozbioru naszej Ojczyzny przeniawierczy prusak, rozpinał na krzyżu . . .

Więc Einsiedeln jest Częstochową katolickiej Szwajcarji, jest nią niezawodnie, ale dla ziemi starych Helwetów, znaczenia tego co Częstochowa dla Polski nie posiada, i posiadać nigdy nie będzie.





CZĘSTOCHOWA SZWAJCARÓW.

ROZDZIAŁ VI.

Kanton trzech stref Szwajcarji. Ogólna jego charakterystyka. Bern. Staroświecki wygląd śródmieścia. Panorama z pod stopnia Katedry. Klejnot nad klejnotami. W pałacu Rady Związkowej.

Kanton Bernu, po Gryzońskim największy z kantonów Szwajcarji, wyróżnia się tem od reszty w tym kraju, że leży we wszystkich jego górskich strefach.

Podczas więc gdy w każdym z pozostałych, podróżny ma przed oczyma jedną lub najwyżej dwie formacje geologiczne, tu spotyka się z czterema, trąca o wszystkie pokłady ziemne, które nadały całej Szwajcarji dzisiejszy jej wygląd i kształt.

Zawdzięcza to on swojemu geograficznemu położeniu i długości nieznanej kantonom innym, gdy więc wierzchołkiem swoim dosięgnął on góry Jura, a podstawę oparł o Wysokie Alpy, świat przedalpejski i uniesionych równin zamknął w swoim wnętrzu, tworząc tym sposobem w miniaturze obraz całości ojczyzny Tella.

Obraz prawie doskonały, bo nie brakuje w nim ani skał dzikich i groźnych, ani romantycznych jezior, ani gór o zboczach uroczych, ani winnic, ani pól uprawnych i łąk bujnych zielenią, słowem wszystkiego tego, co jest rozsiane po Szwajcarji całej, a co stanowi tak pociągającą, obcy innym krajom świata, urok.

To też dzięki tym swoim właściwościom, kanton Bernu jest magnesem dla wszystkich którzy Szwajcarję nawiedzają, i lubo kantonowi Gryzońskiemu pod wieloma względami on ustępuje, pobija go przecież jak i wszystkie inne tą różnolitą swoją cechą, tworzącą z niego coś ciekawego niezmiernie, i oryginalnego nawskroś.

Ciekawy wielce jako dzieło przyrody, dla badacza przeszłości całego kraju, i jego dzisiejszych politycznych urzędzeń, jest on przedmiotem pouczających studjów, tu bowiem od czasów rzymskich pisała się nie jedna pamiętna karta historii Szwajcarji, ztąd wyszła konstytucja, normująca prawa całego ludu, i stosunek wzajemny do siebie wszystkich kantonów.

I tu wreszcie usadowił się od roku 1848 jej centralny, ponad wszystkiem w całym kraju stojący rząd, bynajmniej przecież nie paraliżujący jak gdzieindziej rządy centralne, swobodnych ruchów poszczególnych jej prowincji.

Bern jest stolicą kantonu tego, stolicą całej Szwajcarji.

Szwajcarji właściwie nie, bo ona w przeciwieństwie do państw innych, stolicy nie zna, sprzeciwiałoby się to bowiem zasadzie równości,

podporządkowywało mu stołeczne miasta poszczególnych kantonów.

A tego Szwajcar nie znosi.

I jak każdy jego kanton jest zwierzchniczym (souverain) jak opiewa konstytucja, tak prócz swojej kantonalnej, innej stolicy on nie uznaje, i uważa to miasto jedynie za siedzibę centralnego rządu, za pierwsze pomiędzy równymi, ale za nic więcej.

Bern leży nad Aarą.

W miejscu gdzie się on rozsiadł, założony przez księcia Bertolda V w r. 1191, rzeka ta robi niewielki skręt, oblewając wysoko ponad jej łożysko uniesiony półwysep.

Otóż na tym półwyspie, będącym niegdyś jednym wielkim borem, wedle odwiecznej legendy polować miał w tych odległych czasach na niedźwiedzie ten książę, i gdy jednego z nich, olbrzyma nad olbrzymami zabił, postanowił tu zbudować warowny gród, dając mu nazwę, przypominającą potomnym upolowaną przez siebie zwierzę.

Jakoż las wycięto, mury wzniesiono, i na pamiątkę że w następstwie tego polowania, niedźwiedzie z Bernem złączyły się ścisłym związkiem, umieszczono je tu w głębokiej fossie poza rzeką i miastem. I żyją tu w niej pielęgnowane z troskliwością wielką, i dziś stanowią nie małą atrakcję odwiecznego tego grodu.

Jak wilki Rzymu.

Tylko że wilki nad Tybrem uwięzione są w ciasnej klatce, a niedźwiedzie Barnu mają dla

swojego użytku miejsce wygodne i przestronne, i tam ku ucieście nawiedzających go przyjezdnych, wyprawiają, dopraszając się o pożywienie figle, świadczące o ich zręczności i intelegencji.

Stary bardzo, zachował Bern po dziś stary i oryginalny wygląd.

Zwłaszcza na głównych swoich ulicach, stanowiących ściśle mówiąc ulicę jedną, od dworca kolejowego do niedźwiedziego dołu ciągnącą się długą prostą linią.

Masz więc tu charakterystyczne domy o średniowiecznych galerjach, dających ci na całej swojej linii nakrycie nad głową, masz wieże zegarowe i studnie ozdobione średniowiecznymi rycerzami, przechowanymi już na niewielu ulicach starych szwajcarskich miast.

Kiedy więc temi ulicami, a raczej tą jedną długą ulicą idziesz lub jedziesz, i wzrok poprowadzisz uważnie po murach i kamieniach, zdaje ci się, że jesteś w jakimś obcym świecie, odgrzebanym z pod popiołów, i wtłoczonym w świat dzisiejszy, żeś się urodził o kilkaset lat wstecz.

Bo te arkady średniowieczne przy kamienicach, te wyskakujące z wielu z pomiędzy nich drewniane daszki w strychu, podwórka wązkie i ciasne, małe okienka i ciemne komnaty, te figury urągające dobremu smakowi i wymaganiom dzisiejszego artyzmu, i wreszcie te wieżycy tegoczesnym miastom nie znane, a choć architektonicznie nie stylowe, przecież interesu dla oka nie pozbawione, wszystko to mówi ci o dniu wczoraj-

szym, innych ludziach i porządkach innych, rodzicach i ludzi i porządków dzisiejszych, a przecież nie zdających się mieć z nimi wspólnego wiele.

Jakgdyby byli czemś zupełnie im obcem, jakgdyby z nimi nie łączyła ich nic tkliwego związku, który czas niemożliwie poplątał, których przecież nie był w stanie porwać, ani potargać.

A cóż dopiero powiedzieć o tych kamiennych niedźwiedziach na pomniku na rynku, przylegającym do tej niezwykłej ulicy, i martwym okiem z uniesienia swego przyglądających ci się bezmyślnie, niezdarnych jak ci rycerze na studniach, i tych kamienicach imponujących nie pięknnością swoich kształtów, ale ciężkością grubych kadłubów, cóż powiedzieć? Chyba to, że ten wczorajszy Bern, w dzisiejszym zajmującym część nie największą, ale najbardziej godną uwagi, to plastyczna kronika zmarłego doszczętnie w tyłu szwajcarskich miastach średniowiecza, a tu przechowanego z pietyzmem prawdziwym, ku nauce tych, którzy gdy z książek jedynie o niem słyszą, mają przed swemi oczyma nie jego rzeczywisty obraz, ale karykaturę takiego obrazu.

Zatem wędrówka po Bernie daje przyjezd-nemu moc wrażeń, jakimi go darzy już miast nie wiele w dzisiejszej Szwajcarji, myliłby się przecież ktoby sądził, że jest to miasto czemś w rodzaju historycznego i archeologicznego muzeum.

Wcale nie, poza jego bowiem częścią starą, rozpostarło się w nim miasto nowe, z całym prze-

pychem i urokiem, dostosowanym do dzisiejszych naszych upodobań.

Dość posunąć się o kilkaset kroków od jego wnętrza, aby się o tem dokładnie przekonać.

Ujrzy się wtedy linje ulic bynajmniej tej staroświeckiej nie przypominających, a na nich kamienice, z jakimi choć one takie brzydkie i jak szereg żołnierzy jednostajne, zżyliśmy się w naszych miastach.

Tylko że te kamienice w Bernie, mają tło wspanialsze niż gdzieindziej, okolone są górami, zwieszają się tu i owdzie nad wąwozem głębokim, w którym Aara płynie, tylko że gdy się od nich wzrok odwróci, ma się panoramę czarodziej-skiej przyrody dokoła z zielenią w pobliżu, ze śnieżnym całunem na dalszym planie.

Tylko . . .

Ale to „tylko“, zapominać nam o tem każe co w nich razi, i każe zgodzić się na jedno, że Bern dzisiejszy jest ciekawym, jednocześnie przecież i bezsprzecznie pięknym grodem, godnym siedziby centralnego rządu.

Kto chce wspaniałość położenia tego miasta poznać i ocenić, niech po przyjrzeniu się katedrze, okazałemu z zewnątrz masywnemu dziełu czasów wczorajszych, przestąpi wrota niewielkiego ogrodu, przysiadłego do niej z tylnej strony.

Ujrzy co?

W środku pomnik założyciela miasta, z tak pospolitym tu wszędzie niedźwiedziem, a po bo-

kach mur zabezpieczający przybyszów do ogrodu tego, od upadku w głęboką przepaść.

Bo i ta katedra i ten ogród i Bern wreszcie cały, wznoszą się na piaskowcowej skale, okolonej Aary pierścieniem, kto więc po uczczeniu tego, komu powstanie to miasto zawdzięcza, posunie się ku krańcowi ogrodu, wstrząśniętym zostanie majestatem obrazu, nieznanego żadnemu Szwajcarji całej grodowi.

Stoimy na wysokiem wzniesieniu, niby w jaskółczem gnieździe, stoimy a raczej zwieszamy się nad jego stromem zboczem.

Kąpięcem się w wody łożysku.

Wody, która tu przybyła ze stron dalekich, urodzona w lodowcu Alp wysokich, oczyściła się z pyłów i mułów górskich w dwóch malowniczych jeziorach Brienzu i Thunu, gotując się do dalekiej na północ podróży, i napotkawszy na drodze swojej półwysep na którym Bern stoi, okoliła go z trzech stron wiankiem kryształowym i ruchomym.

Kiedy się więc wzrok na dół zwróci, ma się ten wianek z całym jego urokiem, odbijającym w sobie przybrzeżnych drzew zieleni, a więc niby prawdziwy wianek zielony, raz szerzej to wężiej rozpościerający się na kobiercu na który go przyroda porzuciła, pełen poezji, ale zarazem i dziwnej jakiejś tajemniczości.

Bo spoczywa on na dnie przepaści, wije się w dole, w lustrze białej powierzchni swojej odzwierciadła panoramę górskiego otoczenia, i strzegąc tego odwiecznego grodu, zdaje się być

zesłańcem jakichś mocy nadziemskich, w opiekuńczej trosce utrudniających dostęp do niego najeźdźcom.

A cóż gdy nasyciwszy się tym w głębi widokiem, wzrok się uniesie i powiedzie nim na prawo i na lewo?

Wtedy w bliższej i dalszej perspektywie, ujrzy się pasmo górzyste, łańcuch skalisty pełen grozy i majestatu, tu i owdzie usiany nietającym nigdy śniegiem, tu i owdzie bodzący obłoki kamiennym dzikim zębem.

I od obrazu tego oderwać się nie będzie można, z dołu do góry i z góry na dół prowadzić się będzie oczy bez wytchnienia, pojąć duszę rozszanem tu z rozrzutnością niesłychaną, pięknem.

A kiedy się nareszcie z czarodziejskiego tego miejsca zejdzie?

O wtedy powiedzieć się sobie musi, że w szeregu pereł Szwajcarii, Bern z tem swoim uroczem położeniem, jest być może perłą nie najcenniejszą, ale że gdyby ojczyzna Tella w skutek jakiego podziemnego kataklizmu go postradała, zapłakałaby nad stratą swoją niemniej boleśnie, jak wedle poetycznego wyrażenia Byrona, świat cały po stracie Wenecji, czarodziejskich pałaców Adrjatyku wspaniałej królowej.

Tak jest.

Bo Bern jest klejnotem nad klejnotami, jako twór ludzi i przyrody twór.

Pracował nad nim niestrudzony człowiek, i uszanował wiele w nim z tego, z czem tak bez

miłosierdzia obszedł się w tym kraju w miastach innych.

Pracowała w nim natura, i upoetyzowała i podniosła to, co zbudował ten człowiek.

I ta spółka stworzyła coś niezwyčajnego, zaimponowała wszystkiemu i wszystkim, i dopóki nie ulegnie przymusowemu rozwiązaniu, imponować wszystkim i wszystkiemu będzie.

Bo wiele miast i siól podróźny po Szwajcarji zapomni, wiele zleje się w myśli jego w mętny obraz, Bernu nie zapomni on nigdy.

Ze swojemi staroświeckimi wieżami, gmachami tak niepodobnemi do tych w jakich nam życie spływa, starą swoją katedrą gotycką, rycerzami w średniowiecznych zbrojach na malowniczych słupach na ulicach, żywymi niedźwiedziami łaszącymi się do nas w fossie by otrzy-
 mać kawałek marchwi lub chleba, i martwymi wyszczerzającemi zęby z kamienia na pomniku na rynku i w ustronnych podwórkach, i tą wreszcie panoramą nad Aarą, stać on mu będzie zawsze przed okiem duszy, budząc w niej słodkie i rzewne uczucia, urodzone w tem co było, spotęgowane tem co dotąd tu jest.

Bernie, Bernie! Zapłakałaby po tobie, powtarzam to z naciskiem, Szwajcarja cała, gdyby co nie daj wielki Boże, wstrząśnienie podziemne, uroczy otoczony wstęgą Aary skrawek ziemi na której stoisz, zamieniło jak tyle twoich miejscowości górskich, w stos rozpadlin i ruin.

.

Od roku 1848 Bern jest siedzibą centralnego szwajcarskiego rządu.

Od roku przecież dopiero 1891 posiada gmach, będący godnym pomieszczeniem tego rządu.

I przedstawicielei wszystkich jego kantonów.

Aby go wznieść, nie szczędzono kosztów wielkich, zwrócono się do najlepszych wzorów, i przyozdobiono to miasto majestatyczną rozmiarami budowlą, nie szczędząc jej architektonicznych i artystycznych ozdób.

Już kiedy się znajdzie w klatce schodowej i nogę postawi na pierwszym piętrze, choćby się nawet nie przyczytało napisu pomieszczonego na tym gmachu, widzi się czem on jest.

Symbolem związku czterech zaludniających Szwajcarję ludów.

Wolnem miejscem obrad narodowości czterech.

Bo przed wejściem do sal gdzie narodowości te o sobie stanowią, stoi czterech w średniowieczne stroje przyodzianych martwych rycerzy, a każdy z nich zewnętrzną charakterystyką swoją mówi kim jest, i jakiej kultury jest przedstawicielem. Wszyscy równej wielkości, z jednaką starannością wyrzeźbieni, na murowanych swoich podstawach tworzą koło harmonijne, wszyscy spoglądają na kamienną grupę zajmującą środek schodowej klatki, a wyobrażają niezapomnianych trzech mężów Szwyc, Uri i Unterwalden, którzy w chwili gdy najeźdca Szwajcarji przeciągnął strunę gwałtu i znęcania się nad po-

konanemi, poprzysięgli sobie w Rütli nad jeziorem Czterech Kantonów, że nie spoczną, póki go nie wygnają z kraju.

Ten gmach Rady Związkowej, wiąże tu w jeden organizm wspólny wszystkich Szwajcarów, gromadząc ich dla myślenia o troskach i potrzebach wspólnych.

W ramach konstytucji jaką sami sobie nadali.

Wzniesiony jak na Szwajcarję kosztem wielkim, okazały na zewnątrz, wewnątrz odznacza się on powagą i gustem.

Wzmiankowałem wstępując w jego progi, o wspaniałej klatce schodowej, nie mogę na wychodnym pominąć sali obrad przedstawicieli ludu szwajcarskiego.

Gdyż między dekoracją jednej i drugiej, widzę symboliczny związek.

I tam bowiem i tu mam coś takiego, co nie przypadkowi chyba zawdżęcza swoje powstanie, co jest owocem patriotycznej myśli twórców gmachu.

Gdy więc ustawieni tam obok siebie w postaciach bronzowych czterej rycerze, cztery narodowości zamieszkujące Szwajcarję przypominają każdemu powołanemu tu do narad nad dobrem kraju, a grupa kamienna uplastyczniająca trzy najpierwsze kantony: Schwyz, Uri i Unterwalden, że w związku i jedności leży jego siła, rozwieszony na ścianie sali obrad publicznych wielki obraz, przedstawiający jezioro nad którym unosi się od wieków bohaterska legenda Wil-

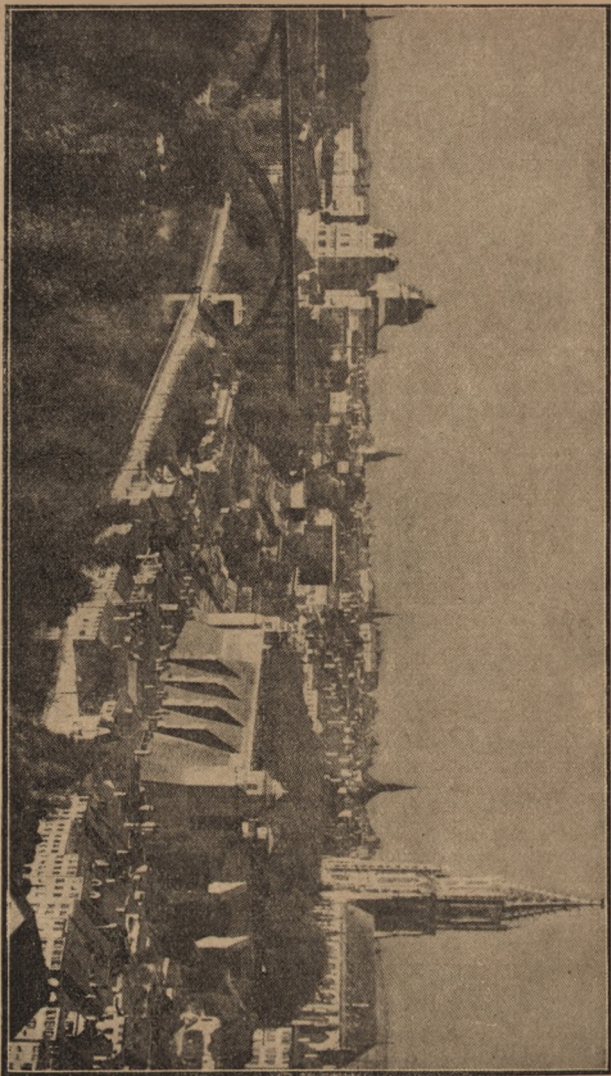
helma Tella, przed duszy okiem stawia każdemu znowu kolebkę tej ojczyzny, gdzie zakiełkowały publiczne cnoty stanowiące przedmiot jej chwały.

To też kiedy zebrani wraz z innymi w tym gmachu, złożwszy przysięgę na wierność swoim obowiązkom przystępują do narad, pokarm jaki drogą wzroku przedostaje się z tych grup rzeźbiarskich z tego obrazu Czterech kantonów do serc, krzepi ich do pracy nad przechowaniem następcom swoim w nieskalanej postaci tego, co się w spadku dostało po przodkach: troski o niepodległość Szwajcarji, o jej powagę, poszanowanie w świecie i o wolność.

Oby troska o to samo, po wiekowej niewoli powstałej z grobu Polsce, dla jej szczęścia i błogosławieństwa przyszłych pokoleń, przyświecała jak gwiazda pierwszej mocy na niebie.



OGÓLNY WIDOK BERŃD.



ROZDZIAŁ VII.

Oberland Berneński. Dwa jeziora bliźnie. Ich charakter. Interlaken. Słowo o przemyśle ludowym. Czem pociąga ku sobie Meiringen?

Kto z podróżujących po Szwajcarji o Oberlandzie Berneńskim nie słyszał?

Kto po zwiedzeniu Zurychu, Bernu, Lucerny i Genewy, nie zamarzył o zobaczeniu Hassli, a zamarzywszy o tem, nie zboczył od nich ku południowi, by ujrzeć na własne oczy krajobraz, o którym myśl spędzała mu nieraz z powiek sen?

Kto?

Nic dziwnego, bo jeśli Bern i cały wogóle kanton, od tego pięknego miasta noszący nazwisko, w całym znaczeniu tego wyrazu są urocze, jeśli bogate rzadko gdzieindziej spotykanemi widokami, najobojętniejszego na czary przyrody poruszają i elektryzują, południowa kantonu tego dziedzina, wtłoczona w strefę wysokich Alp, o palmę pierwszeństwa walczyć bezprzecnie może, z najpiękniejszymi stronami świata.

Przy mieście Thun rozpoczyna się właściwie

Oberland Berneński, i na progu swoim rekomenduje się czemś takim, co niema podobnego w całej Szwajcarji.

Dwoma jeziorami, najwyżej ze wszystkich w tym kraju uniesionemi.

Podczas bowiem gdy największe z nich Genewskie i Konstancjeńskie leżą na wysokości 375 i 379 nad poziom morza, jezioro Thun zajmując wysokość 560 a Brienz 566 metrów, dominują nad wszystkiemi.

Otóż do pierwszego z tych jezior, Thun jest wstępem, wstępem i do Oberlandu Berneńskiego, nadewszystko też od połowy roku 1913, w którym stolicę tego kantonu połączono linią kolei z Włochami.

Położony nad Aarą, w pobliżu miejsca w którym wypływa ona z jeziora jego nazwiska, ze swoim starym zamkiem na górze, pamiętającym wiek 13 i ulicami o daszkach wystających nad okna wyższych pięter, należy on do tych, znikających już w Szwajcarji średniowiecznych miast, które dla znudzonego popolitością dzisiejszych grodów, tych koszar bez charakteru i oryginalności, przedstawiać zawsze będą niezwykły urok.

To też kto do niego zawita, choć go uważa za stację przechodnią, zatrzymuje się w nim zawsze czas jakiś, i nie żałuje tego nigdy, zwłaszcza, że nigdzie już na południu tego kantonu, z czemś podobnem się nie spotka.

Świadomi też uroku jaki dokoła siebie miasto to roztacza, mieszkańcy jego dbali o kieszeń

własną, zabudowali je pięknymi hotelami, i nie żałują poniesionych kosztów, w porze bowiem w której w pochodzie swoim przewala się w Szwajcarii z północy na południe fala cudzoziemców, znajduje w nim ona zawsze dłuższy lub krótszy postój, w budżecie jego mieszkańców znaczący się dużym przyrostem.

Jeżeli Thun jest wstępem jak powiedziałem do Oberlandu Berneńskiego, dwa te jeziora stanowią że się tak wyrażę, godną jego podstawę.

Podstawę wspinała.

Bo oba ujęte są w kłamrę górzystą, oba otoczone łańcuchem miejscami poszarpanym i wcinającym się w ich wody, oba darzą podróżnego widokiem niezawodnie mniej dzikim od tego, jaki ma on w obrębie jeziora Czterech kantonów, niemniej przecież poetycznym i pełnym urozmaïcenia.

Zwłaszcza też jezioro Thun, większe nieco i o brzegach mniej niż Briendzkie jednostajnych, i nad niem Spiess naprzykład, dopóki ludzie prawdziwego piękna czcić nie przestaną, z siłą magnesu nie przestanie ciągnąć ich ku sobie.

A przyciągnąwszy zatrzymywać, dając złudzenie pełnego słodczy i spokoju rajy na ziemi.

A taki Spiess nie jest tu wyjątkiem, widok góry Beaty zarysowującej się w dali gdy na statku parowym podpływa się z przeciwnego jeziora tego wybrzeża, najbardziej zapamiętałego melancholika pogodziłby niezawodnie z tym światem.

Jezioro Thun z jeziorem Brienz połączone jest kanałem Aary.

Niby lazurą wstęgą.

Przepływa ona przez oba, oba z sobą jednoczy, i w dolinie którą pomiędzy niemi żłobi, daje miejsce na wszechświatowej sławy zakątek.

Interlaken.

Skąpany w zieleni drzew, o przepychu budowli magnackim, o tle śnieżystych szczytów, i wstrząsających duszę grozą skalistych zrębów i zboczów.

Rozsiadły na niewielkiej stosunkowo przestrzeni, ograniczony w rozroście swoim warunkami położenia, te które mu przyroda do rozporządzenia oddała, wyzyskał on dla pożytku człowieka, źle mówię dla pożytku, dla oczarowania go i olśnienia.

Bo Interlaken olśniewa i czaruje.

Gdy zejdziesz z pokładu parowca na którym Thun przebyłeś, gdy wzrok rzucisz na koryto Aary skrapiającej jego progi, gdy odetchniesz powietrzem drzew owocowych ciągnących się półkolisto linią długą, otrzesz o wrota i ściany jego mieszkalnych pałaców, znajdziesz się na przeciwległym jego krańcu, gdzie Brienz cię prosi, byś dla wytchnienia po tylu w nim doznanych wrażeniach, na jego wodach zechciał ukołysać swoją myśl.

A cóż dopiero gdy od tych cudów w twojem pobliżu, rękę wyciągniesz ku dalszym cudom. Ku łańcuchowi gór, jak panna młoda w dniu swoich uroczystych ślubów białemu, i pod imie-

niem też panny młodej znanemu światu, a który to łańcuch roztaczając się przed tobą od południa, i od południa zarysowując krajobraz śnieżny, podmuchy zimy z jej skamieniałością i powagą, niesie ci w ten świat słońca, kwiecica, barw i zieleni.

Wtedy choćbyś jak szeroki i długi zwiedził cały świat, choćby ci nie obce były przy olśniewających czarach zachodu, wschodu uroki, pełne tajemniczości zachodowi nieznaney, musisz przyznać, że Interlaken jest czemś takim, co porównania z niczem się nie obawia, co z każdego wychodzi z tryumfem.

Jako dzieło Boga, który na nie zlał jak z roku obfitości kopalnię skarbów bezcennych, jako człowieka twór, który na tle mu podarowaniem, utkał obraz najwybredniejszego godny oka.

Thun rozpoczyna te dwie płaszczyzny wodne wtłoczone w te góry siłą od naszej wyższą.

Interlaken jest środkowym punktem, Brienz je kończy.

Kończy tak pięknie jak się rozpoczęły.

W miejscu gdzie urywają się jego fale, leży miasteczko tego nazwiska, które nam Polakom myślącym dziś o wytworzeniu przemysłu ludowego i wzmożeniu tym sposobem bogactwa kraju, powinno dawać dużo do myślenia.

Bo tu zakwitły i rozrosły się snycerskie wyroby z drzewa, tu zrodziło się to, co się zarazem stało całej okolicy błogosławieństwem.

Jak zakwitły, jak się rozrosły? — w sposób prosty, a przecież godzien naśladowania.

Dostrzeżono w ludzие miejscowym zamiłowanie do rzeźbienia w drzewie, do wyrabiania z niego postaci ludzkich i zwierzęcych dla ozdoby mieszkań.

I postanowiono ująć je w artystyczne ramy.

Z początku przy pomocy nauczycieli domorosłych, obeznanych jako tako z rysunkiem, później przez pośrednictwo, na naukowym poziomie stojącej szkoły.

I ujęto.

Temu co było nieudatnem dotąd, nadano kształty piękna, iskierkę tlejącą w sercach samouków kunsztmistrzów, rozdmuchano w płomień nieledwie sztuki, i mały strumyczek przemieniono w bystry potok.

Dziś w Brienz 600 rodzin żyje z wyrobu przemysłu drzewnego, w najbliższej jego okolicy 200, a to co z ręki majstrów tutejszych na świat wychodzi, nosi na sobie piętno niemal arcyzmu, świat zaś cały o ile o Szwajcaryę zahacza, tu zopatrjuje się w cacka budzące podziw wszędzie.

A praktyczny rezultat tego?

Nie mniej nie więcej, jak półtora miliona franków rok rocznie wpływa dziś wzamian do kieszeni biednych przeważnie mieszkańców tutejszych stron, którzy przed tem gdy o nich nikt nie myślał, dobrze nieraz w dniach ciężkich zmuszeni byli przymierać z głodu.

Gdyby w naszej Polsce nie jak dziś dopiero, ale kilkadziesiąt lat już temu, pomyślano o wy-

zyskaniu umiejętnem twórczych sił ludu, i dano im odpowiedni podkład, otoczywszy opieką i wsparłszy technicznem kierownictwem, o ileż więcej rąk roboczych pozostałoby w kraju, o ileż mniej naszych rodaków tułałoby się po fabrykach i kopalniach Westfalji i Ameryki Północnej, lub po pustkowiach Brazylji i Argentyny.

I ten Brienz więc, jak tyle miejsc w tej Szwajcarji, niechaj będzie dla nas nauką, i gdy dziś rozpoczął się i u nas ruch około wzmagania sił naszego ludu, niechajże nie ustaje on ani na chwilę, czem lud bowiem w Polsce się stanie,, tem, gdy go jest u nas $\frac{3}{4}$ przeszło mieszkańców, Polska w przyszłości będzie.

Komu z nas jest to obojętne, niechaj o ludzie naszym nie myśli.

Doczeka się doli architekta, który buduje gmachy na piasku.

Brienz mało znaczny dziś punkt przejściowy dla podróżnych, w średnich wiekach odgrywał w tych stronach wielką rolę.

Panował nad przejściami w Runnigu i uroczej dolinie Hassli, aż do lodowca Rodanu.

Przez Meiringen wyciągał ramię na północ i południe, ku dalekiej Lucernie i bliższemu o wiele przesmykowi w Grimsel, wzdłuż drogi historycznej, którą niegdyś Allemanowie przemykalli do dzisiejszego kantonu Vallis, i ze swoim obronnym zamkiem, którego ruiny już tylko pozostały, stał na straży tej części Szwajcarji.

I z Meiringen i z doliną Hassli, łączy go Aara wypływająca z lodowca jej nazwiska.

Łączy, nie dobrze ten wyraz określa rzecz.

Bo przeważnie jest ona tu nie spławna, bo przynosi tu swoje wody, bez tego przecież, co korytem spławnych rzek przychodzi do miast rozsiadłych nad ich wybrzeżami. I zanim za Meiringen wleje się w sztuczny kanał doprowadzający ją do jeziora, przedtem na podobieństwo naszych potoków tatrzańskich, przeskakuje z kamienia na kamień, sączy się raz węższem to szerszem korytem, spada z wyżyn, to znowu kryje się w głębinach czarnych jak noc czeluści, łudząc oko że znikła gdzieś w podziemiach. A przy Meiringen wtłoczywszy się w skały, wije sobie wśród nich drogę, wprowadzając człowieka w zdumienie i zachwyt.

Meringen w szeregu letnisk Oberlandu Berneńskiego, zajmuje miejsce bardzo wybitne.

Różniące się przecież o wiele od tego, jakie zajęło Interlaken.

Podczas bowiem gdy tam mamy wspaniałą, pełną najwyszukańszych wygód przystań, dla najwykwintniejszej publiczności całego świata, tu drzemie w ciszy zakątek ustronny, punkt wytchnienia dla ludzi spracowanych.

I tu i tam mamy wieś, i tu i tam przyrodę czarodziejską, tam i tu piękno i wygodne hotele, ale jakaż różnica przy tem wszystkiem uwypatnia się na każdym kroku.

W Interlaken gwar, ruch, przepych życia bez troski, za użyciem jedynie goniących, w Mei-

ringen skupienie i refleksja, bez chęci i środków do użycia, tam popis bogactw i dystynkcji rozpróżnionych kobiet i mężczyzn, niewiedzących czem zapełnić jutro, szczęśliwych w naiwnem pojęciu tych, którzy szczęście w możności zaspakajania wszystkiego co im na myśl przyjdzie widzą, tu skromna zaściankowość, szczyt tego za czem wszyscy gonimy widząca w samotności, tej jak poeta słusznie się wyraził „mędrców mistrzyni”. I gdy tam bez ludzi się nie żyje, bo żyć się nawet bez nich nie może, tu wystarcza się samemu sobie, obcuje z sobą, wchłaniając w duszę czar przyrody, której wstrząsającej przemowy nikt i nic nigdy tu nie przygłuszy.

Kto więc z udających się w te strony pragnie się bawić, niechaj do Interlaken podąży, znajdzie tam to czego mu potrzeba, ale kto chce wytchnąć, myśli swojej dać bieg wolny, i w duchowej rozwadze niezwichnięty, w pragnieniach więcej idealnych, czerpać w niezmaconym spokoju naukę z księgi majestatycznej przyrody, tego zabieram z sobą do Meiringen, gdyż zarówno jak i ja znajdzie on tam zawsze to, co nam jest ze wszystkiego najmilsze, a oddalonym od wielkiego świata, o świecie wielkim choć na chwilę pozwoli nam zapomnieć.

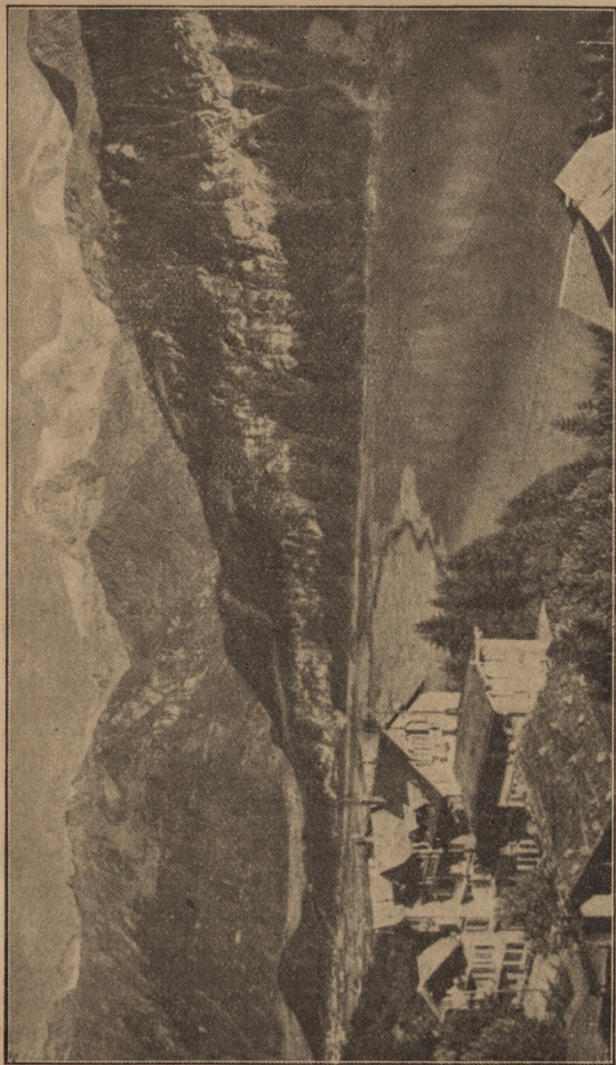
O świecie.

Z jego blaskiem, wykwintem, wygodami, zmysłów zaspokojeniem, ale jednocześnie z hypokryzją, kłamstwem pozorami prawdy nakry-

tem, z jego zawiścią i pogonią za władzą i dostatkami.

Wejdźmy w ten świat, przyjrzyjmy mu się choć z lotu ptaka, a może gdy upoimy się jego spokojem, za tym drugim choć od tego o ileż wspanialszym i zgiełkliwszym nie zatęskni z nas niejeden, w dniach pogoni nie za tem co nęci i wabi, ale tem, co w odosobnieniu i skupieniu podnosi ducha, z mroków tej naszej ziemi kierując go na słoneczne wyżyny.





DWA JEZIORA BLIŹNIE.

ROZDZIAŁ VIII.

Meriringen. Dwa wodospady. Gardziel Aary. Dolina Hassli. Wspomnienie Słowackiego przed wodospadem. Dwa wyjścia z Bernu. W Romański świat.

W szerokiej i powietrznej dolinie leży Meriringen.

W dolinie ze wszech stron otoczonej górami, przerznętej korytem wartko toczącej tu swe wody Aary.

Dwa razy zgorzałe, w roku 1879 prawie doszczętnie i w dwanaście lat później, dwa razy odbudowało się ono coraz wygodniej, dostrajając się do wymagań tej kategorii przyjezdnych, która odstręczana zgiełkiem Interlaken, w niemniej uroczem położeniu pragnie zażywać wypoczynku po pracy.

Ma więc wille zaciszne ale wygodne, hotele zastosowane do środków średnio-zamożnych warstw.

I gdy tyle w Szwajcarii grodów, z zewnętrznego wyglądu nosi w tym kraju wsi nazwę, jest ono wsią prawdziwą, najbardziej do pojęcia polskiej wsi zbliżoną, z jej odosobnieniem, spokojem i charakterystyczną fizjonomją.

Dwa wodospady urozmaicają, potęgując urok tej wsi.

Tworzą je dwa potoki górskie, Alpbach i Reichenbach, płynące szczytami po dwóch nierównych wysokościach, i z dwóch nierównych rzucające się w tym miejscu w koryto Aary.

Szwajcarja obfituje w spadki wód, osobliwością w niej one nie są, zwłaszcza dla tych, którzy rozstawszy się z wagonem kolei żelaznej, radzi zapuszczają się w głębie skaiste, — przecież te dwa wodospady w Meiringen, niezatarte wrażenie w każdym kto je widział pozostawiają.

Zwłaszcza Reichenbachski.

Jeden ze wspanialszych w tym kraju, o wiele pozostawiający za sobą wodospad Renu pod Szafuzą, choć go tyle piór i płócien malarskich rozślawiło tak po całym świecie.

Bo jest on w porównaniu z nim olbrzymem, stacza się w prawdziwą przepaść, nie jest jak tameten wzburzonem połączeniem jedynie dwóch wód, ale wtargnięciem dzikiem jednych do drugich, pomimo naturalnych zapór ustawionych by do tego wtargnięcia nie dopuścić.

Gdy więc pod Szafuzą mamy jedynie obraz gwałtownej kłótni fal żywiołu płynnego, w którego głąb wtoczyła się skała rozmiarów wielkich, by harmonję jego zakłócić, w Meiringen widzimy najazd wody na wodę, rzut gwałtowny nadziemskiej jakiejś siły, pchanej dla jej unicestwienia ku tajemniczemu dołowi, i unicestwiającej się w tym dole.

I po swem unicestwieniu, w parze wodnej unoszącej się ku obłokom, jakby na świadectwo kruchości mocy największej.

Od Reichenbachu Alpbach jest znacznie mniejszy, ze zmniejszonej o wiele wysokości spada z góry, wzmağa przecieź potężnie zasób wód w Aarze, w dniach deszczów bowiem i roztopów przybiera rozmiary nie wodospadu, ale szerokiej, czarnej od piasków górskich rzeki, staczającej się w jej koryto. I trzeba widzieć czem się skromna Aara wtedy staje, jak ze słabego dziecka przeinacza się w potężnego męża, z hukiem i szumem pędząc naprzód, przelewając się przez uregulowane swoje wybrzeża, i zalewając okoliczne pola.

Meiringen zatem słynie szeroko w Oberlandzie Berneńskim z tych dwóch wodospadów, przyciąga przecieź do siebie tłumy przyjezdnych z całego świata, dzięki i temu, że pochwalić się przed nim może czemś takim, co budzi w świecie podziw.

Wąwozem Aary.

Czeluścią górską, przez którą przerzyna się ona w dalekiej swojej z północy drogi. Ku Renowi, żłobiąc sobie w skałach ku niemu ujście.

Poczęta w lodowcu jej nazwiska, rzeka ta zanim jeziora Brienz dosięgnie, płynie zrazu na znacznej wysokości.

Na górach i w otoczeniu gór.

Ale przy Handegg powierzchnia ziemi, w której żłobi sobie koryto, gwałtownie się ob-



W O D O S P A D S O W A C K I E G O .

niza, skały pionowo opadają na dół, tworząc głęboką przepaść.

Otóż nie mogąc ponad tą przepaścią przepłynąć, rzuca się w nią w pędzie szalonym, i rozpryskując się na białą pianę, część wód swoich unosi pod obłoki.

Ten wodospad przy Handegg, Polakowi gdy przy nim przystanie, przywodzi zawsze na pamięć jedno z największych arcydzieł poezji polskiej.

„W Szwajcarji”, — Słowackiego.

Napomknął tu bowiem o nim poeta.

Napomknął w dwóch jedynie wierszach, świadczących przecież wymownie o tem, że nie uszedł on jego uwagi.

Ze wspomnieniem więc tych wierszy, przyglądałem się przelewającym się tu z hałasem wielkim wodom, i gdym opuszczał rozpadlinę skalistą, z której spychane siłą olbrzymią, wypływają spokojnie, jak gdyby, nie rozstrzaskiwały się przed chwilą o kamienie, powtarzałem je sobie w pamięci, przenosząc się myślą do tych uroczych dni w życiu twórcy Kordjana i Balladyny, gdy kochał, i kochając, zapominał o tem, co jak echo z dalekiego kraju, serce mu rozrywało na sztuki.

Oto ten dwuwiersz:

„W szwajcarskich górach jest jedna kas-
kada

Gdzie Aar wody błękitnemi spada”.

Dolina Hassli, której środkiem po stoczeniu się z dotychczasowego swojego uniesienia Aara

dalej płynie, to jeden czarodziejski ogród, o spadku stałym, bynajmniej przecież nie ostrym i gwałtownym.

Zaraz za Handegg dosięga ona 1218 metrów, o 200 mniej niż przed tym wodospadem, ale w tem miejscu gdzie się kończy, znajduje się na poziomie o połowę już niższym.

Ponieważ jednak na przebycie końmi przestrzeni, od jednej z dwóch tych miejscowości do drugiej potrzeba kilku godzin czasu, przeto nie czuje się nieledwie tego jej opadania, tu i ówdzie zaledwie bowiem, droga zniża się wyraźniej, tu i ówdzie tylko ostrożny woźnica nakłada koniom swoim hamulec.

Jedzie się więc nieledwie jak po stole, mając za sąsiadów tuż pod ręką szemrzącą w dole po kamieniach Aarę, szczyty na 3.000 przeszło metrów uniesione po bokach, a od czasu do czasu wsie zadrzewione: Guttanen, Boden, Unterstock, z tem wszystkiem co we wsiach innych krajów jest prawdziwą osobliwością, co w Szwajcarii przecież uważa się za powszedni chleb, z hotelami o wygodnych łózkach i nieodstępnie wszędzie światło elektrycznem, gościnnych salach, o posiłku już nie tylko skromnym, ale wyszukany i wybrednym.

Te wysokie góry okalające z dwóch stron dolinę Hassli, jakgdyby szanując spokój tej rzeki po wstrząśnieniu jakiego pod Handegg spadając w dół doznała, trzymają się w przyzwoitej od jej koryta odległości, przy Meiringen przecież nie są już dla niej tak uprzejme.

Zacieśniają koło niej swoją obręcz, biorą ją w klamrę, i jakgdyby chciały zgnieść, zbliżają się do siebie.

Tworząc coś takiego, co jest osobliwością w świecie gór i rzek.

Z czem na całej długiej drodze, jaką ku Renowi, od lodowca będącego jej rodzicem przebiega ta rzeka, nie spotkała się ona nigdzie.

Ta obręcz, ta klamra, to ów przesmyk Aary, jeden z najwspanialszych dziwów natury jakie zna świat.

Ściągający do Meiringen ciekawych tłumy.

Zwłaszcza od chwili, gdy dla umożliwienia dostępu do niego, ponad wijącą się niby wąż w skale drogą, zawieszono nad nią sztuczny pomost.

Bo nie szeroka w dolinie Hassli, tu Aara zwęża swoje koryto, a miejscami zwęża je tak, iż ręką niemal przeciwległego jej wybrzeża można dosięgnąć.

Ale zwężywszy je, pogłębia, i pogłębiona, z impetem wielkim szuka wyjścia z tego kamiennego więzienia.

Kiedy zawieszony jak ptak w klatce nad tem jej korytem, łamiąc się w niemożliwe linje, przyglądasz się obrazowi jakim cię darzy, zdaje ci się, że to nie woda ujęta w ramy skalne i hamowana w swoich poruszeniach ramami temi, ale jakiś płomień powiewny i wiotki, pod wpływem wiatru podmuchu, przybierający najprzeróżniejsze kształty, ogień błędny z miejsca na miejsce przeskakujący, raz węższy, to znowu szerszy,

strzelający raz przed siebie, to znowu kręcący się jak drewniany, dla zabawki ręką dziecka puszczoney figlarnie po podłodze, wąż.

Taką jest ta Aara. I patrząc na nią nie wie się doprawdy co podziwiać, czyim łamańcom bić w zachwycie oklaski, jej, torującej sobie dziwną drogę w przegrodzie skalistej odcinającej ją od stron dalszych, czyli też tym skałom, co poważne i ponure wszędzie, tu wyzbyły się swojego charakteru, i pokrajawszy się jak kawał ciasta, dla uciechy patrzącego postanowiły przybrać miękkiego wosku kształt.

I jak wosk, łamać się w esy floresy, żłobić w swem wnętrzu koryto fantastyczne, by pracę się naprzód wodzie umożliwić taniec, z którego fantastycznością żaden rzeczywisty porównany być nie może.

Takim jest ten przesmyk Aary, takie wrażenie na mnie on wywarł, i lubo nie wiem czy opis powyższy wyobrażenie o nim czytelnikowi daje, pomimo najgorętszej chęci, na inny wierniejszy zdobyć się nie jestem w stanie.

Komu więc on nie wystarcza, niech tu przychodzi, a jeśli zobaczywszy to co tu jest, stworzy dokładniejszy od mojego, ja mu pierwszy z całej duszy przyklasnę. W wywzajemnieniu się przecież za ten oklask, niechaj mi daruje niemoc pióra, wobec wszechmocy kapryśnego przyrodzenia.

Ciekawą więc jest ta dolina Hassli, nie prawdaż? z tym przesmykiem na progu Meiringen u wylotu, rozpoczynającym ją górskiem przeje-

ściem Grimsel na wstępie, w Berneńskim przecieź Oberlandzie jest ona perłą nieocenioną.

Ale nie jedyną.

Pozostawiam więc na stronie lodowe morze w jego środku, i powracam do Thun, by przyrzec się perłom innym.

Dawniejszej drodze ku wybrzeżom jeziora Genewskiego, i świeżo w roku 1913 oddanej do użytku publicznego linii żelaznej, łączącej bezpośrednio Bern przez Simplon z Włochami.

Obie te drogi, to ręka jaką Bern podaje światu romańskiemu, Danta słonecznej ojczyźnie, i wielkiemu narodowi, który przy pomocy swoich sojuszników, powalił na ziemię germańskiego smoka.

I wskrzeszając Polskę, wyrwał rabusiowi pruskiemu z paszczy trzonowy żąb.

Do jeziora Genewskiego, zarówno jak do Meiringen i doliny Hassli, z Thun przez Spiess udawać się należy, a pragnąc do niego się dostać, zahaczyć trzeba o to prawdziwie urocze miasteczko, panujące nad jeziorem i darzące płynącego po jego wodach, obrazem długo pozostającym w pamięci.

Przylega od niego od zachodu dolina rzeki Simmy, niemniej od doliny Hassli poetyczna, tylko więcej urozmaicona, usiana gęściej zamoczniami, i o wiele ludniejszemi wsiami.

Jak Aara, i Simma też, w lodowcu bierze początek, odbywa przecieź drogę bez porównania od niej krótszą.

Ale jakże uroczą i piękną.

Kręta, ciągnie się długą linią, i gdy nią jedziesz, jak w kalejdoskopie przesuwiają ci się przed okiem jedne od drugich ciekawsze widoki, wszędzie o większych i mniejszych uniesieniach, tu i owdzie o starych murach i wieżycach, świadectwie namacalnym historyczności tych stron.

W gospodarczem życiu Szwajcarii gra ta dolina znaczną rolę.

Słynie bowiem ze swoich rasowych wołów, poszukiwanych przez gospodarzy okolicznych.

Na zroszonych wodami Simmy łąkach, pasą się też całe ich stada, stanowiąc prawdziwe bogactwo rozsiadłych tu mieszkańców.

Jedynem wyjściem z Oberlandu Berneńskiego ku wybrzeżom Lemanu, jest też tu ona. Środkiem jej biegnie linja kolei zrazu elektrycznej, dalej parowej, i ta doprowadza cię do Vevey.

Przez Zweisimen i Saamen, ostatni punkt znaczniejszy w tym Oberlandzie.

I ostatni, którego ludność posługuje się językiem niemieckim.

Po za nim ciągną się kantonny Fryburgski i Vallis, niemal wyłącznie francuskie, a dalej jezioro Genewskie, ujęte w kłamrę tego łańcucha, i świat romański, ciągnący się już bez przerwy ku oceanowi Atlantyckiemu. Niemczyzna wypowiedziada w tem miejscu swoje ostatnie słowo.

Do ostatnich czasów Oberland Berneński, łączący się szybko ze światem przez tę tu kolej, dogodnego wyjścia na dalekie południe nie miał. Na czem tracił wiele on, ale i cały kanton. Po-

stanowiono więc temu zaradzić. W taki sposób, w jaki zaradzono w niemniej górzystym kantonie Uri.

Ale jak tam, i tu na drodze ku urzeczywistnieniu tego zamiaru piętrzyła się wielka przeszkoda, w postaci góry Lötsch.

Należało więc ją pokonać.

Jak tam Gotarda, tak tu tę zaporę przejść.

Myślano nad tem w Bernie długo, krępowano się kosztami, wreszcie powzięto ostateczną decyzję.

Dla dobra całego kantonu, który wprost dusił się od południa, któremu dwa ku niemu wyjścia przez doliny Simmy i Hassli nie wystarczały.

Rok 1913 pozostanie pamiętnym w dziejach kantonu tego, w roku tym bowiem Bern podał rękę Medjonalowi.

I dziś, do którego aby się dostać dawniej, musiał kołować z wielką stratą czasu i pieniędzy, prostą, jak strzełił dochodzi drogą.

Ale jakże wspaniałą i romantyczną.

Odbyłem ją wkrótce po oddaniu jej na użytek publiczny, i znając wszystkie jakimi Szwajcarja połączyła się z czterema częściami Europy stwierdzam, że z najpiękniejszemi do współzawodnictwa zwycięsko stanąć ona może.

Przyczynia się do tego nie sam jej tunel, ale tło całe na którym się rozwija dolina rzeki Kander, o wiele pozostawiająca za sobą Simmy i Hassli doliny, i wyniosłości ponad Rodanem, które po opuszczeniu tunelu przebiega.

I z których jak po schodach do Brieg się spuszcza, by następnie przez tunel Simmplonński, w połowie szwajcarski w połowie włoski, połączyć się z drogami włoskimi.

Te trzy zatem doliny: Hassli, Simmy i tej rzeki Kander, to Oberland Berneński.

Z całym jego czarem.

Olbrzymie jego góry, w tajemniczych łożyskach wartkie potoki i rzeki, większe i mniejsze wodospady, urocze łąki na zboczach, wyniosłości kąpiące się w morzu i zieleni, wioski i osady romantyczne, — oto co składa się na ten czar.

Godzien pióra najzręczniejszego pisarza, najjaskrawszego malarskiego pędzla.

Ale nie wyczerpuje on przecież całego tego Oberlandu.

Choć tak bezbrzeżny, choć tak bajecznie bogaty.

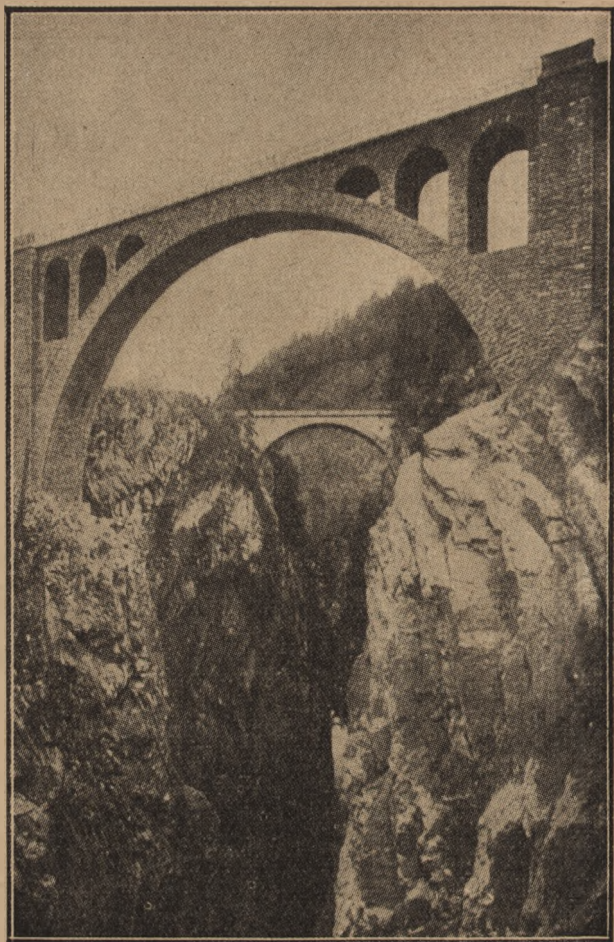
Gdyż w samym jego wnętrzu jest świat, który go uzupełnia, nie mający z tym z którym się dotąd zapoznaliśmy nic wspólnego, pełen grozy w nim nie napotykaney, sam w sobie i sam dla siebie.

Świat to śmierci i unicestwienia.

Świat lodowców.

Zapoznamy się i z tym światem, wtajemniczymy się i w jego zaklęty w martwocie wiecznej urok, ale zanim to nastąpi, w majestacie blasków słonecznych śledźmy uważnie w dalszym ciągu za tem, pełnem czaru w tym kraju, co w nim czuje, żyje i myśli.





MOST NAD PRZEPAŚCIĄ.

ROZDZIAŁ IX.



W Atenach Limmatu. Przodownicza rola Zurychu w Szwajcarji. Woda na każdy krok. Wspomnienie Zwingliego. Miasto nauki i przemysłu.

Starym i silnym bardzo węzłem związany jest Zurych ze związkiem szwajcarskim.

Ani się śniło jeszcze Fryburgowi, Solurze, Bazylei, Szafuzie i dziesięciu innym kantonom, w obronie przed grożącym im zewsząd nieprzyjacielem skupić się w jedną całość, kiedy wysunięty wraz z kantonem jego nazwiska najbardziej na północ, uznał on za wskazane wyciągnąć rękę ku współobywatelom swoim wewnątrz Helwacji, zrzeszyć się z niemi na prawach równego z równymi, i krzepiąc tym sposobem ich siły, wzmódz jednocześnie swoje własne.

Było to w roku pańskim 1351, i od tego czasu chodzący dotąd luzem, staje się on nie tylko ważnym czynnikiem w tym związku, ale odgrywa w nim politycznie i kulturalnie przodowniczą nieraz rolę.

Jedno z najstarszych w Europie miast, Zu-

rych jest największem, kto wie czy nie najkulturalniejszym miastem Szwajcarji całej, a jako siedlisko jedynej w tym kraju politechinki, i największego narodowego muzeum, dokoła siebie grupuje najwięcej jego intelektualnych sił, i ni by olbrzymi reflektor, w dalekie przestrzenie rozlewa promienie światła, grzejąc niemi nie jednych tylko swojej ojczyzny synów. A że przy Politechnice i Muzeum, posiada on sławny uniwersytet, liczny szereg wzorowych zakładów naukowych i bogate księgozbiory, przeto nie od dziś pozyskał w świecie nazwę Aten Limmatu, od rzeki na której wybrzeżach pierwotnie się rozsiadł, aby czasem dwoma ramionami pięknej budowli swojej, objąć od południa jezioro Zurychskie i zapanować nad tem jeziorem.

Największy, najkulturalniejszy z miast szwajcarskich, Zurych najpiękniejszym wśród nich miastem niezawodnie nie jest.

Niezawodnie.

Ustępuje o wiele i Lucernie i Bernowi i Luganu, i Lozannie i Fryburgowi, każdy przecież kto o niego zawadzi przyznać musi, że posiada swojego rodzaju urok, nieznanym innym, o wiele romantyczniej od niego położonym miastom.

Składają się na to nie tyle góry, bo te w pobliżu jego nie wysokie, nadzwyczajnego wrażenia nie robią, ile obfitość wód skrapiających jego wybrzeża.

Powiedziałem, że Zurych rozsiadł się pierwotnie nad korytem Limmatu, jak Lucerna nad

brzegami Reuss, ale na podobieństwo Lucerny nad tem korytem się nie zatrzymał.

Rozrósł się jak ona i spęczniał, tylko bez porównania prędzej i potężniej niż ona.

Złożyło się na to przyczyn wiele, pozostawiam je jednak na stronie, i stwierdzam, że zatoczył obszerniejsze o wiele od niej koło, zwłaszcza też po roku 1893, w którym ojcowie tego miasta niezadowoleni z małego Zurychu, postanowili stworzyć Zurych wielki.

Od wybrzeży więc Limmatu posunęli go na wschód, zachód, północ i południe, a że mieli w pobliżu wpadającą do niego rzeczkę Siehl, wraz z północnym rękawem jeziora, w jego granice wtłoczyli zatem wielki zasób stojącej i płynących wód.

I te wody właśnie, złożyły się na ten jego dziwny i nieznanym innym większym miastom Szwajcarji, z wyjątkiem jednej Genewy, czar.

Kiedy więc chodzisz po głównej części tego miasta, masz wodę na każdym niemal kroku, a skoro główną arterją jego ruchu, ulicą kolejową od dworca posuniesz się ku najwspanialszemu jego mostowi, i rzucisz wzrok przed siebie i poza siebie, te olbrzymie masy wodne rozpościerające się przed twojem okiem, stworzą ci obraz bardzo interesujący.

Zwłaszcza o wieczornej porze.

Gdy zmrok zapadnie, w oknach domów i w latarniach na ulicach światło zapłonie, i jak nad Nowogrodzkim zamkiem w Grażynie:

„Miesiąc wysoko,

Pośród krążącej czarnych chmur powodzi,
 We mgle nie całe pokazuje oko".

Wtedy zapomnisz o tem, że znajdujesz się w mieście lądowem, w kraju od mórz i oceanów oddalonym, i zda ci się, że stoisz w jakiejś pięknej i malowniczej zatoce, chwilowo po odejściu olbrzymich parowców do stron dalekich opustoszałej.

Rozległy, bogaty wodami, w przeciwstawieniu do reszty miast szwajcarskich, ma Zurych wygląd prawdziwej stolicy.

Choć stolicą nie jest.

Posiada dworzec kolei, o jakim Warszawa cztery razy przeszło od niego większa marzyć nawet nie może, jakiego nie powstydzilby się Paryż i Londyn, gmachy architektoniczne niezawodnie nie bardzo piękne, przecież monumentalnością swoją świadczące o jego zamożności i wielkopańskich pretensjach.

Taka politechnika, nowy uniwersytet, muzeum narodowe, Tonhalle, teatr, banki, hotele, wreszcie gmach kolejowy, to olbrzymy imponujące każdemu, a domy rozsiadłe na głównej ulicy tego miasta, po obu stronach wybrzeża jeziora Zurychskiego, rozmiarami swojemi dostrajają się do nich całkowicie.

I wspólnie z niemi tworzą ugrupowania godne miasta o wiele większego, godne co więcej prawdziwej stolicy, rozleglejszego o wiele niż Szwajcarja kraju.

Że władzom kantonu i rządcom Zurychu zależy bardzo na tem, aby zrobić z niego punkt

przyciągający nie tylko młodzież napływająca doń po naukę, ale i turystów żądnych rozrywek i udogodnień, przekonać się o tem każdy może, kto śledzi uważnie za jego rozwojem. Przyglądając się też temu co tu się w ostatnich latach robi, stwierdzi on postęp na każdym niemal kroku.

Pomijam rozrywki, gdyż o to dajmy na to każde miasto się troszczy, ale podobnych w żadnem mieście w Szwajcarji nie ma. W żadnem też niema hoteli lepiej urządzonych, większej dbałości o porządek na skwerach i ulicach, a że przy staraniach o to, i estetyki nie spuszcza się z oka, jest to świadectwem, że w tem co się tu rok rocznie dokonywa, pożyteczne łączy się nie tylko ze słodkiem, jak zdanie łacińskie powiada, ale i z prawdziwie pięknem.

To też te gazony kwiatów w ogrodach, te z kokieterją utrzymane bulwary nad jeziorem, uporządkowane klomby na skwerach, rozszerzanych i przyozdabianych z każdym rokiem, wszystko to dodatnio zaleca tych, którzy losy tego miasta w rękach swoich trzymają, i stojąc na wysokości administratorów światłych i przeczornych, bardzo o to dbają, by ich o obojętność dla estetycznych wymagań nie posądzono.

Ale w tej ich dbałości o estetykę i porządek, dostrzega się przecież powien zgrzyt.

W dwóch dniach tygodnia.

W dniach tych bowiem, na głównej tego miasta ulicy kolejowej, rozsiadają się po obu stronach przekupie z jarzynami i owocami, i wtedy piękna zazwyczaj i porządna, przybiera ona wy-

gląd długiego handlarskiego rynku, z całym jego haosem i bezładem. Prawda, że w parę godzin po rozpostarciu się na niej kramów, wszystko powraca do zwykłego pełnego elegancji wyglądu, czas przecież, w którym miało się je po obu jej stronach, przed oczyma wystarcza, aby zatrzeć dodatnie wrażenie, jakie porządek zurychski w każdym nawiedzającym to miasto budzi. Unika się też o tym czasie jak zapowietrzony tej ulicy, przypomina ona bowiem dawne nasze warszawskie Stare Miasto wtedy, bez żydów i nieodstępного od nich niechlujstwa naturalnie, ale z tym rozgwarem i nieładem, jakie są cechą targowisk wszystkich, zwłaszcza też jak ta tych, które pośredniczą w dostarczaniu publiczności produktów codziennego użytku.

Ten zgrzyt w Zurychu wywołany jest tem, że nie posiada on innego dogodnego miejsca, któreby na rynek tych produktów mógł przeznaczyć, po za tą ulicą w dwóch dniach tygodnia jednak nigdzie nie dochodzi on do oczu, a natomiast wszędzie, zwłaszcza też na wspinałem półkolu trzymającym w swoim objęciu część północną, uderzają tu ład, porządek i estetyka, czyniąc Zurych pożądanem miejscem pobytu dla każdego, poszukującego w dużym mieście czegoś więcej, nad zaspokojenie najpierwotniejszych życiowych potrzeb.

Z nazwą Zurychu złączone jest od czterech wieków nazwisko człowieka, któremu Zurych tuż przy imponującej rozmiarami swojej katedrze, wystawił skromny pomnik.

Zwingliego.

W roku 1519, przybył on do tego katolickiego jeszcze miasta, i znalazłszy tu grunt podatny, rozpoczął propagandę ewangelicką.

Z dobrym skutkiem.

Bo w krótkim stosunkowo czasie, nowa nauka której zasady głosił, zatoczyła szerokie koła, rozlała się jak rzeka wyszła z brzegów na daleki zachód, północ i wschód, i dopiero na południu odbiła się o kantony katolickie, niby piłka o ścianę.

I gdy zaprażyła je zmóźdz, spotkała się z oporem.

Stare kantony będące kolebką Szwajcarji, z bronią w ręku powstały w obronie swojej wiary, i w bitwie pod Kappel pokonawszy armję Zurychu, której reformator ten przewodził, uszły i jego trupem pole zwycięstwa.

Ten pomnik Zwingliego przy tym kościele przypomina mi, że Zurych ładnych pomników nie ma.

A te co w nim są, wrażenie wielkiego nie robią.

Przechodzi się więc wobec nich obojętnie, choć jeżeli nie Zwingli, to taki chociażby Pestalozzi, ojciec pedagogii, deptanej brutalnie dziś nogami, a jednak szczytnej w swoich celach i założeniach, zasłużył na coś, o wiele niż ma okazalszego.

A tymczasem... Jak ten Zwingli stoi i on w postaci skromnej, nie zatrzymuje przy sobie

dłużej przechodnia, którego zmysłu wzrok niczem porywajacem nie zachwyca.

Na podobieństwo pomników, i kościoły tego miasta również piękne nie są.

Katedra na uniesieniu nad Limmatem z wewnątrz i z zewnątrz imponuje masowością murów, kościoły inne niczem nie imponują. Zwyczajne domy modlitwy po protestanckich parafjach miejskich, i tyle.

To też nie przed jednymi i drugimi gromadzą się w tem mieście grupy przybyszów, nie im poświęcają godziny w czasie w pogoni za tem co na wyobraźnię oddziaływa, nie wysiłał się bowiem do zbytku genjusz Zurychu twórczy, gdy szło o złożenie widomego hołdu Bogu, lub uczczenie mężów zasługi dla narodu. Praktyczny zmysł jego mieszkańców, ujścia dla siebie szukał na innym zupełnie polu, i na niem ku materialnemu ich pożytkowi takowe znalazł.

Jako przemysłowe miasto, i to najbardziej przemysłowe ze wszystkich miast Szwajcarji, Zurych wraz z kantonem jego nazwiska, słynie szeroko nie tylko w Europie, ale w całym świecie.

Jego jedwabie, przez najpierwsze firmy poszukiwane są dla wywozu w dalekie strony, a maszyny, lokomotywy i parostatki, których fabryki centralizują się w pobliskim mu Winterthur, dokładnością wykończenia nie ustępują najlepszym niemieckim i angielskim.

To też wre w nim i poza nim praca jak w kotle para, całe dzielnice wysunięte poza śródmieście, dają schronienie rzeszom robotniczym,

a olbrzymi dworzec kolejowy, bywają chwile, że z trudnością zaspokoić może wymagania spiesz- nego wywozu tego, co wyprodukował, poza jego granice.

To miasto pracy, najpiękniejsze swoje przedmieście ofiarowało tym, którzy poszukują w niem nauki.

Po obu stronach Limmatu, i po obu brzegach niewielkiej rzeki Siehl, płaszczyna stanowi je- go podstawę, i tam wznoszą się najbogatsze w niem domy, hotele i fabryki.

Ale na prawej, terren unosi się do góry.

Otóż to miejsce przeznaczyło ono dla przy- szłości swojej młodzieży, tu przygarnęło ją do szeregu wspaniałych gmachów. I udziela jej w nich to, bez czego pochod po dodze życia jest pochodem chromych i niewidomych.

Mamy więc tu Politychnikę, świeżo wybudo- wany gmach Uniwersytetu, szkoły chemii, fizyki, rolnictwa i myśliwstwa, mamy kanserwatorjum muzyczne.

Wszystko wśród zieleni, w otoczeniu kwiet- ników i klombów, wszystko na jasnym słońcu, symbolizującym przez światło które rozpościera dokoła siebie to, co tu tę młodzież, nie tylko ze Szwajcarii ściga.

Serce też tu uderza silniej, pierś rozszerza się potężniej, myśl ogarnia pogodniesze widno- kręgi, kiedy rankiem na tem uniesieniu ponad Zurychem, widzi się te młodzieńcze obojej płci legiony, spieszące po naukę do tych wspaniałych gmachów z książkami i sekternami w rękę, i bło-

gosławi się temu pięknemu miastu, które wysiłkiem rozumnej woli, potrafiło stworzyć w swoich murach ognisko wiedzy, promieniujące w najdalsze świata strony.

Bo tak rzeczywiście jest.

Bo ten Zurych takie ognisko tu stworzył, legiony ze świata całego do siebie ściągnął, i zatarłszy w nich różnice, dzielące (jak narody) na śmierć niosące jedne drugim barbarzyńskie hordy, zjednoczył je w ukochaniu wiedzy, wróżącej temu co te hordy na bagnietach dziś wsparte ożywia i przeciwko sboie zbroi. — zagładę i śmierć.

I dla tego, acz nie najpiękniejsze ze wszystkich miast Szwajcarji, niechaj najdroższem ze wszystkich dla nas ono będzie, i świecąc miastom i narodom wszystkim jasnym przykładem, niechaj je uczy pożądania prawdy i dążenia do prawdy, a w prawdzie, na miłości i poszanowaniu wzajemnem oparte, ukazuje cel godny ludzkości, wyhodowany na ideałach wiary naszej — szczytnych.

„Cognoscetis veritatem, et veritas liberavit vos”, (poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi), głosi sentencja łacińska, obyż więc ona której to miasto jest dziś wspانياłem i czcigodnym gniazdem, wyzwoliwszy ludzkość okrwawioną i znękaną z władzy szatańskich mocy, raz na zawsze z przekłętej drogi zawróciła, ranami okryty i krwią ociekający, zwłaszcza po tej ostatniej barbarzyńskiej wojnie, nie tylko na lądzie i morzu, ale i w powietrzu, — świat.

.

Kiedy się stanie na tym pagórku usianym niby błogosławionem ziarnem gmachami, których mury rozpiera żadna światła młodzież, i spojrzy na leżące u nóg miasto, jest się prawdziwie zachwyconym widokiem jaki się roztaczaa dokoła.

Ma się bowiem cały Zurych jak na dłoni, z jego katedrą, ratuszem, Tonhallą, wspaniałem i bogatym Muzeum narodowym po przeciwległej stronie, z jego na południu jeziorem, i w dalekiej perspektywie łańcuchem, przeświecającym białymi płachtami śniegu, gór.

Widok uroczy.

Oderwać się też od niego nie może oczu, wchłania się w duszę piękno jakim nas darzy, gdy myśl błyskawicy lotem bieży w daleką przyszłość, pragnąc rozedrzeć jej zasłonę i dociec, ażali po dniach okropnych zawieruchy wojennej, jaką tak świeżo ze zgrozą przeżywaliliśmy, ta prawda, której tu płynie tak żywy i potężny ogień, odrodzi pchany rękami szatanów ku przepaści świat, roztaczając przed nim świetlane widnokregi poświęcenia i miłości?

Ażali odrodzi?

I czy „wziedzie słońce nad martwych mogiłą“, i na tej ziemi, nad upadkiem i poniżeniem której, płakał tyle lat temu Krasiński, „coraz podleg nie będzie“.

I odpowiada się samemu sobie, że wziedzie, że wzejść musi, że coraz podleg nie będzie na niej, że świat po krwawych hekatombach z błota się oczyści.

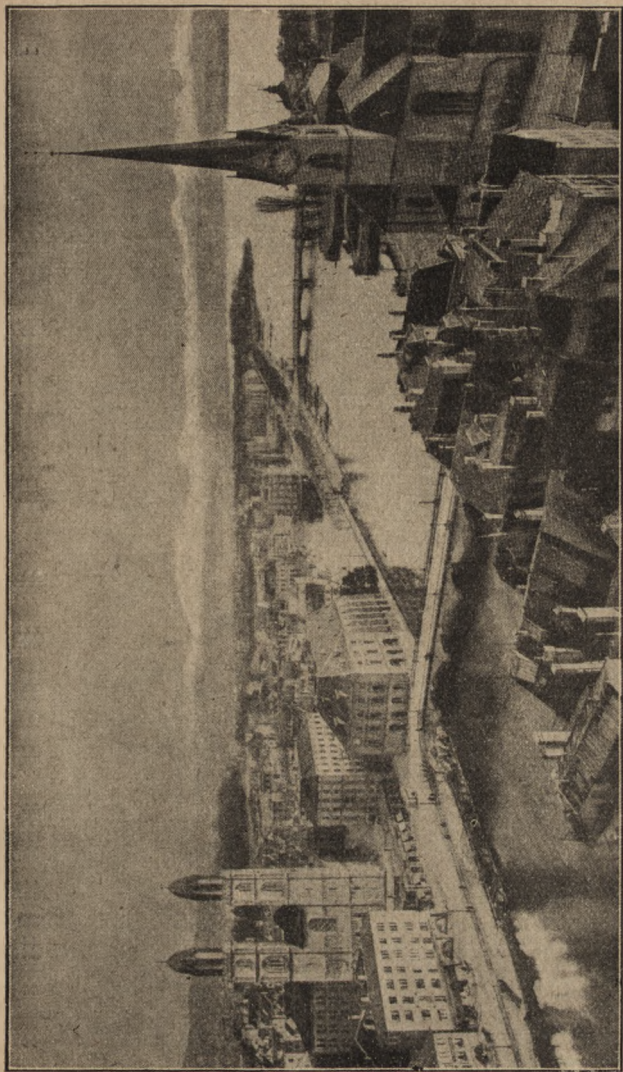
Ale w jednym tylko razie.

Jeżeli młodzież której tu w tym Zurychu ze wszystkich krajów mamy przedstawicieli, dążąc do prawdy i wolności, stłumi w duszach swoich źródło upadku i ludzi i narodów, samolubstwo, — wszechmiłości przeciwstawienie.

I uniosłszy się ponad to co świat dzieli i w ocean krwi popycha, za przykładem tej Szwajcarji, równouprawnieniu wszystkich, nie myślących o wyzyskiwaniu wszystkich dla swoich celów, podporządkuje walkę ze wszystkim.

Wtedy poruszona zostanie „bryła świata“, wkroczy na nowe tory, i, jak czytamy w Odzie do młodości „spleśniałej zbywszy się kory, zielone przypomni lata“.





OGÓLNY WIDOK ZURYCHU.

ROZDZIAŁ X.

Tam gdzie umarł Kościuszko. Wisła Szwajcarji. Solura. Miasto Polakowi najdroższe. Jego osobliwości. Z pobytu w nim bohatera dwóch światów. Z ostatnich chwil Kościuszki. Jego ostatni dom i grób.

Aara jest najbardziej szwajcarską ze wszystkich rzek tego kraju.

Najbardziej.

Przedewszystkiem dla tego, że gdy inne wielkie jego rzeki, Ren i Rodan, poczynają się wprawdzie w Szwajcarji, znaczniejszą część przecież swojej drogi ku morzu, nie w Szwajcarji odbywają, ona ma początek swój w ojczyźnie bajecznego Tella, i w tej ojczyźnie, w nurtach przez pół jeszcze szwajcarskiego Renu, śmierć swą znajduje.

A przy tem wszystkiem, poczęta w lodowcu jej nazwiska, przerzyna niemal przez środek całą Szwajcarję, przepływa przez trzy jej jeziora, odbija w lustrze wód swoich, obrazy wszystkich jej formacji górskich, i skrapiając najurodzajniejsze jej okolice, ożywia wszystkie, które wodami swemi podmywa.

I gdyby była spławną jak nasza Wisła, możnaby ją Wisłą szwajcarską nazwać, ponieważ jednak spławną na całej przestrzeni nie jest, przeto naszej Wiśle pod względem pożytku jaki krajowi swojemu przynosi, ustępuje.

Ale o ileż za to pozostawia ją za sobą, pod względem wspaniałości obrazów jakimi oko podróżnika darzy.

Zaledwie w lodowcu kantonu Bernu spotka się ona ze światłem dziennem, obrazy te biorą jej drobne koryto w swoje objęcia, towarzyszą jej gdy wzrasta zasilana potokami wpadającemi do niej z prawej i lewej strony, i mniej lub więcej dzikie i majestatyczne, towarzyszą jej w całym pochodzie.

Od kolebki więc jej aż do grobu, szczodra natura zlewa na nią skarby piękna, z rozrzutnością nieznającą granic ściele jej, że się tak wyrażę perły i brylanty pod nogi, pieszcząc najukochańsze swoje dziecko jak czuła matka, coby mu rada oddać wszystkie swoje bogactwa, by mu z tem było jak żadnemu do twarzy. I jak Aara bogata bogactwami temi, ma je w stopniu nieznanym rzekom innym, i szczyjąc się niemi jak żadna ze szwajcarskich rzek, króluje nad wszystkiemi, przeobleczone w purpurę i gronostaje.

Poczęta jak powiedziałem wyżej w jednym z lodowców, nieopodal wielkiego lodowca Rodanu położonym, wkrótce po narodzinach swoich rzuca się ze skały, tworząc dziki i romantyczny

wodospad, upamiętniony w poemacie Słowackiego.

I obniża poziom swego koryta, nie pozbywając się przecież swojego piękna, owszem wzmagając je niemal co krok.

Bo w dolinie Hassli wrzyna się to koryto w czeluście skaliste, pod Meiringen rozsadza tamujące jej bieg kamienne zapory, w jeziorach Brienzu i Thunu wkracza w świat gór, o niewiele chyba ustępujących pod względem czarodziejskości górcom czterech kantonów, a u stóp Bernu zataczając romantyczne półkole, krasę górskiego położenia tego miasta, podnosi do nieznaney innym szwajcarskim miastom potęgi.

I tak dalej, i tak ciągle, i tak bez końca, i gdyby kto szedł śladem wodnej drogi, jaką wyżłobiła ona sobie w Szwajcarji do jej krańca, gdzie korytem szerszem od Renu zlewa się z Renem, by z nim razem już ku morzu płynąć, nabrałby doskonałego wyobrażenia o całości kształcie piękna tego kraju, nie potrzebując już, by się nowym nasycić, zaczepiać o inne jego strony.

Bo nad tą Aarą jest wszystko.

I lodowiec, i wodospad, i jeziora i skały dzikie, i pola rozłożyste i uprawne. Wszystko. I pod tym względem, z tą rzeką żadna szwajcarska rzeka porównania wytrzymać nie jest w stanie.

Otóż w miejscu gdzie Aara opłókawszy się już w wodach trzech pięknych jezior, z gór niebotycznych brudnego pyłu skierowywa się szybko ku północy, leży Solura.

Miasto drogie każdemu Polakowi, jedno z najoryginalniejszych jakie Szwajcarja zna.

Wstąpmy do tego miasta, ale wstąpmy z uszanowaniem, w niem bowiem sto kilkanaście lat temu spędzał ostatnie dni swego życia mąż wielki i nieskalany, ukochany przez nas bohater dwóch światów, w niem z myślą o dalekiej ojczyźnie naszej, której niezależności, padłszy krwią zlany na polu chwały wywalczyć nie mógł, połączył się z duchami, czuwającemi w podobłocznych nad naszą ojczyzną sferach.

Mężem tym był Tadeusz Kościuszko.

Solura jest najstarszem miastem Szwajcarii, jednym z najstarszych w Europie miast.

Za czasów rzymskich zwała się Soladurum, a położona przy wielkiej drodze łączącej południe z północą, wczesnie zapoznała się z prawdami chrześcijańskiej wiary.

Nie należy ona do miast, które nie mają historii, ma ją owszem, zaczerwienioną, jak wszystkie w ogóle miasta historyczne, wybitnie krwią.

Walczyli bowiem o jej posiadanie w kolei długich wieków różni, ulegała jednym, opierała się innym, znacząc tę uległość swoją i odporność, bujnie rozsianemi w niej i dokoła niej ruinami.

Do związku szwajcarskich kantonów weszła ona wczesnie, w roku już bowiem 1481, i od tego czasu trwa bez przerwy w organiźmie

państwowym, który ją darzy bezpieczeństwem na zewnątrz, wolnością wewnątrz.

Najstarsza z miast szwajcarskich, jest Solura bodaj z nich wszystkich najcharakterystyczniejszą, uchowała to bowiem, co zachowało na sobie stempel przeszłości, cechę średniowiecza tylu miast szwajcarskich, brutalną dłońią dzisiejszych potrzeb i dzisiejszej pospolitosci ścieraną.

Ta cecha uderza w oczy, kiedy się po jej ulicach chodzi, a gdy się stanie na jej rynku, ma się ją w całej okazałości, w postaci domów starych i wieży z zegarem u jej szczytu, o figurach automatycznych, wyprawiających najdziwaczniejsze ruchy, z chwilą gdy dzwon zaznaczy postęp czasu.

Mamy więc na tym zegarze i króla w koronie, i rycerza w zbroi, i śmierć z kosą i djabła, i kiedy się im wprawianym od czasu do czasu w ruch ukrytym w nim aparatem i przyglądamy, myśl nasza biegnie z szybkością błyskawicy w owe odległe epoki, w których każde miasto, za honor sobie uważało, posiadać zegar podobny, ku chwale i uciesze sławetnych swoich obywateli, pragnących po troskach wojennych zabawiać się figlami, sprowadzającemi do ich duszy dobry humor.

Rozpołożona po dwóch stronach szerokiej w tem miejscu Aary, Solura nie może się żalić na upośledzenie przez przyrodę, darzącą całą Szwajcarję nieznanemi innym krajom pięknosciami.

Tylko odepchnięta od Alp wysokich, przy-

siadła do łańcucha gór strefy Jurajskiej, ma ich mniej od tych, które na tle pełnem grozy na południu, rozpostarły swoje kontury. Mniej, ale za to ileż od nich wdzięku więcej, i kiedy się o wieczornej zwłaszcza porze z prawego brzegu Aary przygląda jej kształtem, z uniesioną nieco wspaniałą katedrą Św. Ursusa, powiada się sobie, że Szwajcarja posiada miasta romantyczniej od niej położone niezawodnie, nie wiele przecież miłszych i słodszych, w szatę sielskości jakiejś dziwnej i poezji przyobleczonych.

Dziesięć tylko tysięcy mieszkańców języka niemieckiego, liczy ten cichy gród, ale kto by sądził że ich kulturalnym potrzebom zadość on nie czyni, ten jako żywo, byłby w zupełnym błędzie.

Bo mamy w Solurze obok szkół, bogatą i wzorową bibliotekę, mamy archeologiczne zbiory, zbójownię niezmiernie interesującą, gabinet przyrodniczy i galerję obrazów. Każdy więc kto nie tylko ciałem żyć tu chce, może sobie na to pozwolić, budząc w przyjeźdźnym z dalekiej dajmy na to Polski, której takie kulturalne pragnienie w słabym jedynie stopniu, i to za ledwie mieszkańcom Warszawy, Krakowa, Lwowa, Poznania i Wilna jest dozwolone, naturalną zazdrość, pomieszana z czemś w rodzaju głębokiego upokorzenia.

Dopóki więc, zwiedzając ten, ale nie tylko ten kraj w Europie, palić nas to upokorzenie, niby rozpalone żelazo czoła będzie, dopóki naród, któremu kultura świata tyle ma w przesz-

łości do zawdzięczenia, nawet w tak małych jak ta Solura miastach, uczuwać nie przestanie dzisiejszej swojej niższości, tak nie licującej z tem, co znaczyl on wczoraj w świecie, i co znaczyć w nim zawsze, a zwłaszcza po swoim zmartwychpowstaniu, siłą swojego ducha powinien?

Otóż takie to miasto obrał Kościuszko na miejsce swego pobytu, gdy po rozwianiu się nadziei, jakie w powalonym na ziemię niedawno Napoleonie w odbudowę rychłą naszej rozszarpanej ojczyzny pokładali jego rodacy, rozglądał się po Europie, gdzieby ostatnie swoje lata mógł w ciszy spędzić, tu przybył, by marzyć w odosobnieniu o tem co przeżył i przeboleł, w swem bohaterskiem, bez skazy, pełnem nadziei złotych i rozczarowań, życiu.

Było to w roku 1815, w czasie kongresu wiedeńskiego, w chwili gdy nie ceremonijująca się sprawami ludów Europa, nad wybrzeżami Wisły, Niemna i Bugu, wykrajała drobny, o dziwacznej figurze skrawek ziemi, nadając mu jakby na ironję z wielkiej przeszłości naszego kraju, tę samą nazwę królestwa Polskiego, jaką nosił, gdy oparty o dwa morza, dla chrześcijańskiego zachodu stanowił niespożytą barjerę, o którą rozbijały się legjony pohańców niosących mu zagładę i śmierć.

Wezwany przez księcia Adama Czartoryskiego do stolicy Austrii, by stać na straży interesów Polski, mimo dolegliwości wieku i trudy dalekiej z Paryża podróży, podążył tam

w maju tegoż roku, nie bez rozczarowania do Aleksandra I-ego, którego zamysły co do Polski dalekie były od jego nadziei.

Ale nie zabawił w Wiedniu długo, i już 25 czerwca wyjechał przez Tyrol do Solury, zanim jednak wyjechał, listem pozostałym po nim, wytłomaczył się księciu, dla czego opuszcza to miasto w takiej chwili.

Ten drobny skrawek który z całości dawnej Polski wykrojono, wydawał mu się czemś, zdolnem nie do życia prawidłowego, lecz do węgietacji jedynie.

Raduje się więc w tym liście z wskrzeszenia imienia polskiego, ale dodaje zupełnie słusznie, że imię samo, nie stanowi narodu. „Niech Opatrzność kieruje wami — pisze — a ja jadę do Szwajcar, nie mogąc zdalnie służyć ojczyźnie“.

Stały pobyt Kościuszki datuje od października 1815 roku. Przybywszy tu, zamieszkał u swojego przyjaciela Zeltnera, w domu stojącym do dziś na głównej tego miasta ulicy. I tu w opuszczeniu, nie świadczącym zaszczytnie o jego ówczesnych rodakach, przeżył okrągłe dwa lata.

W dniu 1 października 1817 roku zaniemógł ciężko na nerwową gorączkę.

Pielęgnował go doktor Schürer, i robił wszystko co mu nauka jego wskazywała aby go uratować. Robił napróżno, choroba bowiem postępowała z nadzwyczajną szybkością. I przecięła wkrótce nić jego życia.

„Zachowywał zupełną przytomność umysłu (pisze Korzon), mimo wzrastającej gorączki i osłabienia pulsu. Kazał włożyć swoją szablę do trumny, a pamiątkę po Sobieskim zwrócić narodowi. Mówił o ojczyźnie zawsze z miłością, wygłaszał jakieś przepowiednie o przyszłości Polski, czego obcy słuchacze powtórzyć nie zdołali. Nareszcie w dniu 15 Października o 10 wieczorem zabrakło mu głosu, spojrzął ze słodkim uśmiechem na stojącą u nóg Emilkę Zeltnerównę, podał jedną rękę Zeltnerowi, drugą Zeltnerowej, uścisnął, opadł na poduszki i skonał”.

Dom w którym Kościuszko zakończył życie, stoi, jak powiedziałem, na głównej ulicy Solury, i przedstawia się dość okazale. Dwupiętrowy, ozdobiony jest na zewnątrz płaskorzeźbą wielkiego człowieka, i napisem mówiącym światu, kto go upamiętnił i zaszczycił swoim dwuletnim pobylem.

Wyszły od dawna z rąk rodziny Zeltnerów stanowi on dziś własność pani Gassman, która jak o tem złożywszy jej wizytę z ust jej dowiedziałem się, pragnęłaby go sprzedać, przekładając naturalnie rodaka naszego bohatera, nad każdego innego.

Czy taki rodak, nabywca drogiej dla nas pamiątki znajdzie się, czy znalazłszy się, zrobi z niej należyty użytek, zachowując ją od zniszczenia i przekazując na własność naszemu narodowi?

W chwili tak wzmożonej jak dziś ofiarności naszej na publiczne cele, z możliwością tego ra-

chować się podobna, zanim jednak to nastąpi,
Polaku, gdy w wędrówkach swoich po Szwaj-



MOJA CÓRKA JANINA PRZY POMNIKU KOŚCIUSZKI

carji zboczywszy z dróg utartych, jakimi rzesze podróżnych po tym kraju krążą, i wstąpiwszy w progi tego starego miasta, przystaniesz przed tym domem w zadumie, schył głowę z uszanowaniem, albowiem w nim spędził ostatnie lata swojego bohaterskiego życia ten, który choć nie największy z twoich wielkich, sercu twojemu winien być przecież ze wszystkich najdroższym, gdyż w chwilach tragicznego upadku twej Ojczyzny, gdy wszystko w proch się rozsypywało, a rządzący losami twojego kraju w bezprzykładnem zobojętnieniu przyglądali się katastrofie, stanął mężnie przy sztandarze narodowym, i tym sposobem choć Polski nie uratował, ocalił przecież od poniewierki i pogardy, największy jej skarb narodowy, nasz honor.

O dwadzieścia minut drogi pieszej od Solury, leży wieś Zuckwil.

Posiada kilkanaście otoczonych ogrodami domów, murowany niewielki kościół, przysiadły do niego cmentarz, miejsce ostatniego spoczynku jej synów i cór.

Otoczony murem, uderza ten cmentarz przy wejściu kamiennem popiersiem Tadeusza Rejtana, a po przeciwległej jego stronie pomnikiem Kościuszki.

Kiedy po zgonie bohatera dwóch światów, serce jego w myśl jego woli dostało się do rąk przyjacielskich, by następnie z czcią mu należną znaleźć miejsce w muzeum w Rapperswilu, a ciało spoczęło w grobach naszych królów na Wawelu, Szwajcarja zapragnęła zatrzymać u siebie

choć cząstkę znikomej materji tego, który dwa ostatnie lata swojego żywota oddychał jej powietrzem.

I zatrzymała jego wnętrzności.

I te złożyła na tym tu cmentarzu.

Pod kamiennym więc gustownym pomnikiem, opatrzonym łacińskim napisem, spoczywają na nim one, gościnna dla wszystkich rozbitków i przez los prześladowanych, wolna ziemia Szwajcarów, z ciała jednego z największych, zachowała sobie coś niecoś na pamiątkę.

I nie mniej od nas czcząc wielkiego człowieka, który jak wszyscy wielcy ludzie całego świata są własnością wszystkich, tym domem w Solurze i tym tu grobem w Zuckwilu, tkliwą i nierozelwalną nicią łączy się z nami, i w duchowym z nami związku pozostając, każe nam ją szanować i kochać.

Więc też ją kochajmy i szanujmy.

Za to, że otoczona w paśmie długich wieków niosącemi jej kajdany wrogami, oparła się im zwycięsko i uchwalała swoją wolność, —

za to, że siłą patryjotyzmu swego i rozumu stworzywszy nieznany Europie związek równoprawnionych czterech narodów, świeci jej przykładem szczytnym sprawiedliwości i poszanowania tego, co człowiekowi jest na ziemi najdroższe,

ale i za to, za to także, — że przytuliła do siebie w dniach naszego rozbicia i niedoli, narodowego naszego bohatera, ku któremu myśli na-

sze i uczucia, nie przestaną, póki imię Polski nie zaginie, zwracać się z wdzięcznością i czcią.



TABLICA PAMIĄTKOWA NA DOMU W SOLURZE W KTÓRYM
 UMARŁ KOŚCIUSZKO

ROZDZIAŁ XI

Kraj bez przywilejów. Pięćwiekowa praca zjednoczenia Szwajcarji. Echo patrijarchalnych czasów. Z mojego pobytu w Appenzell. Na placu ludowych obrad.

Szwajcarja jest wolnym związkiem 22 kantonów.

Właściwie 25, gdyż 3 z pomiędzy nich: Bazylei, Appenzell i Unterwalden, podzielone są na dwie połowy, z odrębnym rządem i odrębnymi społecznymi instytucjami.

Kantony te są nie jednakowej wielkości, największy z nich Gryzoński zajmuje 7.132 kilometrów kw., najmniejszy Zug 239, każdy z nich przecież bez względu na rozmiar i liczbę mieszkańców, jest równouprawniony ze wszystkimi innymi.

Podobnie jak każda zamieszkująca Szwajcarję narodowość, czy nosi ona miano niemieckiej, liczącej w tym kraju 2.313.124 mieszkańców, czy Roteremańskiej (nie dochodzącej do czterdziestu tysięcy), — i pod tym względem nie znane tu jest to, co w niektórych państwach dzi-

siejszej Europy poczytywane jest za dogmat, że przywileje przysługujące obywatelom, warunkują się nie poszanowaniem ich praw człowieczych, ale ich liczebnością i przestrzenią jaką na ziemi zajmują.

Wysoce sprawiedliwych takich poglądów wielkich i mądrych tego świata, mała i zacofana Szwajcaria nie zna, nie potrafiła się ona bowiem jeszcze wtajemniczyć w mądrość urzędów, stosujących do ludzi zasadę łokcia i wagi.

I w zacofaniu swoim od reszty Europy, stosuje ją, ale nie do tych, którzy żyją, myślą i czują, lecz do bezdusznej materji i zwierząt.

Zawiązkiem Szwajcarii jak to już zaznaczyłem wyżej, były trzy małe kantony: Szwyc, Uri i Unterwalden, datą pierwszego zorganizowania się jej w niezależne państwo, rok 1291.

Kiedy po Rudolfie Habsburskim, tron cesarski zajął Albrecht, i przez swoich wójtów samowolników zaczął rządzić tak, jak się ludźmi rządzić nie powinno, w Ruttli nad jeziorem czterech kantonów zjechali się okoliczni mężowie, co głów pod jarzmo, niby woły wprzęgane do pług kłaść nie chcieli, i przysięgli sobie, że nie spoczną, póki tyrana z kraju się nie pozbęda.

I nie spoczęli.

I kraj z kajdan wyzwolili, grupując dokoła siebie w kolei wieków coraz więcej sąsiednich miast i siół.

To grupowanie się ich w jeden związek polityczny, nie było przecież dziełem jednej chwili,

trwało z okładem pięć wieków, rozpoczęte bowiem w roku 1291, ukończone zostało przez przystąpienie do niego dzisiejszych kantonów Vallisu, Neuchatelu i Genewy, dopiero w roku 1815.

Z wyjątkiem wieku 17, każdy wiek od 13 poczynając, zaokrąglął i wzmacniał Szwajcarję, wiek 14-y przyniósł jej pięć kantonów, 15-y dwa, 16-y trzy, 18-y sześć, a 19-y, jak wyżej przytoczyłem tyleż co wiek 16-ty, to jest trzy.

I utworzyło się tym sposobem w najbardziej górskim miejscu Europy państwo związkowe o czterech narodowościach, których podstawą jest bezgraniczne wszystkich równouprawnienie, którego cementem jest, o porządek i karność społeczną oparta wolność.

Jak praworządne zorganizowanie się tego państwa, przy poszanowaniu zasad deptanych nogami gdzieindziej po barbarzyńsku, jest wyrzutem i upokorzeniem dla znacznej części naszej cywilizowanej Europy, w sile pięści upatrującej argument, któremu poddawać się muszą wszyscy słabi, tak utworzenie się jego jest osobliwością, z wyjątkiem jedyne go związku Polski z Litwą, nigdzie w Europie nie mającą przykładu.

Gdy bowiem po za naszą Polską, wszystkie Europejskie wielkie organizmy państwowe pęczniały w kolei wieków długich, póki nie doszły do dzisiejszych swoich rozmiarów, dzięki nie czemu innemu, tylko gwałtowi i przemocy, Szwajcarja skupiła przy sobie to co dziś posiada, siłą

kulturalnego przyciągania i ukochania jednakich ideałów.

I zadaje kłam tym wszystkim, którzy w mieczu i bagnecie widzą spoidła państwowości, i szydzi z cynicznego twierdzenia Bismarka, że wielkie dziejowe zagadnienia, rozwiązują się żelazem i krwią.

Szydzi, gdyż większego, godniejszego człowieka, szacowniejszego dla ludzkości całej, nikt w Europie nie rozwiązał, a temu, które ona rozwiązała, nie towarzyszyły nigdy i łzy...

Uważany gdzieindziej za gordyjski węzeł zgodnego pożycia ludzi różnych języków i wiar różnych, nie rozcięty lecz rozplątany, pracą przynoszącą Szwajcarom zaszczyt, tu jedynie po za naszą Polską został.

Te kantony Szwajcarii, są to niemal odrębne i samodzielne organizmy.

Rządzą się odmiennie jedne od drugich.

Zgrupowane w jednym politycznym związku, w ofierze temu związkowi poniosły to tylko, czego wymaga jego siła i znaczenie na zewnątrz.

Po za tem pozostały same sobą.

Nie mają więc oddzielnej reprezentacji za granicą, nie mają prawa wypowiedzenia wojny ani zawierania pokoju, międzynarodowe układy złożyły ze swoich bark.

Ale w domu u siebie są pełnowładne, „soverein“, jak głosi artykuł trzeci Konstytucji z dnia 24 maja 1874 roku, i tę pełnowładność ograniczają jedynie w niewielkim stopniu, wykonywają ku dobru swoich mieszkańców.

Drogą przedstawicielstwa narodowego, lub też bezpośredniego udziału ludu w rządzie.

Do tych ostatnich należą kantony Uri, Unterwalden, Glarus, Gryzoński i Appenzell, i one to właśnie, w ostatnią niedzielę kwietniową każdego roku, dają obraz nieznanym żadnemu państwowemu organizmowi w Europie, obraz przywodzący na myśl czasy patriarchalne i patriarchalne stosunki.

Przyjrzenie się obrazowi temu nie jest pozbawione interesu, dla każdego kto w wędrówkach swoich po Szwajcarji nie ogranicza się jedynie na przyrody pięknie, — dzieła Boga, — ale śledzi z uwagą i za tem, co się przejawia w dziele kierującego większemi i mniejszemi zreszzeniami jej, — dziele człowieka.

Kanton Appenzell do którego udałem się w ostatnią niedzielę kwietnia, by wziąć udział w zgromadzeniu ludowym będącem echem czasów patriarchów naszych, jest jednym z najmniej zaludnionych kantonów Szwajcarji.

Liczy wszystkiego 68.780 mieszkańców.

Jako całość jest to kanton przeważnie protestancki, katolików bowiem jest w nim mało co więcej nad 18 tysięcy, a żydów, co jest prawdziwie znamienne, zamieszkuje w nim zaledwie 31.

Pod tym ostatnim względem, należy on do najmniej zaludnionych przez synów Judy kantonów, można bowiem o nim literalnie powiedzieć, że osiedli tu potomkowie Izraela, stanowią istotnie kroplę w morzu.

Jak w kantonach Vallis, Szafuzy, Frybur-

ga, Tessynu, Unterwalden, Zug i Szwyc, gdzie ogólna liczba czcicieli talmudu nie przechodzi 97.

Pomyślmy teraz, że siedm tych ostatnich kantonów liczy ogółem 427.117 mieszkańców, a i o tem także, że w kantonie Szwyc ostatnia statystyka doszukała się jednego, *literalnie jednego żyda*, na ogólną liczbę 19.700 jego obywateli, pomyślny o tem powtarzam, a nie zaliczymy chyba do szkodników narodowych tych wśród nas, którzy widząc co jest w Polsce, z energią godną narodu który zginąć nie chce, dążą do przywrócenia u nas zwichniętej narodowościowej równowagi.

Jeden z mniej zaludnionych i mniej rozległych, (414 kilometrów kwadratowych) kanton Appenzell jest bodaj najmniej zwiedzanym przez przejezdnych kantonem Szwajcarii.

Składa się na to przyczyna ważna.

Nie leży on na wielkiej komunikacyjnej linii Europy.

Chcąc więc się z nim zapoznać, musi się zboczyć z szerokiego gościńca, zawadzić o ką odsunięty od wielkiego świata.

A że nie każdy uczynić to chce, więc odsunięty, jest też on przez przejezdnych niemal zupełnie zapomnianym.

Mimo że bezinteresującym nie jest.

Daje oku obrazy bardzo romantyczne, tworzy całość odrębną od swojego otoczenia, wreszcie opiera się o piękną górę Santis, w przed-

alpejskim łańcuchu zaliczającą się niezawodnie do bardzo malowniczych.

A przy tem wszystkim, słynie szeroko z wyrobu wspaniałych koronek, które jeśli komu, to tym co w koronki stroić się lubią, torować powinny do niego drogę.

Do Appenzell przybyłem w wilję dnia zgromadzenia ludowego.

W Sobotę, przed ostatnią Niedzielą kwietniową.

I zainteresowany zostałem tem miastem bardzo.

Właśnie przygotowywano się w niem do jutrzejszego dnia.

Na jego więc ulicach zbierały się gromadki ludzi, na środku charakterystycznego rynku budowano estradę, wszystko zapowiadało niezwykłą uroczystość. Uroczystość powtarzającą się o jednej porze, co rok.

Wyboru, drogą głosowania, rządców kantonu.

Głosowania powszechnego.

Wedle konstytucji tego kantonu, najwyższą w nim władzą prawodawczą, jest gmina państwowa, tak nazwana „Landsgemeinde“.

Zgromadza się ona regularnie w ostatnią niedzielę kwietnia, w razie potrzeby przecież i częściej, a do składu jej wchodzi wszyscy mieszkańcy, mający skończonych 20 lat wieku.

I radzą nad jego potrzebami.

Wybierają po odbyciu swojej kadencji, urzędników.

Dając jednym z nich votum zaufania, innym okazując oznaki swego niezadowolenia.

I powołując ich do zdania obrachunku z ich czynności publicznych. Każdy więc uprawniony tu do głosowania, ma ustawowo zabezpieczony swój wpływ na rząd, może domagać się zmiany praw starych, uchwalenia takich jakie za wskazane uznaje.

Skoro mu się więc coś nieodpowiedniem lub przestarzałem widzi, zwraca się do wielkiej Rady kantonu, i ta obowiązana jest poddać następujące się mu uwagi, do rozstrzygnięcia ogólnemu zgromadzeniu wszystkich obywateli.

Takim więc sposobem, każdy z nich ma zapewniony bezpośredni wpływ na taki lub inny rząd, takie lub inne prawa.

Jedne i drugie są wynikiem jego woli, o ile ta, naturalnie spotka się z uznaniem większości.

W dniu zatem każdorocznych, w ostatnią Niedzielę kwietniową, zebrań ludowych, w pięciu tego typu co Appenzell kantonach, nie tylko każdy z nich głosuje na kandydatów do rządu kantonem (Standess Kommission) ze stojącym na jego czele Landamanem, nie tylko wybiera członków sądu kantonalnego (Kantons Gericht) ale uchwała, zmienia, lub uzupełnia to, co jak prawo stojąc ponad wszystkiemi i wszystkim, jest tu rzeczywistym wyrazem zbiorowej woli wszystkich.

Przyjrzyjmy się teraz miejscu, gdzie ta zbiorowa wola znajduje swój wyraz.

Na wąskiej uliczce, przed staroświeckim ra-

tuszem, tłumy ludu przeważnie z kobiet i dzieci złożone, cisną się o południowej godzinie dookoła orkiestry, w mundury wojskowe przyobleczonej.

I czekają na sygnał kapelmistrza.

Czekają nie długo.

Bo na znak dany z ratuszowego okna, rozlegają się dźwięki hymnu, a wkrótce po nich, z szerokich wrót oryginalnej budowli, poważnym krokiem wysuwa się szereg, w długie, czarne płaszcze z pelerynami przyodzianych osób, i kieruje się w stronę rynku.

To rząd kantonu, i jego najwyższy sąd.

Wszyscy zdejmują nakrycia z głów, rozstępują się, by dać miejsce dostojnikom ludowym, wszyscy z uszanowaniem przyglądają się swoim wybrańcom, którzy mniej lub więcej pożytecznie dla kantonu, sprawowali swoją władzę w ciągu ubiegłego roku.

I po ich przejściu, wszyscy w ślad za nimi, podążają ku rynkowi.

Jedni jako uprawnieni do głosowania uczestnicy zgromadzenia, inni jako widzowie.

Na rynku władze policyjne segregują jednych od drugich, i gdy pierwszych w szpady przy boku uzbrojonych wpuszczają za barjerę, drugich ustawiają po za nią, nawołując do spokoju i porządku.

Tymczasem na trybunie usadawia się rząd.

Cisza zalega całe zgromadzenie, daje się słyszeć głos Landamana.

Jest nim tym razem poważny siwy starzec,

dominujący nad innymi wiekiem i wzrostem.

Wysuwa się przed innych naprzód, i pozdrowiwszy wszechwładny lud ukłonem, rozpoczyna do niego przemowę.

Rozpoczyna sposobem utartym.

Daje krótki obraz wypadków politycznych w ubiegłym roku w świecie, streszcza z kolei to, co ważniejszego w tymże czasie dokonało się w Szwajcarji, wreszcie przechodzi do spraw bieżących.

Tym razem nikt nie zgłosił prawodawczego wniosku, wszyscy snąc zadowoleni byli z praw jakimi się rządili, więc oznajmia, których członków rządu ukończyła się kadencja, i wyszczególnia kandydatów na wakujące urzędy.

— Kto jest za wyborem tego kandydata (tu daje się słyszeć jego nazwisko) niech podniesie rękę do góry, niech o tem zaświadczy, — woła donośnym głosem.

I mnóstwo rąk unosi się na to wezwanie, na świadectwo woli ludowej.

I jeśli ich jest większość od tych, które pozostały nieruchome, oznajmia publicznie, kto mianowicie zajął miejsce ustępującego kantonalnego urzędnika.

I tak ciągle, dopóki wszystkich wakujących posad, lud nie obsadzi ludźmi swojego zaufania.

— Niechaj rękę podniesie, (erhebe die Hand), „niech o tem zaświadczy“, (bezeuge es), dolatuje bezustannie z jego ust do moich uszu, oczy moje w przeciągu kwadransy kilku, mają przed sobą ciągle obraz dostojników kantonu na

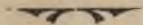
wzniesieniu, zbitej masy ludu na placu, i podnoszących się do góry, lub spadających na dół rąk.

Nareszcie porządek dzienny zostaje wyczerpany.

Na rok następny kanton ma kierowników administracyjnych i sędziów, a Landaman naczelnik jego wykonawczej władzy, powraca, otrzymując zewsząd powinszowania, do domu.

Za Landamanem powracam do hotelu mego i ja, i kiedy, wspominam to na co przed chwilą spoglądałem, stają mi na myśli czasy praoców naszych, w zaraniu organizowania się społeczeństw, nie inaczej niezawodnie obradujących nad sprawami publicznymi.

Czy czasy te, nie były pod pewnym względem od dzisiejszych naszych lepszymi? Odpowiedź na to pytanie pozostawić muszę nie sobie.



W OBLICZU ŚWIATA ŚMIERCI.



ROZDZIAŁ XII.



Najmniej malownicze miasto Szwajcarji. Słowo o Renie. Miasto przymysłu i handlu. Katedra i Ratusz Bazylei. Polityczna osobliwość.

Najmniej ze wszystkich miast malowniczym, i najmniej ze wszystkich szwajcarskiem, jest Bazylea.

Położona w północno zachodnim kącie tego kraju, wciskającym się zygzakowatą linią w granicę Alzacji, po obu stronach bystro toczącego się u jej progów Renu, śle ona ostatnie pożegnanie tej rzecze, która rozstaje się przy niej z wolną ziemią jej ojczyzny, by toczyć dalej na północ swoje wody, w ziemi obcej jej duchem, choć językowo do niej zbliżonej, niosąc ziemi tej powiew powietrza innego, innych ludzi i urządzeń społecznych innych.

Urodzony na południo - wschodzie tego kraju, Ren zanim z jego granic przedostanie się w granice obce, niedługą ale prawdziwie romantyczną odbywa drogę.

I na przestrzeni, stanowiącej zaledwie ma-

leńką częśćkę tej, jaką w pochodzie swoim ku morzu Północnemu od granic Szwajcarii przebiega, wchłania w siebie krajobrazy, z którymi te, które odbijają się w jego wodach, między Moguncją a Koblencją, w porównanie nawet iść nie mogą.

Bo ojczyzną jego jest bajecznie uroczy kanton Gryzoński, strefa Alp wysokich karmi go w chwili urodzin wodami swoich lodów, bo zanim ze skał trzymających jego korytarz w swoich objęciach przecisnie się on po powierzchni kamiennej ku Konstancjeńskiemu jezioru, to co ma najpiękniejszego Szwajcarya ściele mu pod nogi, jak gdyby dla wynagrodzenia go z góry za tę powszedniość i bezbarwność, jaka jest jego udziałem z małym bardzo wyjątkiem, po wydostaniu się z jej granic.

Do jeziora Konstancjeńskiego, wielka ta, jedna z największych w Europie rzeka, drobnemi jedynie strumykami odżywia się i wzmacnia, ale niedługo po opuszczeniu jego łożyska, wpada do niej potężna Aara, bogacąc ją swojemi wodami, i robiąc z niej prawdziwie już wielką rzekę. Kiedy więc po rzuceniu się z wyższej powierzchni w niższą za Szafuzą, i po połączeniu z Aarą wpływa Ren w mury Bazylei, przedstawia obraz mniej niezawodnie wspaniały i rozlewny niż nasza Wisła pod Warszawą, świadczący przecież wyraźnie o tem, że jest groźnym olbrzymem, brzemienym błogosławieństwem, jakim każda spławna i bystra rzeka, darzy miasta i kraje, które nawiedza w swoim pochodzie.

To błogosławieństwo odczuwa też to miasto, i gdyby nie Ren, nie byłoby ono w tem miejscu tem czem jest.

Ta rzeka zatem, to wielki skarb Bazylei, to prawdziwy, ale niestety jedyny jej urok.

Bo nie ma ona w pobliżu ani wspaniałego jeziora, jak Neuchatel, Biel, Genewa, Lucerna, Lugano, Lozanna, i Zurych, ani gór czarodziejskich w perspektywie dalszej, jak Bern, Fryburg, Appenzell i Chur, dokoła niej lekko faluje jedynie ziemna płaszczyna, i z całą jej monotunnością, stanowi teren, będący podstawą jej świątyń i mieszkalnych domów. Od przyrody więc dostała Bazylea zaiste nie wiele, i gdyby nie ten stan możnaby śmiało powiedzieć, że w szeregu miast całej Szwajcarii, jest ona prawdziwym kopciuszkiem.

Że wydziedziczyła ją ziemia Tella, zlawszy na inne swoje dzieci skarby piękna, jakimi obdarzył ją Bóg.

Zatem Bazylea nie jest malowniczym miastem, jako żywo nie, niema też charakteru właściwego miastom szwajcarskim.

Położona tuż u progów Alzacji, w niewielkiej odległości od Sztrasburga, patrzy raczej na wielkie miasto alzackie, podciąga się pod znany dobrze podróżnym po tej dzielnicy, wczoraj jeszcze pruskiej, a dziś francuzkiej, — typ.

I na każdym niemal kroku, uderza zamożnością swoich mieszkańców.

Domy obszerne, ulice powietrzne, szerokie place, sklepy nie wykwintne, ale zasobne, i ta

ludność zewnętrznym swoim wyglądem mówiąca każdemu, że jest jej tu zacisznie i dobrze, wszystko to świadczy o tem, że uszło tu się nie od dziś wygodne gniazdo, w którym przebywający w niem, jeżeli tylko rąk leniwie nie zakładają, braków pod żadnym względem nie czują, pilnując wielkiej drogi z północy na dalekie południe, i czerpiąc korzyści z ocierania się o tę drogę.

Jakoż usadowił tu się przemysł jedwabny i wełniany, fabrykacja maszyn, piwa, i wstążek rozwinęła się na wielką skalę, dając do współki z handlem, utrzymanie tysiącom, bogacąc setki przedsiębiorcze i energiczne.

Ale nie tylko człowiek przyczynia się do zamknięcia tego miasta i bliższej oraz dalszej jego okolicy, dopomaga mu w tem i matka przyroda.

Ogołociwszy bowiem Bazyleę ze skarbów, jakie rozsiała we wnętrzu Szwajcarji i na jej południu, wzbogaciła ją tem, co braki te o wiele przewyższa: urodzajną ziemią, przy niewielkim nakładzie pracy, opłacającą trudy człowieka sownie.

Wino też, owoce, jarzyny, zboża, produkują jej ogrody i okoliczne pola w ilości wielkiej, i drogą wybornej komunikacji rozsyłają je w najustronniejsze Szwajcarji i Włoch zakątki.

Lubo stara, bardzo nawet stara, w pierwszym już bowiem wieku po Chrystusie wzmiankują o niej kronikarze rzymscy, Bazylea wyglądu starego miasta wcale nie ma.

Ale nie ma też tak nowożytnego, jak Zurych i Genewa.

Ci co ją zabudowywali w nowszych czasach, nie dbali o to, aby wznoszonym przez nich budowlom nadawać cechy właściwe eleganckim domom nowych miast, a ci co pozostawili po sobie w niej to, co im dawało schronienie, nie pozostawili najcharakterystyczniejszego.

Więc pospolitości i bezbarwności więcej tu niż gdzieindziej, dzięki czemu dzisiejsza Bazylea na stolicę jak Zurych i Genewa zupełnie nie patrzy. Patrzy na miasto zasobne, samo w sobie i samo dla siebie, i z tem jest jej bardzo dobrze.

Acz pospolita i bezbarwna, nie jest ona przecież pod względem architektonicznym pozbawiona interesu, posiada bowiem prócz paru podrzędniejszych dwa gmachy, przed którymi dłużej przystanąć nie zawadzi.

Katedrę nad Renem, i na rynku Ratusz.

Jakże dodatnio wyróżnia się od olbrzymiej ale nie pięknej Zuryskiej ta katedra, ze swoim polichromicznym dachem, bardzo eleganckimi dwiema wieżami, i prawdziwie wspaniałą bramą wchodową.

Przebudowywano ją niejednokrotnie, wiek każdy niemal dorzucał jej rzeczy nowe od siebie, przyozdabiał szczegółami nowymi. Ale dawał jej każdy coś pięknego, by nie psuł ogólnej harmonji.

Więc też nasz, który o tę harmonję dba bardzo, z prawdziwem zadowoleniem spoglądać na

nią może, i doznawać wrażeń nie tak posępnych, jak gdy patrzy na katedrę Zurychską.

Uwaga ta stosuje się, ale pod pewnym tylko względem i do Ratusza.

Starego również, przekształconego przecież nie jak ona w kolei długich wieków. Oczyszczonego ze śniedzi przeszłości jednym tchem w naszych oczach, i naszemi niemal rękami.

Jeżeli mam być sprawiedliwym, powiedzieć muszę, że interesującego tego gmachu odnowa, nie została dokonana w tak zadawalający sposób, jak odbudowa i przebudowa katedry.

Kiedy się do niej zabrano, umyślono zrobić coś niezwyčajnego, i istotnie zrobiono, ale to niezwyčajne, poważnem i spokojnem nie jest.

Bo gmach z zewnątrz i z wewnątrz pomalowano, zapełniono obrazami rycerzy i wojennych scen, i stworzono tym sposobem całość jaskrawą i krzyczącą, nie licującą z charakterem budowli narad ojców Bazylei, nad jej bezpieczeństwem i dobrobytem.

Ale mimo to zbogacono Bazyleę gmachem, ściągającym do siebie mniej wybredne tłumy, i w dniach dzisiejszych pogoni za efektem, efektowne miastu dano.

Ściągnięto to, o co chodziło gdy się zabierano do roboty, przyjezdnych tłumy, które gdyby go tu nie było, pomijałyby to miasto w pochodzie w głąb Szwajcarii.

Zatem stylowo piękną jest katedra, rzucającym się w oczy ratusz, a jeżeli dodamy do tych dwóch gmachów, parę innych sąsiadujących

z niemi, i Spalenthor starą wieżę z XV wieku, będziemy mieli z przeszłości wszystko.

Reszta szarzyzna wczorajsza i dzisiejsza, ale dostatnia, w której i wśród której, bogate Bazylejskie mieszczaństwo rośnie i tyje.

Słynna Koncyljum, które się tu w czwartym dziesiątku XV wieku odbywało, Bazylea dzisiejsza, myśląc i dobrze myśląc o zaspokajaniu materialnych swoich potrzeb, o duchu jak wszystkie nawet najmniejsze miasta Szwajcarji nie zapomina.

I pod tym względem wstępuje w ślady swoich dziadów i ojców.

Otrzymawszy w spuściźnie po nich najstarszy w historii Uniwersytet, dba i bardzo o przyszłość młodzieży swojej, nie żałując grosza na niższe i średnie zakłady naukowe.

A przy nich o pomocnicze instytucje, jak gabinety przyrodnicze, galerje obrazów, i zbiory starożytności.

To też jej Holbeiny i Boeckliny, ściągają z najdalszych stron malarzy, a Muzeum, acz porównania z Zurychskiem nie wytrzymuje, mogłoby być prawdziwą ozdobą każdego miasta, o wiele nawet od niej większego.

Kto więc chce się w niej uczyć, może głód wiedzy tu zaspokoić, nie w trosce jedynie o dobro ciała zasklepiają się bowiem ojcowie tego miasta.

Pod pewnym względem Bazylea stanowi w Szwajcarji prawdziwą osobliwość.

Jest miastem, ale zarazem i kantonem, o lipucich kształtach.

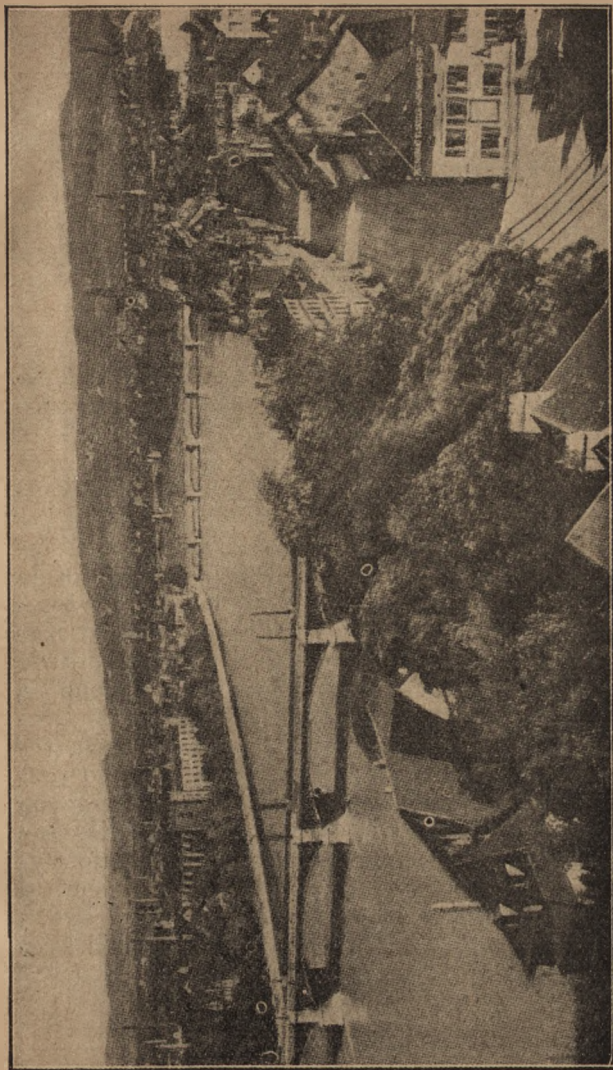
Bo obejmuje on obszar 35-ciu kilometrów kwadratowych, i jako Baselstadt, ma głos w rządzie Szwajcarji, nie mniejszy od takiego kantonu Gryzonów, który liczy ich 7132.

A w domu u siebie jest tak samo zwierzchniczym (souverain), jak wszystkie pozostałe kantony.

I nic nie znaczy, że w porównaniu z innymi jest ten kanton tak drobnym, nic, że trzy tylko gminy wiejskie wchodzi do jego składu, na szali losów kraju całego waży on na równi z innymi, na równi z innymi decyduje o jego losach.

Zróbmy przegląd w myśli wszystkich państw i państewek Europy, z żarłocznymi Prusami na czele, a gdy w żadnym z nich z czemś podobnym się nie spotkamy, pozazdrościmy, poraz już nie wiem który tej Szwajcarji, jej społecznego ustroju, opartego na tem, co gdyby nasza Europa osiągnęła, możeby w wieku XX-ym nie przedstawiała, mimo swoją przeszłość i materialną cywilizację, ponurego obrazu, zakrwawiającego dziś wszystkich, przyglądających mu się z zadumą i troską, — serca i oczy.





OGÓLNY WIDOK BAZYLEI.

ROZDZIAŁ XIII.

Najmniejszy lud największego kantonu. Retoromanie. Ich język i poezja ludowa. Fizycznie słabi a jednak silni duchem. Wytrwają.

Największym kantonem Szwajcarii jest kanton Gryzoński.

Zajmuje on południowo wschodnią część tego kraju, słynie szeroko w świecie wspaniałością widoków nieznaną innym kantonom, pod względem wyznaniowym wyróżnia się tem od pozostałych, że katolicy dorównują w nim prawie protestantom, a gdy wszystkie zamieszkane są przez ludność, bądź jednym językiem bądź dwoma odrębnymi posługującą się w domowych stosunkach, spotyka się w nim wśród rzadko rozsianych bo zaledwie 107 tysięcy głów liczących mieszkańców, aż trzy języki, bądź pomieszane z sobą w jednych okręgach, bądź rozsiadłe wyłącznie w odrębnych, o całkiem odmiennem od innych lingwistycznym piętnie.

Językami temi są, niemiecki, włoski i retoromański.

Gdy więc uroczy, mało uroczy, prawdziwie czarodziejski jak rzadko który w Szwajcarji, ściga ten kanton nie od dziś do siebie, tłumy żądnych widoków majestatycznych z całego świata, i darząc ich obrazami jakim podobnych nie znaleźć gdzieindziej, każe go im słać szeroko w świecie, dla badacza stosunków ludzkich jest nie od dziś magnesem przyciągającym, nigdzie bowiem na takiej jak tu przestrzeni, nie spotyka się on z obrazem współżycia zgodnego ludzi, co odmienną od najbliższych swoich sąsiadów mową chwając Pana nad Pany, w myśl jego nakazu, w niezakłóconej harmonji pchają naprzód taczkę życia, wolni od zgrzytów, jakie ich pochodowi towarzyszą, przy analogicznych językowych stosunkach, w innych, oświeconej Europy stronach.

To też jeżeli cała wogóle Szwajcarja, gdzie trzy wielkie o bogatej literaturze języki, wbrew temu co się gdzieindziej widzi mają zupełne równouprawnienie, jest wzorem dziś jeszcze niedościgłym dla tej Europy, nie wszędzie co prawda ale w znacznym swoim odłamie radej zacierać rasowe właściwości tych, którzy zrzędzeniem wyższem weszli w skład obcych organizmów państwowych, i zlać się w jedno ciało z organizmami temi nie pragną, kanton Gryzoński jest wzorem o wiele jaskrawszym, ci jego mieszkańcy bowiem którzy za Niemców ani za Włochów nie uważają się w nim, wymieniają swoje myśli w języku, do ostatnich nieledwie czasów nie posiadającym prawie żadnej literatury, jak to się w polocie mówi niekulturalnym, jako więc tacy

w myśl pojęć tych, którzy kulturę radzi utożsamiać z liczbą, powinni być skazani na wynarodowienie.

A przecież żyją, niedość żyją, biorą tu udział w rządzie kantonu, i równi wobec równych z innymi, nie są wystawieni na takie operacje na żywym cielesie, jakie naprzykład zuchwały Prusak stosuje do tych braci naszych na zachodnich kresach, którzy językiem stokrotnie od ich gwary bogatszym i wspanialszym, dopominają się świętych swoich praw, deptanych brutalnie nogami tych, co pijani nie tak dawno powodzeniem i szczęściem, chcieliby Polsce, której hołd kilka wieków temu czołobitnie składali, wydrzeć jej braci.

Ten lud, który w tym trzyjęzycznym kantonie Gryzońskim, acz mówiący językiem najmniej urobionym ze wszystkich języków Europy, cieszy się pełnem równouprawnieniem z ludem niemieckim i włoskim, jest najmniejszym liczebnie narodem na całym świecie.

Liczy wszystkiego 40 do 45 tysięcy głów, i nosi nazwę retoromańskiego narodu.

Pochodzeniem swoim zbliżony do Portugalczyków, Hiszpanów, Francuzów, Włochów i Rumunów, pozostał tu on, gdy fala północna odpchnęła ku południowi napływ na Europę Rzymu.

I zamknięty w swoich górach ostał się.

Ale ostawszy się, przeinaczył. Wchłonał w siebie germańskie pierwiastki zatarł wpływ kultury w której się narodził, i wytworzył coś

odrębnego od ojczystego swego pnia, coś swoistego językowo nawskroś.

To coś, to jego dzisiejszy język, włoski i łacinę przywołujący na pamięć.

Chcecie przykładu, oto początek jego hymnu na cześć ukochanej ojczyzny

„Nel palais da me naschentscha
Returnar voless e star
La giodaiv en beadentscha
La voless en reposar“.

Znający język pogromców starej Kartaginy, zrozumie w tym hymnie wyrazów kilka, sens ogólny pozostanie przecież w nim nieuchwytnym.

Bo jestto coś dziwnego, jakiś zlepek lingwistyczny, raczej gwara niż wyrobiony język porozumiewania się między sobą.

Gwara ta, wieki całe nie miała żadnego piśmiennictwa, do początków XVI stulecia żyła tylko w ustach ludu, w ubiegłym wieku dopiero pozyskała to, co o zaczątki literatury zatraça. Szkolne książki, Biblię, katechizm i kalendarze.

W ostatnich czasach doczekała się wreszcie poezji.

Zaciekawiony tą poezją Retoromanów, tym kwiatem każdego języka, starałem się z nią w niektórych przynajmniej jej utworach zapoznać. Naturalnie w tłumaczeniach włoskiem i niemieckiem.

I znalazłem w niej wiele smętnego wdzięku.

Nadewszystko w utworach Cadenassa, Jenna i Bezzoli.

Posłuchajmy pierwszego z nich, jak podnio-

śle mówi on swym językoznawcom o tem, że wszystko na świecie przemija, a i o tem także, w czem tkwi pociecha po tej zmienności świata.

Oto jego wiersz :

*„Choć dziś świeci słońce, przecież nie wiem nie,
Czy mi jego promień jutro dzień ozłoci.*

*Kwiat z jutrznią zakwitnie, świat napełni wonią,
Lecz któż mi zaręczy że wpierw nie odejdę.*

*Wszystko jest znikome, ziemia, morze, światło,
I wszystko co żyje w proch się w końcu zmienia.*

*Gdy więc taki ustrój jest w porządku świata,
Ku Bogu się zwracaj z swą prośbą i skargą.*

*Albowiem modlitwa jest balsamem w smutku
Unosi ku niebu, dusze z nędz tej ziemi“.*

Nieprawda że piękne? Niemniej jest piękny wiersz sławiący kraj rodzinny, wiersz Bezzoli.

Ojczyzną Retoromanów jak wogóle wszystkich Szwajcarów jest Szwajcaria, kanton Gryzoński jest ich ojczyzną ściślejszą. Ale Engadina, maleńka część tego kantonu, gdzie skupienie ich jest największe, najtkliwszymi węzłami złączona jest z niemi. Ją więc w tym wierszu poeta ten sławi, ku niej zwraca swoje myśli i uczucia.

„Ukochany mój kraju, (meis char paiais), — woła doń po wysławieniu jego uroku, — „dopóki słońce i księżyc nie znikną na niebie, dopóki Inn wśród skał twoich płynąć nie przestanie, serce moje kochać cię jedynie będzie“.

I kochają też ją wszyscy sercem całym, ale jednocześnie ogarniają miłością cały swój kraj, tę ojczyznę szerszą Szwajcarię, która jest

im matką nie macochą, co nie urągając ich kulturalnej niższości, mimo że są tacy drobni, i językowo reszcie jej zaludnienia tak obcy, zlewa na nich w równej mierze wszystkie te dary, z których sama, widząc w nich równouprawnionych obywateli, korzysta.

Czy jej jest z tem źle? Niechaj odpowie na to historia.

W kolei wieków szalały nad tym wielojęzycznym krajem straszne burze, nie jedni chcący z zachodu i wschodu podnosili na niego ręce, grób mu wykopać starali się niejedni, on przecież przetrwał wszystko, i stoi.

Jak mur, jak dąb.

Nie jak mur, nie jak dąb, bo te padają gdy im czas wyszepcze słowa Baltazarowe, ale jak niespożyta przez czas, granitowa skała.

I jak skała stać będzie.

Gdyż jego spoidłem jest coś takiego, co czasowi urąga, co z mocy jego szydzi.

Nie brutalna siła pięści, nie gwałt i nienawiść, ale to, co tych owoców pychy i dzikości człowieka jest szczytnem przeciwstawieniem, sprawiedliwość, ta podstawa państw, „fundamentum regnorum“, z wyjątkiem jednej Anglii, a wczoraj i dziś Polski, nigdzie w Europie nie stosowana w tym co tu stopniu do wszystkich.

Ten język Retoromanów, osobliwość języków świata, w ostatnich czasach obudził zajęcie swoich i obcych lingwistów.

Przyczyniło się do tego wielce, założone

w roku 1885 w Chur, Romańskie Towarzystwo naukowe.

Liczy dziś ono 500 członków, interesuje krajowców i cudzoziemców, a przez wydawanie książek w tym języku, podtrzymuje jego życie.

Wzmagając je z każdym rokiem, niby Westalka płomień ku czci swoich bogów.

Wychodzi też w nim w Samaden tygodnik „Fögl d'Engadiana”, mówiący tym którzy inne języki słabo znają o tem, co się dzieje na bliższym i dalszym widnokręgu, a Pastor Piotr Aander, przez wydanie świeżo gramatyki tego języka po niemiecku, do świata Retoromańskiego ducha, otworzył wrota całemu światu.

Żyje więc w tym pięknym kantonie to, co gdyby nie przywiązanie do niego tych, których jest skarbem znikłoby dawno, okolone pierwiastkiem obcym, nie zlewa się z tym pierwiastkiem, i na morzu niemieckiem i włoskiem stanowiąc nikłe wysepki, zwycięsko opiera się falom tego morza.

Będąc przykładem dla tych większych.

I ucząc wszystkich, których Bóg w narodowej odrębności szatę przyoblekł, przywiązania do wszystkiego co narodowości jest jak język twierdzą i ostoją, wlewając we wszystkich wiarę, że tylko własne odstępstwo i zaprzaństwo, może usunąć zagrożonym w swym bycie narodom i ich językom, z pod nóg grunt.

I wtrącić je w przepaść unicestwienia.

Zatem wy słabi, którym mocni świata tego niosą w postępującej zawsze przed upadkiem

i rozkładem pysze, śmierć, chodźcie tu do tych Retoromanów w tym kantonie, a znajdziecie pociechę i pokrzepienie, a wy potężni, którzy w zarozumieniu ścierpieć nie możecie, że ktoś przy was do słońca wzrok podnosi i powietrze narówni z wami w pierś swoją wciąga,— w trwałości płonki tego tu języka osobliwego, czerpcie naukę w niespożytość tych, którzy duchem silni, umrzeć nie chcą.

Chodźcie tu i czerpcie tu naukę, a jeżeli ta pogładowa lekcja, pierwszych z was pokrzepi, a drugich upamięta i ze złej drogi zawróci, niech za to będzie oddany hołd tym drobnym w tym kantonie zrzeszeniom, co wielkim gromadom ludzkim w potężne organizmy nowoczesnego Państwa wcielonym, głosem niby nie z tego świata przypominają, że jest coś w świecie, czego żadna siła nie pokona: nieśmiertelny, we Wszechmogącym i Nieśmiertelnym mający swoje źródło i otuchę, — duch.



ROZDZIAŁ XIV

Engadina. Doliną Innu. Źródła i zakłady lecznicze. Cud inżynierji. Narodowy park. Pożegnanie Engadiny.

Engadiną więc jak powiedziałem, nazywa się pas ziemi, który zamieszkuje w największym kantonie Szwajcarji, najmniejszy na całej kuli ziemskiej lud.

I nazwą swoją, daje poznać światu język tego ludu.

Bo mówi mu tym mało znanym językiem, że Engadina jest doliną Innu, który poczęty na jej południowo-zachodzie, środkiem jej żłobi sobie drogę, w kłamrze kamiennych uniesień tej Szwajcarji tak bajecznie pięknej, zaliczającą się do najpiękniejszych.

I mknąc raz chyżo to znów powoli ku północo-wschodowi, rozstaje się, dążąc ku Dunajowi z górami Szwajcarji, by malowniczością swoich wybrzeży darzyć nie mniej od niej obficie, również jak ona malowniczy Tyrol.

W ciekawej bardzo dolinie płynie z połu-

dnia ku północy, zanim Szwajcarię opuści, ten Inn.

Na przestrzeni 91 kilometrów.

Urodzony na wysokości aż 2.480 metrów nad poziomem morza, mknie on rączo wśród pełnego grozy otoczenia, z obu stron odbijając w lustrze swoich wód, obrazy jedne z najwspanialszych jakie Szwajcarija oku daje.

Towarzyszą mu w początkowym jego pochodzie zanim z powijków się wydostanie romantyczne jeziora, a pod St. Moritz kiedy się z nimi rozstanie, ocieniają go skaliste złomy, przerażające swoim ogromem i dzikością.

Dwie Engadiny znane są wędrowcom po tych pełnych uroków stronach.

Górna i dolna.

Pierwsza dominuje bezsprzecznie nad drugą, dzięki tym jeziorom, które urozmaicają początkowo drogę tej rzeki, ale i ta, ku której w pochodzie ku Tyrolowi się obniża, nie o wiele jej ustępuje w dzikiej nad wyraz grozie.

To też do obu cisną się z najdalejszych stron świata chorzy i zdrowi, i wznagając wśród źródeł mineralnych obu podkopane swoje siły, sławę ich w zachwycie roznoszą po całym świecie.

Tę niewielką połąć ziemi szwajcarskiej, matka przyroda obdarowała źródłami, jakim podobnych darmobys szukał na tak krótkiej przestrzeni, już nie tylko Europy, ale i całego niezawodnie świata.

Mamy tu bowiem w bliskości, i żelazo i sodę, i jod i arszenik, a że wszędzie gdzie się tyl-

ko skierujesz witają cię wygodnie urządzone kąpiele parowe, elektryczne, węglowe, alkaliczne i błotne, przeto latem i zimą gości ze wszystkich stron cywilizowanych krajów co krok masz na widoku.

I kiedy im się przyglądasz lub w ich towarzystwie obcujesz, zdaje ci się, że przeniesiony zostałeś do jakiegoś świata z bajki, który z tym naszym, zaiste nie wiele ma wspólnego.

Bo natura posiała tu na każdym kroku dziwość, człowiek wniósł wszędzie owoce kultury i cywilizacji, bo tuż przy krajobrazie odstrasającym, w dziele jego rąk unosi się wdzięcznie to co nie odstrasza, ale ciągnie ku sobie.

Sprawia też ten melanż, że czy drogę tę pieszo czy końmi przebywasz, choć ona taka dzika i groźna, iż całą jej dolinę Syberją szwajcarską nazywają, tęsknisz za tem co pozostawiłeś po za sobą, i rad o ile ci czas i okoliczności pozwalają, zawracasz po za siebie, by to co tu raz przeżyłeś z biegiem skrapiającego ją Innu, przeżyć ponownie, by przypadkiem nie zatarło się coś nicoś z tego w twojej pamięci.

To też ruch panuje tu o każdej porze, tłumy jezdnych i pieszych wchodzą ci bezustannie w oczy, i gdziekolwiek przystaniesz dla chwilo-
wego odpoczynku, wszędzie słyszysz słowa zachwytu nad dziełem Boga, i uznania wysokiego dla dzieła człowieka, który rzucony w te odludzia, nie założył rąk bezczynnie, ale wysiłkiem rozumu i mięśni wniósł w nie to, co wszędzie chlubę człowieka stanowi.

A że tym człowiekiem, tym skrzętnym bu-downicznym tyłu tu wśród urwisk gniazd wygodnych jest w znacznej części Retoroman, przeto uczysz się gdy te strony przebywasz, cenić ten małowolny lud, który otoczony ze wszystkich stron Niemcami i Włochami, nie tylko uchował swoją narodową samoistność, ale ponad to złożył dowody swojej wytrzymałości i sprężystości, — swój kraj tak po macoszemu obdarowany przez przyrodę, stawiając na poziomie, którego mu pozazdrościć mogą, najhojniej obdarowane przez nią narody.

Nie byłaby Engadina częścią Szwajcarii, tej ziemi nadzwyczajności komunikacyjnej, gdyby zapragnąwszy ściągnąć do siebie przybyszów z całego świata, i tym sposobem wzmódz swoje narodowe bogactwo, nie pomyślała o połączeniu jej z wielkimi linjami Europy, umożliwiającymi o każdej porze roku wygodny do swojego wnętrza dostęp.

Jakoż pomyślała o tem, wyciągnęła z najbardziej oddalonych i dzikich swoich zaułków rękę na cztery świata całego strony, umożliwiając mu zabranie z sobą i tymi co od wieków ją zamieszkują, ściślejszej znajomości.

I stworzyła jeden nieznaną światu i inżynierji cud.

Nie inaczej, — cud.

Bo linja przerzynająca ją nawskroś, północ jednocząca z południem, umożliwiającą dostęp tam gdzie dzika koza i to gdzieniegdzie tylko wdrapywała się jedynie na wyżyny, na nazwę

cudu jedynie zasługuje, bo śpiewa hosanna nauce i wytrwałości człowieka, który urągając przeciwnościom, pokonał zwycięzko wszystkie przeszkody, jakie napotkała na swojej drodze, i ujarzmione rzucił jej pod nogi.

Ta linja, poczęta na niezbyt wielkiej wysokości w stolicy kantonu Gryzońskiego Chur, zaledwie opuści to 587 metrów uniesione nad poziomem morza, malowniczo położone na wybrzeżach Plessury miasto, zrazu biegnie po niewiele większej od niego wysokości, ale już w Tiefencastell staje na powierzchni o 300 metrów wyższej, by dalej jak po stromych schodach piąć się już bez wytchnienia ciągle.

To też gdy dojeżdżamy do Filisur, małej wioszczyny śmiejącej się wdzięcznie do ciebie, gdy ku niej wzrok z oddalenia skierujesz, widzisz się już na wysokości 1083 metrów, w Bergün masz ich o 300 metrów więcej, a w Samaden podają ci do wiadomości, że osiągnąłeś ich 1725.

A że odległości od jednego do drugiego tego miejsca są nie wielkie, przeto oczywiście jak po schodach wstępujesz w coraz wyższe sfery, mając na prawo i na lewo obrazy, jakgdyby wysnzione w uroczem marzeniu.

I pniesz się pod górę nie pozbawiony szerokich widnokręgów, oko twoje zataczać co chwila może jaknajdalsze koła, zaledwie się zatrzyma na jakichś olbrzymich skalistych zrębach, wnet staje na jego promieniu stare zamczysko spowinowaczone z niemi jednolitością

dzikiego pejzażu, lub słodka sielanka gromadki chat, kąpiących się w morzu słonecznego światła, dokoła których uganiają się za kozami przeskakującymi z kamienia na kamień, chłopcy i dziewczęta.

A to wszystko przesuwa ci się przed wzrokiem z niesłychaną szybkością, jak w kalejdoskopie jeden błyszczący kamień ustępuje co chwila miejsca drugiemu, tak, że gdy znużony mnogością i różnorodnością widoków przymkniesz na chwilę oczy, masz przed obrazem duszy swojej czarodziejski jakiś chaos, piętnem uroczego piękna odbijający się w twojej pamięci.

Drogą Albuli zowie się w podróżniczych przewodnikach ta przerywna linia kraj Retoromanów kolej. Wzdłuż wybrzeży tej rzeki inżynierja pokazała światu do czego jest zdolna. Pokazała w stopniu wyższym niż gdzieindziej na kuli ziemskiej.

Bo nie mówię o trudnościach doprowadzenia maszyny parowej do wysokości z jakimi tu się spotkała, — nie nowina to dla niej zawisnąć ponad obłokami z tworami swojego zuchwalstwa i genjuszu, — większe bez porównania i zwartsze góry wiercił w bliższej i dalszej odległości od arterji wodnej jej oskard, ale aby tyle wdzięku rozpostrzeć po drodze na jakiej przyszło jej w tych miejscach burzyć i budować, na to nie starczyło zuchwalstwa i potęgi, musiała zapożyczyć się u poety. I w jego fantazji zaczerpnęła to, co aby nie już tylko zdumieć, ale

oczarować, rozprzestrzeniła po drodze swojego pochodu.

Prawda, kapryśnica ale i poetka natura, przyszła jej tu z niemałą pomocą, gdyby niebiańska przecież iskra tej córy bożej nie ożywiła tu dusz jej pionierów, przeszliby oni, nie zważając na jej czary mimo, i stworzywszy dzieło majestatyczne i budzące zachwyt swoją nadzwyczajnością niezawodnie, nie przepoiliby go tym słodkim czarem, jakim poezja jedynie poi w świecie wszystko, co wciągnie w uroczy swój wir.

To też choć widziałem i podziwiałem w trzech częściach świata które zwiedzałem, wiele nadzwyczajnych jej dzieł, poetyczniejszego ponad to z jakim wzduż tej Albuli się popisała, nie widziałem nigdzie na świecie, i twierdzą nie sądząc, abym spotkał się z zaprzeczeniem z czyjej strony, że są ponad tę Retoromańską tu kolej wspanialsze i wywołujące zachwyt większy, wdzięczniejszej przecież, którzy budząc podziw jednocześnie uwagę i pamięć przykuwała do siebie silniej, nigdzie najniezawodniej niema.

I pod tym względem wszędzie gdzie inżynierja święci swoje tryumfy, jest ona niedoścignionym unikatem.

Jedną z największych osobliwości tej Engadiny, gdzie z osobliwościami spotyka się podróżny na każdym niemal kroku, jest też wielki narodowy park.

Powstanie jego świadczy wymownie o tro-

skliwości Retoromanów, by udostępnionego całemu światu czarującego skrawka ich, wciśniętego w niebotyczne góry kraju, nie pozbawić przez gromadny napływ przybyszów ze wszystkich stron, cech wyróżniających go doszczętnie, od reszty wysoko położonych stref.

Widzieli oni co się dokoła nich dzieje, спустoszenie jakie szerzy w nim cywilizowany człowiek, udostępniający wszystkim najodleglejsze zaułki, ale ścierający z nich jednocześnie stempel, jaki natura na nich wycisnęła.

I postanowili złemu zaradzić.

Na sposób wskazany przez Amerykanów.

I wzorem ich, tylko w skromniejszych o wiele rozmiarach, wycięli na swoim niewielkim terytorjum przestrzeń ziemi, do którego dostęp byłby dozwolony każdemu, ale którym swobodnie rozporządzać, a raczej którego uszczuplać i niszczyć, w taki sposób jak się to dzieje na wszystkich otwartych przestrzeniach, nie miałby prawa nikt.

Myśl ta, dbających o przyrodę tych pięknych stron, powstała w roku 1906, i po trzechletnich przygotowawczych pracach, szczęśliwie przyoblekła się w ciało.

W okolicach nie wielkiej osady Zernez, w miejscu gdzie Inn zwraca się przebywszy znaczną część swojej szwajcarskiej drogi ku Tyrolowi, odnaleziono uroczy skrawek ziemi, i gdy wszystko dokoła niego przeobraziło się pod przemocną ręką człowieka, rozkazano tej ręce opaść bezwładnie na dół.

I w obec majestatu natury, zatrzymać się w milczenia podziwie.

Nie tykać tego co stworzył i do życia powołał Bóg.

Nie naruszać porządku panującego tu odwiecznie.

Ani w układzie skalistej powierzchni, ani w państwie Fauny i Flory.

„Podziwiamy niewątpliwie (czytam w odezwie jaką Towarzystwo organizujące ten park rozrzuciło po świecie), postępy cywilizacji użytkowującej w tak cudowny sposób siły natury. Ale tyle twórczości wprzęgniętej w służbę naszych interesów, nie powinno kazać nam zapomnieć, że realizuje się ona ze szkodą przyrody, której praca cicha i tajemnicza pokrywa każdej wiosny nasze góry i doliny najwspanialszą ozdobą. Otóż te jej ozdoby, cywilizowany człowiek zdiera z niej bez miłosierdzia, i przenikając w najustronniejsze zakątki, bez żadnego względu na otaczające go dokoła czary, skazuje na doszczętną zagładę to, co jest jednym z najcenniejszych źródeł intelektualnych rozkoszy“.

I pragnąc go tych rozkoszy nie pozbawiać, zabroniono mu tej zabawy.

Postawiono veto na jego drodze.

Wszędzie jak chcesz, — powiedziano mu dobitnymi słowami, — ale tu nie.

I od tej chwili odżyło tu wszystko.

Zazieleniła się ziemia, zaludniły się ptactwem i zwierzyzną lasy i odłogi, wszędzie gdzie

śmierć pokrywała wszystko posępnym swoim całunem, zapulsowało życie, którego nikomu tłumić nie zostało tu dozwolone.

I gdy od tego czasu niszczyciel wszystkiego i zakłócający wszystko człowiek poszedł ztąd precz, żyje tu w spokoju niezamąconym przez nikogo wszystko, jak w owym Mickiewiczowskim z Pana Tadeusza mateczniku, gdzie:

„Między zwierzętami

Dobre są obyczaje, bo się rządzą sami.

Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci,

Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,

Nie znają pojedynków ni wojennej sztuki,

Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki“.

Dwie doliny Cluozu i Scall, wciśnięte w olbrzymie przeszło trzytysięcznometrowe wyniosłości złożyły się na ten park, dwie świecą światu pięknym przykładem, a czuwają nad nim przy pomocy policyjnych psów, wybrani z pośród zaufanych ludzi, dozorczy. Żadne budowle po za schroniskiem pierwotnem nie psują w nim naturalnego ładu, żaden strzał nie daje się tu nigdy słyszeć, nikomu nie wolno zerwać po drodze najwężlejszego nawet kwiatka, nikomu zastraszyć żadnej zwierzyny.

I to na przestrzeni nie bylejakiej, wynoszącej bez mała 50 kilometrów kwadratowych, która to przestrzeń, nigdy zmniejszoną być nie może, owszem ma z czasem objąć dwusto kilometrowy pas ziemi.

Dzięki też porządkom jakie tu panują, lasy przybierają postać prawdziwie dziewiczych, ptaki i czworonogi gdzieindziej nie spotykane wchodzi tu każdemu ciągle w oczy, a wszystkie gatunki roślin alpejskich, w zaniku doszczętnym będące w innem miejscu, rosną tu dziko, jak gdyby chodowane ręką człowieka.

Ten park narodowy w ziemi Retoromanów, powołany do życia przy wydatnym udziale ich i wpływie, lubo istnieje stosunkowo tak niedawno, zaczyna promieniować już na dalsze i bliższe przestrzenie.

Po całej Szwajcarii dają się słyszeć głosy nawołujące do zakładania podobnych, w wielu kantonach myśl jego wcielać się zaczyna w ograniczający przemoc człowieka zachowawczy czyn, przekroczyła już na południu granice Włoch, i tam rozpoczyna jednoczyć dążności, dla uchronienia od zagłady tego, co istnieć od Boga ma nakazane prawo.

Czy dotrze do nas, czy we wspaniałych naszych Tatrach znajdzie naśladowców, dbałych o piękność i nietykalność tej perły naszej ziemi, czas to pokaże, ale gdyby (co nie powinno nastąpić) nie znalazła ich, niech przejmie nas szacunkiem dla tego drobnego w dalekiej Szwajcarii ludu, który wysiłkiem swojego genjuszu i ducha, nie tylko w tej drodze żelaznej przez swoje niebotyczne góry złożył hołd nauce, ale dał dowód w tym swoim narodowym parku, umiłowania najwspanialszego dzieła Boga, ży-

ciotwórczej, w majestacie swym niedościgłej natury.

Ta Engadina urocza jak mało który zakątek ziemi, jest ukochaną przez zamieszkujących ją Retoromanów ziemią.

Wielbią w niej oni wszystko, sławią wszystko mową ludzi i bogów.

Przekonałem się o tem przebywając w niej czas dłuższy.

Ułatwił mi to zadanie Doktor Lechner, wielki znawca i wielbiciel ich języka, zwłaszcza też tej jego odrośli, którą chwałą Pana nad Panny mieszkańcy górnych jej stron.

Dzięki też (poza tłumaczami włoskiemi) Lechnerowi przedewszystkiem, nie obcą mi jest ich poezja, której strof parę podałem w rozdziale poprzednim, poezja niezawodnie nie głęboka, ale drgająca tonami rzewnego uczucia, — kiedy więc po objechaniu ich ziemi wszersch i wzdłuż, przyszła chwila rozstania się z nią, kto wie czy nie na zawsze, w uszach mi brzmiały dźwięki pieśni, jaką ich poeta Bezzola, żegna ją gdy mu wypadło na czas dłuższy, drogą jego ziemię opuścić.

Oto ta pieśń :

*„Piękna ma ziemio od słońca ukochana,
Bywaj mi zdrowa, żyj w szczęściu i weselu,
Twój wierny druh musi już cię porzucić.
Żegnajcie wraz i bywajcie mi zdrowe
Góry, jeziora, i doliny zielone.*

*Kraju mój drogi, dopóki blaski słońca
Światło księżyca opromieniać cię będą,
Dopóki Inn przerzynać cię nie przestanie,
Serce me kochać ciebie wyłącznie będzie“.*





W A Ś W I E C I E Ś M I E R C I .

ROZDZIAŁ XV.

Ogólna charakterystyka kantonu Gryzońskiego. Cyfr i uwag nieco. Wspomnienie Mickiewicza na Alpach w Splügen.

Kanton Gryzoński, którego ta urocza Engadina jest najczystszej wody perłą, podobnie jak kanton Bernu, uważany jest powszechnie za Szwajcarję w miniaturze.

Tylko w stopniu o wiele wyższym.

Bo posiada on w swoich granicach wszystko, co natura rozsiała po całej ziemi Helwetów, co jest jej chlubą i urokiem, ale z dodatkiem tego czego w kantonie Bernu niema, małeńkiego ludu, który opierając się wpływowi narodów okolicznych, nie uległ i pozostał sam sobą.

Komu więc na myśli stanie Szwajcarja temu przed oczami jego duszy zarysowują się ogromy gór, kto wspomni o niej, widzi przez sobą lodowce, ten symbol śmierci, jeziora na wyżynach i nizinach, rozlewne rzeki i malownicze wodospady.

A przy tem wszystkim klimat Syberyi i stron południowych, potracają się mu tak wydatnie o siebie, że nie zadziwia to nikogo, gdy wyjechawszy rankiem z pewnego słonecznego punktu, przed południem widzi się swój wagon zasypany śniegiem, a zanim mrok pokryje ziemię, oczy uderzy tafla szklista, po której warkie konie ciągną na łyżwach zwolenników ślizgawki.

Otóż to wszystko kanton ten ma, tylko na przestrzeni kilkadziesiąt razy mniejszej, i chcąc to wszystko ujrzyć, wystarcza nie kilkanaście, ale kilka, a czasami nawet parę godzin, jazdy koleją żelazną.

Ciekawy wielce ten kanton, jest jednocześnie kantonem osobliwości i sprzeczności nie napotykaných na tak niewielkiej przestrzeni nigdzie.

Tu są najgorętsze i najzimniejsze osady w Szwajcarji, doliny najwyższe w Europie i wzniesienia najniższe w ojczyźnie Tella. Od doliny z miejscowościami obsiadłemi, najwyższemi na stałym lądzie, o wegetacji prawie polarnej, kilka mil tylko do miasteczek włoskich, gdzie granaty rosną w ziemi. Tu też znajdują się dwie wioski, najwyżej w całej Szwajcarji położone, Cresta, (1963 metrów) i Juf (2133), gdzie ludzie stale przemieszkują, choć zima i to twarda zima, trwa tu bez żadnej przerwy długie 9 miesięcy z rzędu.

W stolicy kantonu tego Chur, kończą się koleje federalne o zwykłym torze.

Długo bardzo obawiano się je prowadzić dalej, z powodu kosztów i trudności technicznych, kanton więc najmniej gościnny dla człowieka, był najdłużej najmniej dla niego dostępnym. Ale gdy w roku 1890 powiedziano sobie, że tak dłużej być nie może, i pociągnięto szyny z Chur do Davos, zaczęto rozprowadzać je po różnych stronach, i w ciągu 20 lat zbudowano ich dwieście kilometrów. Co to kosztowało, niechaj zaświadczy linja niedługa nad brzegami rzeki Albuli w Engadinie. Jeden kilometr pochłonął tu 403 tysiące franków. Jak na cud jakim ta kolej jest, to może nie wiele, ale jak na komunikacyjną drogę, nieco niezawodnie za słono.

Jedną z najciekawszych i najgroźniejszych kolejowych linii w tym kantonie, jest nosząca nazwę Berniny.

Ciągnie się ona wzdłuż olbrzymich lodowców.

Uderzają one oczy podróżnego na każdym niemal kroku, a kiedy się nią jedzie, w ciągu dwóch godzin przebywa się prawie wszystkie roślinne strefy Europy.

W żadnym miejscu w całej jak szeroka i długa Szwajcarii, nie ma tylu starych zamczysk co tu.

Zaledwie Chur opuścisz i skierujesz się ku południowi, wchodzą ci one co chwila w oczy, przypominając przeszłość tego kraju, który wielki całe kąpał się we krwi.

Wszystkie zachowane wcale dobrze, z da-

leka imponują malowniczością i rozmiarami, swemi, a taki Ortenstein, rozłożony na wązkim uniesionym ponad obłoki skalistym zrębie, patrzy raczej na gniazdo orle, niż na siedzibę człowieka.

Kto zliczy ile trudu kosztowało, aby tu się z miejsca niżej położonego, ile życia ludzkiego złożono w ofierze, gdy w zbroi żelaznej na pierśsiach, wdrapywało się tu pośpiesznie, by się schronić przed nacierającym z dołu przemożnym nieprzyjacielem.

W kantonie Gryzońskim, góry dosięgają 4000 metrów nad poziomem morza, a około 150 dolin rysuje tu się wydatnie na mapach kraju.

Aby dać pojęcie o różności ich klimatu, wystarczy gdy powiem, że kiedy dolina Mesocco leży na wysokości 285 metrów, dolina Engadiny nad brzegami Innu ciągnie się na przestrzeni 1856. I to wszystko ociera się nieledwie o siebie, styka się z sobą, i zaledwie odetchnąć zdołasz po zapachu kwiatów, uścielających jedne z nich w dole spoczywające, śnieg i lód tłumią ci oddech w piersiach, wnet w drugich.

Siedm tysięcy sto trzydzieści dwa kilometrów przestrzeni, liczy, jak to już zaznaczyłem, kanton Gryzoński, ale ludność jego wynosząca w roku 1900 sto siedm tysięcy tylko dusz, obiaduje zaledwie połowę jej przestrzeni.

Druga połowa, to nieprodukcyjne nieużytki a wśród nich 250 lodowców; zresztą skały, wody i lasy, których to ostatnich, mamy 131.000, czterysta pięć hektarów.

Kiedy więc te ostatnie przebywasz, czujesz się w otoczeniu gemz, bobaków jeleni i sarn, a nad głową twoją krążą gdy się w głąb zapuścisz, drapieżne ptaki, jakich gdzieindziej ślad już nawet zaginął.

Szwajcaria zatem, jest tu na przestrzeni niewielkiej, ale i więcej niż Szwajcaria, bo tego co tu masz, w reszcie Szwajcarii nie znajdziesz, i nigdy nie zapomnę jak pewien spotkany przezemnie w wędrowce po dolinie Innu Amerykanin przekonywał mnie, że szkoda czasu na podróż po całym tym kraju, dla tego, kto w tych stronach przebył kilka z rzędu tygodni, i nie siedział naturalnie na jednym miejscu.

Polak kiedy się znajdzie w tym uroczym zakątku ziemi Helwetów, i przebiegając go z miejsca na miejsce dostanie się do pięknego miasteczka Thusis, źle zrobi, jeśli mając Ren przed oczami, nie zaciekawi się drogą, którą od swoich źródeł on przebiega, i zamówiwszy miejsce w dyliżansie pocztowym, nie każe się zawieźć do Splügen.

Bo po drodze spotka się z gardzielem tej niewielkiej tu jeszcze rzeczki, wtłoczonej między skały niebotyczne, i duszącej się na ich dnie, ujrzy sławną Via Mala, gdzie lasami otoczona wije się ona w zagłębieniu pełnem tajemniczości, gdzie noga człowieka rzadko tylko powstała, a gdy przedostała się tam przypadkiem, nie często zdołała ich właściciela, z ciemni na słonecznego światła promienie wyprowadzić.

Słynna ta droga, jedna z największych tu

osobliwości Szwajcarji, w kantonie tym zalicza się do wspanialszych, to też ruch panuje tu bezustanny, ale Polak spuścić ich z pamięci swej nie powinien, gdyż darząc go tem, czem obdarowuje wszystkich, doprowadza jednocześnie do miejsca, upamiętnionego pobylem jednego z największych, jeżeli nie największego człowieka, jakim opatrzność ubłogostawiła, dla krzepienia ducha, w najcięższych chwilach martyrologii naszej, nasz kraj.

Do Splügen.

Kiedy Mickiewicz po wydrukowaniu w Petersburgu Konrada Wallenroda, wyrwawszy się nieledwie cudem z piekła carskiego, jednego z największych po Neronie tyranów świata Mikołaja Ięgo, wydosłał się na swobodniejszy świat, i zjehawszy się z Odyńcem za granicą, uplanował wspólną z nim wycieczkę na południe, tą drogą skierował się w stronę Włoch, i tu z nim przybył pod koniec września 1824 roku.

I oczarowany wspaniałością położenia, mając poza sobą wspomnień bolesnych tyle, a przed sobą tyle niepewności, chwycił nagle za pióro, wylewając na papier w genjalnych strofach myśli i uczucia, jakie rozpieęły mu duszę.

Myśli i uczucia ku kochanej nad wszystko, na zawsze przecież już utraconej Maryli.

I wyspiewał jej wszystko co ku niej w tem miejscu czuł.

Ze choć rozstał się z nią już lat tyle, nigdy z nią przecież rozstać się nie może,

Że morzem płynie i lądem idzie zawsze ona
za nim w drogę,

Że, —

„Na lodowiskach widzi błyszczące jej ślady.
I głos jej słyszy w szumie Alpejskiej kas-
[kady.

Że włosy mu się jeżą kiedy się ogląda,
I że postać jej widzieć lęka się, i żąda”.

I dodaje do tych rzewnych słów, co byłby
w stanie uczynić, gdyby jakimś cudem zjawiała
się ona w tem miejscu przed nim, i „wiernego
jej wygnańca przygody podzieliła”.

Posłuchajmy:

„Ach, jabym cię za rękę po tych skałach wo-
[dził

Jabym trudy podrózne piosenkami słodził,
Jabym pierwszy w ryczące rzucał się stru-
[mieniu

I pod twą nóżkę z wody dostawał kamienie.
I przeszłaby twa nóżka wodą nie dotknięta,
A całowaniem twoje ogrzałbym rączęta.

Spoczynek by nas czekał pod góralską chatą
Tam zwleczoną z mych barków okryłbym cię
[szatą,

A tybyś przy pasterskim usiadłszy płomie-
[niu,

Usnęła i zbudziła na mojem ramieniu”.

Czytelniczki polskie, powiedzcie, jakie uczucia obudzić musiał, już w sercu pani Maryli Putkamerowej, na Litwie, najtkliwszy i najpłomienniejszy, z wysnutych z duszy zbolełej i rozżalonej, na Gryzońskiej skreślony ziemi, wieszczka wielkiego ten wiersz?



CUD INŻYNIERJI. KOLEJ NAD BRZEGAMI ALBULLI



ROZDZIAŁ XVI.

Na pograniczu dwóch języków. Napór germanizmu na świat romański. Fryburg. Wspomnienie Polski w katedrze. Słowo o zakładach naukowych tego miasta.

Kanton Fryburski, jeden z większych kantonów Szwajcarii, ważny punkt zajmuje w tym kraju.

Leży bowiem na pograniczu dwóch języków, niemieckiego i francuzkiego.

I dwóch kultur, ocierających się o siebie wzajemnie, nigdzie przecież w tak ostrym i nieprzyjaznym stopniu, jak dajmy na to prusactwo z francuszczyzną w Alzacji i Lotaryngji przed tą ostatnią wojną, lub w Wielkopolsce, na Pomorzu polskiem i na Śląsku Górnym, z nami.

Wiadomo że dzisiejsza Szwajcarya, dawna Helwecja, była niegdyś kolonją Rzymu. I jako jego kolonja, uległa całkowitej latynizacji.

Na skutek wielkich wędrówek ludów, zajęły ją następnie trzy grupy germańskiego pochodze-

nia, Frankowie, Burgudowie, i Allemanowie, starając się ją wchłonać w swój językowy organizm.

Ale nie udało to się im wszystkim, i jedni tylko Allemanowie, którzy przeniknęli do niej doliną Renu, byli liczebnie dość silni, aby część zajętego przez nich kraju zgermanizować.

Dwie pierwsze najezdnicze grupy natomiast, zamiast wchłonać w siebie pokonanych orężem, wchłonięte przez nich zostały, zachowawszy zachodnim i południowym dzielnicom Szwajcarii, wszystkie cechy romańskiego pochodzenia.

Germanizm więc spotkał się tu z zaporą, rozlewna fala jego przecież z północo-wschodu, od XVI wieku zatapiała w Szwajcarii coraz więcej.

I dziś wycisnęła swój stempel na znakomitej większości kraju, gdyż na stu Szwajcarów, 70 w chwili obecnej, uważa język niemiecki za swój ojczysty.

Naturalnie język ten jest pełen odrębnych dżalektów, tak, że zrozumieć go nie może nieraz Polak władający językiem literackim, Niemcy przecież którzy naszej Kaszubszczyzny lub języka Ślązaków, nie uważają za mowę polską, skoczyliby do oczów każdemu ktoby nie przyznał, że jest to język związany ściśłą nicią z językiem Szyllera i Goetego.

Postępując zatem naprzód do XVI wieku zaborcza niemczyzna, w XVI stuleciu stanęła na miejscu.

I nowych zdobyczy czynić już nie była w sta-

nie. A ten właśnie kanton o którym mówię, wstrzymał jej pochód naprzód.

Uczony profesor Uniwersytetu w Zurychu Galchat, zajął się zbadaniem kolejnego postępu języka niemieckiego w Szwajcarji.

I zauważył w pochodzie jego przed siebie cztery perjody: w wieku piątym, ósmym, dwunastym, i piętnastym.

W pierwszym z tych wieków, Allemanowie zagarnęli ziemie położone między Konstancją, Bazyleą, Solurą, doszli do Meiringen, zawładnęli górami dzisiejszych kantonów, Uri, Glarus i Appenzell.

W wieku ósmym, w epoce upadku Merowingów, posuwają się ku łańcuchowi Jury, przenikają do Berneńskiego Oberlandu, i dzisiejszego kantonu St. Gall.

W końcu wieków dwunastego i początkach trzynastego idą dalej, wchłaniają część Fryburga, a w wieku piętnastym przenikają do dalszych krańców kantonu Uri i dzisiejszego kantonu Gryzońskiego.

Powtórzyło się więc w Szwajcarji to, co miało miejsce wszędzie, gdzie zetknęli się Niemcy z obcymi im językowo ludami, ze Słowianami nad Elbą (Łabą), z Litwinami nad dolnym Niemnem, szli jak huragan, obalali wszystko po drodze, odepchnięci wczoraj, ponawiali dziś swoje ataki, i wstrzymali się dopiero w pochodzie swoim, gdy im przeciwstawiono niedającą się obalić zaporę.

Taką zaporą na lat kilkaset dla nas Pola-

ków i Litwinów na wschodzie, był Grunwald, taką na zachodzie Szwajcarii w XVI wieku, ostateczne językowe skrzepienie kantonów zachodnich, i gdy u nas broń położyła tamę ich zalewowi, tu językowy ich pochód, unicestwienie pierwiastków romańskich mający na celu, powstrzymało silne samopoczucie ludu, który odrębnym językowo przestać nie chciał.

Jak wszędzie więc, i tu chęć była, nie starczyło tylko sił.

W tej pokojowej walce dwóch języków, Fryburg odegrał ciekawą bardzo rolę.

Tylko nie taką, jaką mu zakreślili jego założyciele.

A raczej jego założyciel, Bertold IV książę Zähringski.

Bo jako Niemiec z krwi i kości, dał mu on w roku 1178 początek, by stał na straży niemieckości nazwał go po niemiecku Freiburgiem, rokował sobie, że stanie się on z czasem czemś w rodzaju fortecy, szturmującej romańską okolicę.

A tymczasem sam sfrancuział, z wyżyny, na której się wznosił, zepchnął niemczyznę ku nizinom, i panuje dziś nad nią jak fort na górze, nad przysiadłemi do niego dolinami.

W tej więc chwili, nieznacznymi tylko i to biedniejsi w samym Fryburgu po przedmieściach dolnych mieszkańcy, uważają się za Niemców, wszystko zaś co w tem mieście do klas lepszych się zalicza, całe jego zamożniejsze górne miasto, zajmuje ludność francuska.

Jeżeli zatem kanton tego co to miasto nazwiska leży na pograniczu dwóch języków, na 128000 bowiem mieszkańców liczy Niemców zaledwie 39,000, Fryburg jest jakby barjerą odgradzającą oba od siebie, nie pozwalającą słabszemu tu już o wiele niemieckiemu, posuwać się ku południowi.

Nad Sariną rozsiadło się od wieków to miasto, i wyraz „nad“, dokładnie określa jego położenie, unosi się ono bowiem na wyżynie, i jedynie starem przedmieściem swoim schodzi jak po schodach ku jej korytu.

Ta Sarina, Saana po niemiecku, jeden to z siedemnastu dopływów Aary.

Dopływów większych.

Bo poczęta w Oberlandzie Berneńskim, przerywa ona wschodnią kantonu Vaud część, i przez sam środek kantonu Fryburskiego bieży na północ, aby już poza nim spotkać się z Aarą.

Prosta na znacznej swojej przestrzeni, nie dochodząc Fryburga kreśli ona linje łamane, to na prawo to na lewo wciska się w okoliczny ład, a pod Fryburgiem, jak Aara Bern, okrąży go z trzech stron, i jak gdyby jej tych łamańców było dość, regularną już dalej linją, zmierzka ku swemu ujściu.

Sprawia to, że Fryburg pod pewnym względem Bern przypomina, naturalnie jak powiadają Francuzi „toute proportion gardée“, bo i uniesienia tu są mniej strome, i samo miasto o wiele mniejsze, i okoliczna panorama po za

tą rzeką w porównanie iść nie może z tą, jaką w Bernie mamy. Ale widok z mostu wiszącego w dolinę Sariny, ale obraz miasta jaki ukazuje się oczom z Perolles, z prześliczną wieżą katedry Ś-go Mikołaja, i grupą przysiadłych do niej domów, wszystko to pięknem bezzaprzeczenia jest, wszystko sprawia, że Fryburg do najbardziej malowniczych miast Szwajcarii, śmiało zaliczonym być może.

I z pobliskim Bernem w tych tu stronach, stanowi największą dla przyjezdnych atrakcję.

A osobliwości tego miasta?

Złożyły się na nie dzieła inżynierji i budownictwa, przynosząc prawdziwy zaszczyt tym dwom działom nauki i pracy.

Pierwsze z nich, to mosty wiszące, drugie katedra.

Jak sama nazwa wskazuje, dwa wiszące mosty Fryburga nie opierają się jak wszystkie inne na filarach, ale zawieszane są nad korytem rzeki.

Na wielkiej siły i grubości żelaznych linach.

I na tych linach zwieszają się nad jej korytem, świadcząc o pomysłowości i śmiałości tych, którzy je dla budzenia ogólnego podziwu, a może i oszczędzenia kosztów budowli, w tym oryginalnym kształcie stworzyli.

A katedra?

Prawdziwe dzieło sztuki, i najczystszy i najpiękniejszy gotyk w całej Szwajcarii.

O jednej wieży, robi ona wielkie wrażenie.

nie, zwłaszcza gdy się jej z wyżyn przedmieścia Perolles przygląda.

Wtedy ukazuje się w całym kształcie, ujawnia wszystkie swoje piękności, dominując nad wszystkim.

I przykuwa do siebie wzrok, nie przywykły w domach Bożych tego kraju, do podobnej powagi i wspaniałości.

Drogą bardzo dla nas Polaków jest ta katedra Ś-go Mikołaja.

Bo ozdobił ją wspaniałemi witrażami, nasz malarz Mehofer.

Kiedy w ostatnich latach przed wojną, umyślono w niej w miejsce starych okien wstawić nowe, ozdobione biblijnymi scenami i postaciami, zwrócono się do starego Krakowa z prośbą, by malarz ten będący jego chlubą, wziął na swoje barki ten trud.

Mehofer zgodził się na propozycję, i dziś jego dzieło, jest prawdziwą perłą wnętrza tej majestatycznej świątyni.

Sławę sztuki polskiej i imienia polskiego, roznosząc szeroko po świecie.

Każdy też kto do Fryburga przybywa, sporo czasu poświęca jego witrażom, i rozstając się z niemi przyznać musi każdy, że nie mają one nic wspólnego z temi, jakie tworzone na obstalunek lub wykonywane fabrycznie, wypełniają inne kościoły.

Uderzając niezwykłą oryginalnością, świadcząc o potężnej indywidualności niepospolitego artysty, który w tem dziele wykazał nie-

zwykłą maestrję, budząc podziw prawdziwych znawców sztuki.

Właśnie kiedy to piszę, mam pod ręką ocenę tych witrażów, pochodzącą od kogoś bardzo znanego w świecie i bardzo poważnego.

Jest nim uczony profesor, ksiądz de Munnynck.

W szeroko rozpowszechnionym w Szwajcarii tygodniku „Revue de familles”, poświęca on sporo miejsca pracom naszego mistrza. I pomimo ich usterek, które im wytyka, stawia je na wysokiej wyżynie.

Wielki znawca sztuki kościelnej, surowy krytyk, zwracający baczną uwagę na wszystko, ksiądz Munnynck winszuje kapitule kościoła Fryburskiego, że do wykonania tego rodzaju prac, powołała naszego rodaka. Że jak się wyraża, odgadła pomimo cieni, płomień genjuszu (*malgré des ombres, la flamme du genie*).

Bo ten płomień widnieje zdaniem jego w tem, czem Mehofer kościół przyozdobił, bo przenika każdego kto na jego pracę spojrzy.

Choć jak twierdzi ma wady, choć tu i owdzie grzeszy rysunkiem i kolorytem, choć nie każda postać apostolska jest tak wykonana, jakby ją wykonaną on mieć chciał.

Trzeźwy więc i zrównoważony, nie szczędzi naszemu artyście zarzutów, najdrobniejszą rzecz poddaje analizie krytycznej, spiera się z nim o szczegóły, wiele rzeczy wołałby mieć wykonanemi inaczej. Ale tłumaczy się zarazem, dla czego to czyni. Aby mieć prawo wy-

powiedzenia o tem dziele tyle dobrego (tout le bien) co o niem myśli“.

I to dobre wpowiada.

Przedewszystkiem dzieło Mehoferera to dla niego nie dzieło tradycyjnego szablonu.

„Ono nam mówi“ (L'oeuvre de Mehoferer nous parle).

I to co mówi uzasadnia.

Bo zdaniem jego, w gotykach katolickiego świata, kto wie czy znalazłyby się witraże wymowniejsze, więcej pouczające i więcej natchnione, bo te co polski mistrz ofiarował Szwajcarii, mają „wszechświatową doniosłość“, są „szczęśliwym objawieniem wielkiej religijnej sztuki“.

Jeżeli zatem są one wymowne dla każdego, to niechaj przedewszystkiem wymownemi będą dla nas Polaków. I gdy młodzież nasza kształcąca się we Fryburgu, w chwili skupienia i podniesienia ducha w dniach narodowych rocznic, ku temu co stworzył mistrza naszego genjusz, swój wzrok uniesie, niechajże w myśli jego czerpie natchnienie do pracy, i snując tę myśl, gdy po ukończeniu swoich studjów powróci na ojczyzny łono, myślą tą zapładnia wszystko dokoła, ku chwale i pożytkowi z matrych powstałej, ojczyzny.

Ten piękny, wdzięczny i słodki, choć tak niewielki Fryburg, na kulturalnem naszym życiu w dniach naszej niewoli, silnie wyciskał swój ślad.

Bo we wzorowych jego zakładach nauko-

wych, kształciło się wtedy dużo naszej młodzieży męskiej i żeńskiej, która pod barbarzyńskim rządem Prusaków i Moskali, nie miała narodowych szkół.

W miejscowym zatem uniwersytecie katolickim, i w akademji Świętego Krzyża, wspinały i przebogaty nasz język rozlegał się też donośnie, a o ilości i uczuciach młodzieży naszej, korzystającej z zakładów naukowych Fryburga, świadczyły zawsze urządzone tu od czasu do czasu uroczystości narodowe, zappełniające kościoły i sale odczytowe, młodszą i starszą generacją przebywających nad Sariną Polaków.

Czerpała też ona w nich pełną ręką naukę, by wzbogacona umysłowo, służyć pożytecznie krajowi swemu, a co jej szczególnie drogim czyniło to piękne miasto, to to właśnie, że Szwajcaria dająca przykład światu sprawiedliwości i tolerancji, pragnąc by kształcący się tu licznie Polacy nie byli pozbawieni głosu słowa polskiego, dopuściła wykłady po polsku w Uniwersytecie i Akademji, historii literatury naszej.

Kiedym w czasie tej ostatniej wojny, skazany przez Prusaków zajmujących Warszawę na przymusowe wygnanie, z paszportem „bez powrotu“ (nicht zurück) przebywał kilkanaście miesięcy z rządu w ojczyźnie legendowego Tella, katedrę tego przedmiotu zajmował profesor Dobrzycki, wymownymi słowami zachęcając młodzież polską, by oddalona od ojczyzny,

uczyła się ją kochać i wiernie jej służyć, znając i czcząc to, co chwałę jej przeszłości szczeniąc w ich duszach, — przyszłości lepszej rokowało nadzieje.

Kiedy to piszę, już go we Fryburgu nie ma,

Wyzwolona z wiekowego grobu Polska, do którego przy obojętności Europy wepchnęły ją piekielne siły moskiewskiego i pruskiego tyranów, przy pomocy faryzeuszowskiej Austrii, której przewrotna monarchini Marja Teresa „płakała, ale co mogła grabiła dokoła”, ledwie otrząsnęła się z kajdan, zakrzętnąć się musiała około wzmożenia dokoła siebie promieni, tłumionego wieki całe we wszystkich jej zakątkach polskiego światła, i w dwóch zaborach, w których uniwersytetów naszych nie było, powołała do życia trzy najwyższe uczelnie.

Jakoż powstały wkrótce takowe w Warszawie, Wilnie i Poznaniu, i przodownictwo ostatniej nad Wartą przypadło w udziale Dobrzyckiemu.

Odszedł więc młody ten uczonec z nad Sariny, poszedł na ojczystą północ, by tam służyć ojczyźnie, pozostawiając po sobie we Fryburgu, pełne zasług niezapomnianych nazwisko.

I służy swojemu krajowi tam, gdzie nauka jego i praca pożyteczniejszą o wiele być może.

Za to jednakże, że w ciężkich chwilach

niedoli naszej i naszej poniewierki, służył jej we Fryburgu, w którego ciepłe grzało się tyle polskich serc, niech od pisarza polskiego, nie mogącego o tem zapomnieć, przyjmie wyrazy wysokiego uznania i wdzięczności.





GARDZIEL, RENU.

ROZDZIAŁ XVII.

Największe jezioro Szwajcarii. Lozanna. Czar tego miasta. Gmach Sprawiedliwości i Katedra. Francuzka uczelnia młodzieży.

Największem jeziorem w Szwajcarii jest jezioro Genewskie.

Obejmuje ono przestrzeń 570 kilometrów kwadratowych, jest zatem większe od czterech jej kantonów wziętych poszczególnie.

Od kantonu Zug, Appenzell, Genewy i Bazylei.

Trzy kantony pierwsze, a raczej cztery, gdyż jak wiadomo kanton Appenzell dzieli się na dwie samodzielne części, pomieściłyby się na jego powierzchni dwa razy, a oba Bazylejskie, Bazylea miasto i Bazylea okrąg, gdyby się na niej ułożyły, pozostawiłyby po za sobą przestrzeń 109 kilometrów kwadratowych wynoszącą.

Jest zatem to jezioro olbrzymim zbiornikiem wodnym, a o gromie jego wód dam poję-

cie gdy powiem, że głębokością swoją dosięga ono 310 metrów.

Z wyjątkiem jednego Lago Maggiore, w małej części jedynie należącego do Szwajcarii, żadne jezioro tego kraju tak głęboko w łód nie wchodzi, i pod tym więc względem jest pierwszym w ojczyźnie Tella i Winkelrieda.

Największe, figurą swoją przypomina ono jezioro Zurychskie.

Ma kształt półksiężyca.

Tylko gdy Zurychskiego jeziora rogi uniesione są na mapie do góry, Genewskiego opadają na dół, gdyby je więc oba przy sobie rogami na niej ułożyć, zatoczyłyby koło wodne z wyspą w środku.

Tworząc obraz regularny, gdyż wody jednego i drugiego nie wciskają się nigdzie głębiej w łód, ostrych zatok nigdzie nie tworzą.

Pod tym więc względem, jedno i drugie wyróżnia się i to wybitnie od jeziora Czterech Kantonów, połamanego na części, nazwy nawet odrębnych jezior noszące. Tu i tam części takich niema, są otwarte płaszczyzny wodne, o kształtach załamujących się miękko i lekko.

Trzy kantony szwajcarskie i Francja, stykają się z jeziorem Genewskim.

Nazwy kantonów tych są: Genewa, Vaud i Vallis. Wszystkie one przez jego wody podały sobie ręce, zabudowawszy je dwoma pięknymi i bogatymi miastami, szeregiem uroczych wsi, zataczających dokoła niego wieniec woniejący i malowniczy.

Lozanna i Genewa, oto nazwy tych dwóch miast, nie skończyłbym prędko, gdybym zaczął wyszczególniać te wsi. Ograniczę się więc tylko na niewielu o nich słowach, ogólna ich charakterystyka niechaj o wszystkich da w końcu wyobrażenie.

Zarówno Lozanna jak i Genewa, stoją tu na straży wielkiej kultury francuskiej, współzawodnicząc chlubnie z takimi ośrodkami niemieckiej, jak Zurych, Bazylea i Bern. I do spółki z nimi tworząc cywilizacyjny całokształt kraju małego przestrzeni i zaludnieniem, ale wielkiego zasługami jakie położył i pokłada wciąż dla świata.

Które z tych obu miast wysunąć na pierwszy plan?

„Z wieku i z urzędu“, jak Podkomorzemu w Panu Tadeuszu żadnemu z nich zaszczyt pierwszeństwa nie przynależy, oba bowiem są równie dostojne, oba równie stare.

Przecież Lozanna pod względem malowniczości położenia, o wiele po za sobą Genewę pozostawia, a ponieważ zajmuje i pierwsze miejsce nad jeziorem i panuje nad niem, niechaj więc w tym opisie wysunie się przed Genewę.

I pierwsza, przemówi do czytelników pięknem przyrody swojej, podniosłością kultury, której w tych stronach jest siedzibą i ostoją.

Trzy pagórki unoszą się przy sobie nad jeziorem Genewskim, w miejscu, które ona zajmuje, i wszystkie trzy dają podstawę miastu, zapoczątkowanemu, jak Genewa przez sta-

rych Rzymian. Składając się na jego czar, nieznanymi ani Genewie, ani Zurychowi, ani Lucernie. Choć wszystkie one wody jezior mają u swoich stóp.

Ale nie mają pod sobą tego co Lozanna ma, uniesionego nad powierzchnią terenu, panującego ponad temi wodami.

To też słynie ona pod nazwą miasta malowniczego, „une ville pittoresque” i pod tą nazwą szeroko jest znana. Jak Wenecja pod nazwą pięknej (bella), jak Genua pod nazwą wspaniałej (superba).

Ta malowniczość Lozanny, objawia się na każdym kroku od strony lądu i od strony jeziora.

Kiedy się podjeżdża ku niej statkiem parowym, robi ona wrażenie pokrytej murami piramidy, wydobywającej się z wód otchłani, kiedy się po jej ulicach chodzi, uderza raz grupami estetycznych świątyń pańskich, pałaców i kamienic, to znowu niepozbawionemi wdzięku budowlami, przypominającemi zamarłą jej przeszłość. A w alei przysiadłej do wspaniałego gmachu Sprawiedliwości, zwieszanej ponad jednym jej pagórkiem, ta jej malowniczość dochodzi do szczytu, widok bowiem jaki ztąd się roztacza, nawet w tym kraju, gdzie urocze widoki są powszednim chlebem, z przepelnionej uwielbieniem piersi patrzących, wywołuje okrzyk zachwytu.

Ten gmach Sprawiedliwości, „Tribunal Fédéral”, z marmurowym przed nim pomnikiem

Tella, podarowanym Lozannie przez jednego obywatela Francji, w dowód wdzięczności za przygarnięcie przez Szwajcarię armii francuskiej podczas wojny w 1870 roku, to przybytek najwyższej tu sprawiedliwości.

Ma ona w Lozannie siedzibę od 1876 roku, ztąd promieniuje na cały kraj, w sprawach karnych, cywilnych, administracyjnych, i prawno-państwowych.

W Bernie zatem usadowił się centralny rząd, tu sąd najwyższy, i tym sposobem Szwajcaria francuska, mniejsza od niemieckiej o wiele, uznana została za równą jej przy rozkładzie władz ogólnie - państwowych.

Jednym z najmłodszych gmachów wielkich, Lozanny, jest pałac Trybunału Związkowego, jednym z najstarszych jest jej katedra.

Położona w części miasta przeciwległej, i współzawodnicząca z Fryburgską o palmę pierwszeństwa.

Jak Fryburgska, i ona wznosi się w starej dzielnicy, wśród krętych i ciasnych uliczek, niema też słońca i w pobliżu takich krajobrazów jak Trybunał. W sąsiedztwie niedalekiem z zamkiem z czternastego wieku, oryginalną budowlą o piramidalnym dachu i czterech dookoła maleńkich wieżyczkach, i z uniwersyte-tem, biblioteką i muzeami, szeroko słynącemi w świecie nauki i sztuki, jest tu ona wraz z kilkoma specjalnemi szkołami przysiadłemi nieledwie do jej murów, jak gdyby miastem w mie-

ście, gdzie zasada „módl się i pracuj”, (ora et labora), podporządkowała sobie wszystko.

Pozbawiona tak powiewnej i malowniczej wieży jak Fryburgska, i takich wspaniałych jak ta ostatni witraży naszego Mehofera, katedra w Lozannie robi wrażenie ciężkie, uderza przecież masywnością swoich murów.

Stara, bardzo stara, gdyż już w tysięcznym roku po Chrystusie miała się wznosić w tym miejscu, waliła się kilkakrotnie w kolei następnych wieków, odbudowywała się po każdym pożarze.

Do naszych zatem dni przeszła ona jako pomnik budownictwa dawnego, cenny bardzo, ale pokiereszowany przez czas, i dopiero w roku 1873 Violet le Duc, nadał jej dzisiejszy kształt.

Miasto zbudowane na pagórkach, dla ułatwienia komunikacji po piętrzących się do góry ulicach, potrzebowało mostów, schodów i kolei zębatych.

Wszystko to też Lozanna ma.

Most wielki łączy najbardziej ożywione jej części handlowe, siedlisko ruchu i komfortu wielkoeuropejskiego, porozrzucane w kilku miejscach schody, umożliwiają omijanie dróg stromych, prowadzonych w czasach nie takiej jak nasze gorączki, a kolei zębata, jezioro na dole z górnem miastem utrzymuje w bliskim i ścisłym związku. I port w Ouchy o wybornej przystani i wspaniałych hotelach oddaje mu do rozporządzenia, czyniąc z niego jego przedmieście.

Zatem Lozanna jest miastem malowniczym, zabudowanym pięknie, położonem zdrowo jak niewiele nadwodnych miast. Olbrzymia płaszczyna jeziora u dołu, bogactwo zadrzewienia dokoła, i wreszcie na dalszym planie olbrzymy skaliste, zabezpieczające ją od gwałtownych zmian temperatury, wszystko to z całego świata ściągają do niej przybyszów, wszystko każe im czuć się lepiej niż w domu.

Przyjeżdżają też tu na dłuższy pobyt bogacze, nie wiedzący co z pieniędzmi zrobić, przyjeżdża żadna nauki młodzież.

Pierwsi znajdują wyszukane wygody i przyjemności, druga rozwarte przed nią nawciąż wrota wzorowych zakładów naukowych.

Bo czego tu dla niej po za uniwersytetem niema? Dwa seminarja, gimnazja, szkoły kantonalne, rolnicza, handlowa i dla dziewcząt, — oto co w tem pięknem mieście dobroczynna Szwajcarja oddaje im wspaniałomyślnie do użytku. A przy tem, muzeum sztuk pięknych, z szeregiem płócien wybitnych malarzy, i niepoślednich dzieł rzeźbiarstwa, bogate zbiory nauk przyrodzonych, historycznych i paleontologicznych, z ciekawemi wielce salami architektury, rolnictwa i anatomji.

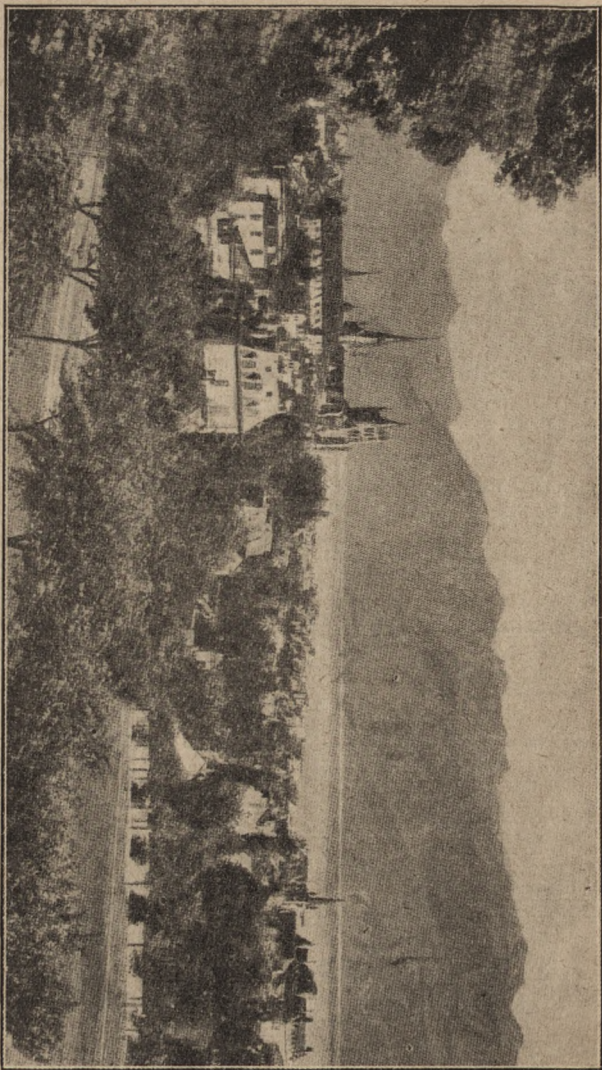
Zaiste jest w czem wybierać, jest na czem się kształcić, to też uczących się w Lozannie, wielkie z całego świata mnóstwo. Przychożą tu oni z najdalszych stron kuli ziemskiej, odchodzą po zdobyciu tego po co tu przybyli w najdalsze, i wspólnie z temi rzeszami szczę-

śliwców, pożąających wytchnienia po pracy, oraz przyjemności po bezcelowem w domu życiu, roznoszą daleko sławę miasta nie tylko uroczego, ale wyciskającego na każdym kto się o nie otarł, stempel kultury o podkładzie wysoko humanitarnym i wolnościowym.

Bo ta kultura dyszy tu na każdym kroku, przenika sobą wszystko i wszystkich, i droga przedewszystkiem nam Polakom, gdyż jednym z jej przedstawicieli w ubiegłym wieku był nasz nieśmiertelny Mickiewicz, w każdym kto się o nią otarł budzi uczucie szacunku i wdzięczności.

I z obrazem grodu uroczego jak mało który, w tym uroczym kraju, w każdym ryje ślad niezatarty, rozpierając jego pierś. unosząc dusze w świat promiennego ideału, który nie w Szwajcarji przez stęsknioną ludzkość wysniony, w niej jednak dziś zwłaszcza, otoczony jest najszerszym i najbezinteresowniejszym, — kultem.





OGÓLNY WIDOK LOZANNY.

ROZDZIAŁ XVIII.



Niewłaściwa nazwa jeziora. Genewa. Położenie miasta. Wspomnienie Kalwina. Przed pomnikiem księcia Brunszwickiego.

Jeziorem Vaud zwać się powinno jezioro Genewskie.

Bo kanton Genewy, jeden z najmniejszych kantonów szwajcarskich, przysiadł się do niego niewielkimi jedynie skrawkami ziemi, a Vaud rozpostarł się nad niem na całej północy i wschodzie.

Otoczył je jak girlandą, zaciążył nad jego wodami całą swoją powierzchnią, i oddawszy kantonom Genewy i Vallis drobne jedynie jego kawałki, ubrał je winnemi polami, któremi usiał długie jego słoneczne wybrzeże.

Kiedy też jedzie się tem wybrzeżem, ma się wino na każdym niemal kroku, wszystkie stoki pagórków wiodących ku jezioru oblane potokami światła, to jeden ogród pełen w porze winobrania gron, a z dwudziestu tysięcy

hodowców tej latorośli, w tym najwięcej produkującym wino kantonie Szwajcarii, z pewnością większa połowa nad jego wodami, z jej uprawy ciągnie środki utrzymania. Bogacąc jednocześnie cały kanton, oprócz wina wywożący do kantonów mniej urodzajnych warzywa, kartofle, tytoń, kasztany, owoce i miód.

Zachodnia granica kantonu tego urywa się u wrót niemal Genewy, drugiego wielkiego miasta nad tem jeziorem, współzawodniczącego z Lozanną kulturą i malowniczością położenia.

Ale przedewszystkiem kulturą, obraz bowiem jaki oczom roztacza, acz powabu bezsprzecznie nie pozbawiony, ustępuje i to o wiele temu, jakim Lozanna ryje się w duszy tych, którzy ją nawiedzają.

Pozostawiając w niej ślad, niedający się zetrzeć ani czasowi, ani czarom szeroko dokoła roztaczanym przez inne miasta tego czardziejskiego kraju.

Ten obraz Genewy, to obraz grodu w małym tylko stopniu górskiego.

Bo góry są jej tłem, podczas gdy Lozanny są i tłem i podstawą.

Zabudowana na trzech pagórkach, w perspektywie ma olbrzymi ich łańcuch, podczas gdy terenem Genewy jest przeważnie płaszczyna, a łańcuch gór rysuje się przed nią i po za nią jedynie w oddali.

Gdy więc Lozanna od strony jeziora przedstawia się wspaniale, uniesiona nad niem i zwie-

szająca się nad jego wodami, a od strony lądu panując nad jeziorem wieńcem gór na przeciwległym brzegu otoczonym, darzy wzrok czemś prawdziwie niezwykłym, Genewa i z zewnątrz przedstawia się niezawodnie pięknie, nie może przecież rościć pretensji o to do nikogo, że z Lozanną na jednej linii jej nie postawi.

Matka przyroda zatem, daleko mniej niż na Lozannę rozsiała na Genewę swoich darów, nie można przecież jako żywo powiedzieć, aby była dla niej macochą.

Owszem, nie zapomniała i o niej.

Bo patrzmy:

O kształcie księżycowej kwadry lub sierpa, jezioro Genewskie w zachodniej swojej stronie zwęża się i pochyla ku dołowi. Ale nie zamyka suchą linią lądu na podobieństwo wielu innych jezior. Gdyż musi dać ujście Rodanowi, który po przeciwległej stronie od południa, zmieszał swoje wody z jego wodami, i przepłynąwszy przez całą jego długość, szuka drogi przez Francję do Śródziemnego morza.

Od strony Francji z góry Mont Blanc bieży tymczasem od północy wartki błotnisty potok Arba, i zaledwie z wód jeziora oswobodzony Rodan gotuje się do pożegnania Szwajcarii, w której się narodził, łączy się z nią, długo w korycie jego zachowując zabarwienie odmienne.

Otóż na półwyspie utworzonym przez bieg tych rzek, dokoła nie wysokiego pagórka, powstała za czasów rzymskich Genewa, i roz-

szerzając się w kolei długich wieków, z dwóch stron przysiadła się do jeziora.

Zamykając je jak gdyby klamrą kamienną, rozszczepioną Arba i Rodanem.

Nad wodą i skropiona obficie wodą, posiada ona tę malowniczość, jaka cechuje miasta nadwodne, a że dokoła niej piętrzą się góry, przeto naturalna ta miast nadwodnych malowniczość, potęguje się tym urokiem, jaki miastom góry nadają. Gdyby więc jeszcze zamiast niewielkiego pagórka, służącego jej katedrze, i starej dzielnicy, za podstawę miała ona pod sobą jak Lozanna większe o wiele uniesienia ziemne, i do tego na podobieństwo jej trzy, pozostawiłaby Lozannę daleko po za sobą, i z tą obfitością wód przy sobie, byłaby jednym z najpiękniejszych miast świata.

Ale że teren jej jest przeważnie płaski, więc ta woda ubierając ją niezawodnie, nie nadaje jej tych powabów, jakieby miała rozsiała o wiele wyżej, nad jej poziomem.

Bez porównania zatem mniej piękna od Lozanny, Genewa pod wieloma względami nie Lozannę, ale Zurych przypomina.

Przedewszystkiem, i tu i tam podstawą jej jest płaszczyna, i tu i tam w jednym tylko punkcie miasta unosi się niewysoki pagórek. Zarówno w miejscach, gdzie Zurych i Genewa się zabudowały, oba jeziora kończą się wąską zatoką, zarówno oba miasta przerzniete są dwiema zlewającemi się przy niemi rzekami.

W Genewie noszą te rzeki nazwy Rodanu

i Arwy, w Zurychu Limmatu i Siehlu, a półwyspy jakie koryta ich tworzą, przedstawiają niemal identyczne figury.

I jedna tylko różnica widzieć się w nich daje, drugorzędna przecież i nieznaczną. Oto Zurych obejmuje szeregiem swoich domostw kraniec jeziora od strony północnej, Genewa od południowej, pierwszy cisnie ją jak głaz (na mapie) ku dołowi, druga unosi niby balon do góry.

Po za tem podobieństwo jest w nich uderzające. Że Lozanna acz również nad jeziorem leżąca nie podobna jest do żadnego z nich, i daleko oba po za sobą pod względem malowniczości pozostawia, zawdzięcza to tym trzem pagórkom, które jej za podstawę służą.

Nazywają Genewę małym Paryżem.

Jest w tem słuszności nieco.

Ulice szerokie i proste, gmachy monumentalne, tu i owdzie pałacyki o więcej wyszukanej architekturze, liczne mosty, wspaniałe wybrzeża, przystanie na rzece, i to „coś” nieokreślonego, w czem się przebija smak i życie stolicy Francji, wszystko to rzeczywiście upodabnia to miasto do Paryża w miniaturze, a jeśli nie upodabnia, czyni je ponętne dla przybyszów do Szwajcarii, jak Paryż. To też ściągają oni do niego chętnie, przekładając je (o ile o dłuższy w niem pobyt chodzi), i nad Zurych i nad Bern i Bazyleę, że już nie wspomnę Lucerny, Lugano i Fryburga, stacji pośrednich dla cudzoziemców w wędrówkach po tym

kraju, pozbawionych przecież acz powabu pełnych, tego magnesu, jaki przykuwa ich do siebie, gdy raz na gruncie Genewy się znajdują.

I jedna tylko, jedyna Lozanna walczy z nią z niezmiennemi szansami powodzenia pod tym względem, jedna ona wrywa jej stałych posiedleńców z poza granic pięknej ojczyzny Tella, ale bo też Lozanna posiadając to wszystko i w większym nawet stopniu co kulturalnego Genewa posiada, pobija ją krasą położenia. Mimo to przecież, kto wie czy na sto przybyszów na dłuższy pobyt do Szwajcarii, siedmdziesięciu-pięciu zamiast ku niej, ku Genewie nie zwraca swoich oczu. Kto wie? O ile przynajmniej o piszącego te słowa chodzi, w kole ich znalazłby się on niezawodnie, gdyby mu przyszło między temi dwoma miastami wybór uczynić.

Rzecz szczególna, ta Genewa, tak ożywiona, tak wesoła, tak pociągająca dziś obcych ku sobie, jest miastem gdzie ponury Kalwin, usłał niegdyś gniazdo swoim wyznawcom.

Ucząc ich pogardy rzeczy doczesnych, kierowania wzroku nie ku temu co słodkie jest i przyjemne.

Tu w roku 1536 osiadł on na stałe, tu stworzył ostoję protestantyzmu, ztąd rzucał gromy przekleństwa i potępienia w stronę Rzymu, szeregując dokoła siebie zwarte legjony ludzi, co rozbrał wzięwszy z powabami życia, hartowali się w purytańskich cnotach, nie słodyczami życia zaprawionych.

Spaliwszy na stosie swojego religijnego

przeciwnika Serveta, żelazną rękawicą zorganizował on w Genewie całą społeczność, wygnał z niej teatry i miejsca rozrywek, nawołując do modlitwy, pokuty i utrapienia grzesznego ciała.

I na lat dwieście przeszło, przepoił ją duchem ascezy, stłumił porywy ku śmiechowi, w gronie wesołych kobiet, i ku radości.

Ale nie stłumił ich na wieki.

Przyszła reakcja, natura ludzka nie mogąca ciągle tonać we łzach i bić się w piersi, dopomniła się o swoje prawa, i Genewa dnia dzisiejszego jest tak podobna do jego Genewy, jak pochodnia do słońca.

Frazeuszowska maska z niej opadła, i choć jak za jego czasów i dziś wyznawcy jego surowej wiary stanowią wśród jej mieszkańców wielką liczbę, w głębi jedynie swojego ducha przechowują przecież oni tradycje, rdzeń życia ich pradziadów stanowiące.

Na mieście jednak, na jego pulsie nie wyciskają piętna, powiew czasu wciągnął już je w swój wir. I upodobił do reszty miast innych.

Ten żywy puls jasnej i wesołej Genewy, dziś uderza silnie na szerokiej przestrzeni.

Na ulicy Mont Blanc ozdobionej wspaniałym pałacem poczty, na wybrzeżach des Bergues, wzdłuż mostu dokoła Victoria Hall, i teatru, w powabnej dzielnicy nadjeziornej Eaux Vives.

Tu są najpiękniejsze hotele, najprzyjem-

niejsze miejsca rozrywek, najbogatsze sklepy, przed którymi gromadzą zawsze tłumy pięknych kobiet, jadłodajnie najwykwintniejsze.

To też we wszystkich porach dnia, tu jest najruchliwiej.

Przelewają się więc tędy największe masy tubylców i przybyszów, krążą najliczniejsze tramwaje i samochody.

Stopień gorączki jest tu najwyższy.

I kto Genewę małym Paryżem nazwał, tu nie gdzieindziej musiał powziąć tę myśl, tu bowiem ześrodkowuje się to, co ją do Paryża upodabnia.

Dokoła starej katedry i ratusza unosi się atmosfera inna, duch Kalwina usunięty z Genewy zewsząd, w tem jedynie miejscu słabym płomykiem strzela ku innemu już, niż za jego życia niebu.

To też tu jedynie Kalwina się czuje, wśród tych domów charakterystycznych i tak od dzisiejszych odmiennych, na tych uliczkach krętych i ciasnych, we wnętrzu tego domu bożego, pięknego zzewnątrz, ale wewnątrz tak surowego i lodowatego jak jego religja, w przeciwieństwie do słonecznego katolicyzma, wstrząsającego duszami ludzkiemi, wyobraźni przeciwieź człowieczej nie gniołącego swojemi kanonami, niby głąz. W reszcie miasta, tego Rzymu jego wiary, duch jego przyoblekł się już w odmienne niż za jego życia kształty.

I w tych kształtach śmieje się do przy-

bysza ze stron dalekich, jak pusty i wesoły Paryż.

Czem Zurych, Bern i Bazylea są dla kulturalnego życia Szwajcarii niemieckiej, tem Genewa i Lozanna są dla francuzkiej.

Ogniskują w sobie największą jego moc.

Zawdzięczają to oba te piękne miasta przedewszystkiem swoim uniwersytetom, z których katedr rozlegają się głosy pierwszorzędných uczonych, których audytorja gromadzą rzesze młodzieży z całego świata, ożywionej pragnieniem jasnego i czystego światła.

Uniwetsytet Genewski zewnętrznym swoim wyglądem i położeniem, zdaje się też ciągnąć ku sobie te rzesze, i choć nie panuje tak wyraźnie jak Lozański na wysokim pagórku nad miastem, tonąc w zieleni drzew i krzewów olbrzymiego parku, niemym głosem swoich murów nawołuje poszukujących wiedzy, do spokoju na łonie natury, tak niezbędnego dla umysłowych dociekań, mających na celu opanowanie materji przez ducha.

To też ten spokój, rzesze te mają w tem miejscu, i na tym pełnym zieleni gruncie, jak rzadko gdzie mogą zapominać w otoczeniu bogatych muzeów i biblioteki o tem wszystkim, co nieśmiertelnego ducha, brutalną opancerzoną po prusku pięścią, spycha z wyżyn i ciśnie ku ziemi. Kanton Genewy dopomaga im w tym względzie jak mało które samorządne państwowe jednostki, trzecią część

bowiem swojego budżetu obraca na instytucje naukowe, dając świadectwo troskliwości swej o to, co wszystkie zrzeszenia ludzkie dążące do postępu otaczać powinny największą opieką.

To też żarzy się w Genewie Żnicz promiennego światła, żarzy z niemniejszą jak w Lozannie potęgą, i w szlachetnej walce o to, co jest największym dobrem ludzkości, żadne z tych dwóch pięknych miast nie chce pozostać po za linią pochodu naprzód.

Błogosławiona, prawdziwie błogosławiona walka, skąpany do tak niedawna w oceanie łez i krwi świat, wtedy dopiero uduchowi się i z rynsztoków podniesie, kiedy znać innej niż takiej nie będzie..

Oby ta straszna hekatomba, jaką tak niedawno przeżyliśmy, pouczyła go głosem pożóg, ruin i niedoń, że znać innej, jeżeli nie pragnie stać się jednym głuchym cmentarzem, lub jednym wielkim piekłem, — nie powinien.

Tę piękną, wesołą i kulturalną Genewę, nie od dziś ukochali nie tylko swoi, ale i obcy.

Widzi się to kiedy się przegląda statystykę ludności tego miasta, w którym stali osiedleńcy stron najdalszych stanowią znaczny procent, ma się tego jaskrawy dowód, kiedy się przechadza po pięknym wybrzeżu Mont Blanc, wzdłuż jeziora rozprzestrzeniającego po pozbyciu się Rodanu swoje koryto.

Co bo uderza wzrok w tem miejscu, co

z prostej drogi nadwodnej odprowadza go na stronę?

Oto pomnik księcia Brunszwickiego.

Pomnik wdzięczności.

Postawiła go Genewa cudzoziemcowi, człowiekowi nie geniuszu, nie zasług wojennych ani naukowych, i nie za jego silne ramię, ani mądrą głowę, lecz za ofiarne jedynie serce.

Dla niej.

Bo przygnany kolejami losu, przybył on do niej lat temu szereg, nie znajdując szczęścia we własnej ojczyźnie, osiadł w niej i pokochał ją jak syn matkę.

Za jej piękno, za jej spokój, za jej swobody, za jej kulturę.

I umierając dał wyraz tej ku niej miłości.

Obdarował ją swojemi miljonami, dając jej środki stania się jeszcze piękniejszą, jeszcze kulturalniejszą o wiele, niż za jego życia była.

Ta ofiara królewska, jeśli był on człowiekiem pospolitym, świadczy jedynie o zadowoleniu jego z tego, że mu w niej było zacisznie i dobrze, ale jeżeli posiadał on wyższy umysł, to i o czem innym o wiele podnioślejszem.

Oto o tem, że czuł on, iż gdy w świecie całym słyhać było kiedy żył szczęk jedynie broni i jęki ciemionych, tu w tym cichym zakątku, panowały gdy do niego przybył, i panować powinny wiecznie zasady inne, o wiele godniejsze człowieka.

Kultu ducha.

I aby panowały, aby płomień światła nie zagaśł tu nigdy, a tchnienie wolności nigdy nie zostało zduszone rękami czcicieli dzikiej matery i siły, dał jej do rozporządzenia środki wielkie.

Fakt jedyny w rocznikach miast świata, mówiący wszem wobec i każdemu z osobna o tem, czem za jego życia Genewa już była, czem dziś jest, i czem zawsze być powinna.

Ogniskiem i ostoją tego co piersi rozszerza, co wiarę w lepszą dolę ludzkości budzi, co urąga opancerzonej pięści, którą Wilhelm II Hohenzolern, rozkazał bratu swojemu udającemu się w swoim czasie na wody chińskie, grozić staremu na drugiej półkuli ludowi, gdy słał go na czele dzikiego żołdactwa, by na azjatyckiej ziemi wił gniazdo żarłocznemu Prusactwu, niesytemu od chwili gdy w Branderburgji powstało, krwi jaką wytoczyło z tyłu ludów cywilizowanej Europy, a przede wszystkim z nas...

I Genewa nie sprzeniewierzyła się jego woli, rozumiała jego myśl, i te miliony wspaniałomyślnego cudzoziemca poszły i idą nie na dekorowanie jej jedynie pięknymi gmachami i postumentami bezdusznymi, ale na to i na to przeważnie, co jest podniosłem i szczytnem życiem, i przywiązanie do życia szczytnego i podniesłego w tęsknej duszy rodzi.

I jeżeli dziś jest w niej każdemu z przyjezdnych tak dobrze, jeśli każdy kto wie czy w niej ze wszystkich miast Szwajcarji nie naj-

więcej czuje się prawdziwym człowiekiem, zawdzięcza to ona temu ukochaniu ideału sprawiedliwości i światła, które nie od dziś są rdzeniem jej bytu.

Uchylmy głowę przed miastem, w którym ideał taki jest otoczony pietyzmem ogółu, i uczcijmy pamięć tych, którzy jak ten cudzoziemski książę, na jego ołtarzu złożyli ofiarę szlachetnego i uderzającego ku temu co czyste i wielkie, swojego serca.

.

Od północy i południa jezioro Genewskie obsiadłe jest (jak powiedziałem) miasteczkami i osadami gęsto przywartemi do siebie.

Południową stronę, jako część składową Francji pozostawiam na boku, mając na uwadze północną szwajcarską powiem, że miasteczka te i osady ożywiają je w sposób, w jaki żadne jezioro Helweckie w tym stopniu ożywione nie jest.

I że jedne od drugich są ponętniejsze. Znalazłby się więc w prawdziwym kłopotcie każdy, ktoby chciawszy zażyć uroku sielskości, wybierać pomiędzy niemi na letni pobyt zapragnął, z każdego z nich bowiem przy wybornej komunikacji, do Lozanny i Genewy jest blisko, każde daje mu wszystkie wygody wykwintnego bytu.

A przy tem wszystkim moc promieni słonecznych, i po przeciwległej stronie jeziora gór-

skie widoki, zachwycające z oddalenia w wiecznem oświeceniu, wzrok.

Więc wszystkie roją się od przyjezdnych, wszystkie każdego poszukującego wrażeń pogodnych z magnesu siłą ciągną ku sobie, i w tym kraju prawdziwie czarodziejskim, są jednym wielkim czarem.





GENEWA OD STRONY RODANU

ROZDZIAŁ XIX.

Kanton Vallis. Charakterystyka kantonu. Sion. W świecie Zermattu. Góra św. Bernarda i myśli jakie się na niej do głowy cisną.

Trzecim z rzędu pod względem rozległości, jest kanton Vallis w Szwajcarji, i ustępuje on rozmiarami jedynie największemu Gryzońskiemu, i drugiemu z kolei, w którym mają główną siedzibę rząd i władze prawodawcze w Bernie.

Gdy bowiem pierwszy, wielkością swoją dochodzi 7200 kilometrów, a Berneński 6900, on ma ich 5200, przy 140 tysiącach mieszkańców.

Jak na Szwajcarję, imponuje i on swoją wielkością, i będąc jednolitym, (rzymsko - katolickim) pod względem wyznaniowym, — jest dwujęzycznym, w dwóch trzecich częściach francuskim, a niemieckim w jednej trzeciej.

Przerznięty wzdłuż Rodanem, dostał on w udziale wschodnią część jeziora Genewskiego, a zasłany górami i to jednymi z największych w Europie, usiany jest trzydziestoma powabnymi jeziorami, rozsiadłymi na ich wyży-

nach, i urozmaicającemi go bardzo malowniczo.

Jego bogactwo stanowią: bydło, konie, muły, kozy, owce, wino, zboża, kukurydza, tytoń, owoce i kasztany, a wino jego przede wszystkim, jest więcej niż inne poszukiwane w całej Szwajcarii, podczas gdy drzewo jego lasów rozchodzi się po dalekim świecie.

Nie potrzebuję chyba dodawać do tego, że kanton ten jest w całym tego słowa znaczeniu kantonem wspaniałym, mówią bowiem o tem te pasma góryste, Dent du Midi, Materhornu, Monte Rosa, Diableretu, Jungfrau, Galestocku, Cerwina i inne, które go w różnych kierunkach przecinają. To też nie w tym może stopniu co Gryzoński i Berneński, zalicza się i on przecież do gęsto zwiedzanych przez przyjezdnych z całego świata, przerywających go latem i zimą w różnych kierunkach.

Do ostatnich niemal czasów, kanton ten zaliczał się przecież nie do więcej w świecie znanych.

Przyczyna tego tkwiła w komunikacyjnych trudnościach kraju.

Mimo jego rozmiary i atrakcje na każdym kroku, dotrzeć do jego wybitniejszych miejsc było nie nazbyt łatwo, pasma bowiem górskie przecinające go w rozmaitych kierunkach, odcinały go od reszty Szwajcarii, a tem samem i od Europy.

Należało więc usunąć je że tak powiem wszystkie z drogi, połączyć z sobą wygodną ar-

terją to, co przyroda przeznaczając na żywot w odosobnieniu, — rozłączyła.

Ale od czego wytrzymałość człowieka, i przy jego wiadomościach technicznych przedsiębiorczość i energia, gdy więc wzięły się one obie za ręce, pokonały na drodze urzeczywistnienia ryzykownych zamysłów wszystkie przeszkody, i kanton odludny wprowadziły do ludzkiego towarzystwa.

Idąc po drodze najmniejszego oporu, rozpoczęto roboty w dolinie Rodanu, i wtargnięto tym sposobem do serca Vallisu. Ale gdy dokonano tego, nie spoczęto bynajmniej na laurach, zaczęto sięgać okiem do zakątków dalszych, i w krótkim stosunkowo czasie dotarło do najodleglejszych, i najwyżej nawet położonych. Dziś więc wszystkie one niemal są udostępnione turystyce, i nie ma już obecnie punktu ważniejszego, któregooby najbardziej dbały o podróżnicze wygody, nie mógł wciągnąć do programu swoich wycieczek.

Ponieważ obrotny mieszkaniec Vallisu, gdzie tylko i jak tylko ujrzał parowóz przed sobą, pomyślał natychmiast o tem, aby w ślad za nim, przyszedli do jego oddalonych stron Anglicy ze swojemi szterlingami, a z dolarami Amerykanie, i miejsca gdzie dotąd stały prymitywne chaty zabudował wygodnemi hotelami, przeto tam gdzie dotąd przyjezdny ze stron dalszych był rzadkim ptakiem jedynie, zaroilo się od nich jak w ulu.

Chcecie cyfr na poparcie tych słów? — oto one.

Zaczerpnę je ze znanej tu miejscowości w Zermacie, słynnej z dzikiej piękności krajobrazów.

W roku 1839 doktor Lauber przewidując czem ta miejscowość dla świata stać się musi, wybudował pierwszy w tem miejscu hotel.

I corocznie dawał przytułek dziesięciu do dwunastu gościom. W roku 1855 kupił go od niego niejaki Seile, zaopatrzył w 35 łózek, i mógł tym sposobem pomieszczać każdorocznie, już pięciuset turystów. W r. 1869 wznosił on znowu w tej miejscowości trzy hotele dla czterech tysięcy pięciuset przyjezdnych, a w 15 lat później, mamy ich w Zermacie już pięć, dających dach nad głowami w ciągu jednego roku, dwunastu tysiącom czterystu czterdziestu przyszom.

A obecnie ruch turystyczny w tej stronie tak się wzmógł, że gdy w roku 1889 Zermatt ściągnął do siebie 15000 gości, w następnym, jak tylko przedłużono jego szyny, mamy ich tam już o 3000 blisko więcej, w roku 1897 liczba ich podnosi się do 40 tysięcy przeszło, z dniem otwarcia drogi żelaznej do Gornegrad, do 50 tysięcy, zaś w tej chwili przeszło 100000 obcych wypróżnia rok rocznie swoje obładowane złotem kieszenie, aby je przelewać do sakw tych, którzy dotąd pobrzękiwali jedynie marnemi centami.

I znowu myśl przenosi mnie stąd jak z tylu

miejsc Szwajcarji do naszych majestatycznych Tatr, i znowu serce mi się z żalu kraje, a zapytanie ciśnie się do ust, czy i kiedy ospalstwo nasze i niedbalstwo o własny interes, wyruguje z nich przedsiębiorczość połączona z energją, rozumem i ukochaniem tego, co jest tak majestatyczne, a droższe nam o ileż od cudzego, jak to własne?

Czy i kiedy?

Przyjezdny do Vallisu z kantonów północy i wschodu, długą szynową linią prowadzącą go od lodowca Rodanu do wybrzeży jeziora Genewskiego, naopowiadać się z zachwytem nie może o stolicy wspaniałej tego kraju, Sionie.

Istotnie zasługuje to miasto na nazwę wspaniałego.

Właściwie nie jest to miasto ale miasteczko, i jak na kanton tych rozmiarów miasteczko bardzo drobne, nie przynosi to mu przecież ujmy, gdyż i Chur, główny gród największego kantonu Gryzońskiego, liczy zaledwie dwa razy więcej od niego mieszkańców.

Mniejszy od Churu, malowniczością swojego położenia przechodzi go Sion o wiele. Powiem więcej, mało miast w Szwajcarji pod tym względem mu dorównywa.

Na tę jego niezwykłą piękność złożyła się woda w pobliżu, dwa wzniesienia wśród jego murów, i olbrzymy górskie w niezbyt wielkiem oddaleniu.

Kiedy się temu miastu z doliny, na której się rozpościera, o wieczornej księżycowej zwła-

szcza porze przygląda, gdy w półcieniu zatrze się wzrokowi w szeregach wiele, a wysunie na plan główny to, co wyraźnie się zarysowuje, sądzisz, że olbrzymi jakiś o dwóch garbach wielbłąd, z zaczarowanego tajemniczego jakiegoś miejsca, wyostał ci się przed wzrok, i powoli posuwa się naprzód, na dwóch swoich garbach unosząc przenoszone z miejsca na miejsce ciężary.

I z zajęciem, niedość z zajęciem, ze zdumieniem przyglądasz się im, ze świata wśród którego się znajdujesz przenosisz się myślą w świat inny, zwłaszcza że wyobraźnia o zmroku, z tych białych domostw usianych u ich podnóży, stwarza ci złudzenie karawany konnej, towarzyszącej im w spokoju, w dalekiej, tajemniczością niezgłębioną okolonej, drodze.

Te dwa rzekome garby urojonego rzekomego wielbłąda, — tego jak go największy nasz poeta nazwał „okrętu głuchej i bezdusznej pustyni”, to kompleks murów sięgających nie dzisiejszych czasów.

Na jedne z nich złożyło się zamczysko z XIII wieku Tourbillon, drugie noszące nazwę de Valère, jest pół - fortem, pół-kościółem, powołanym w dawnych czasach do dwóch celów: służby bożej, i stania na straży bezpieczeństwa od wroga tych, łatwo dostępnych z zachodu i wschodu dla najeźdźnika stron. I w tym świecie pogodnego dziś życia, w dolinie bogatej i urodzajnej, są one oba obrazem świata dawnego, w którym w tych uroczych miejscach poto-

kami często lała się krew, gdy mniej od tych zasobni w jego dobra mieszkańcy ziem dalszych, kroczyli zbrojnie tędy, by zagarnąć to, czego im przez przyrodę mniej ubłogosławionym, na zaspokojenie ich potrzeb niedostawało.

Otoczony pełnym trudnego do opisania uroku Sion, wraz z szeroko przylegającą do niego doliną Rodanu, jest jedną wspaniałą winnicą. Na każdym niemal kroku spotyka się tu hodowców tej złotodajnej latorośli, znanej i cenionej daleko poza temi stronami.

Latem, cała jego okolica odznacza się suchością powietrza i wysoką ciepłotą, zabezpieczona będąc od wiatrów północy przez olbrzymie wyżyny Berneńskich Alp. To też gdy w całej niemal Szwajcarii, na niedostatek wody nikt nigdy się nie użala, tu susze panują tak wielkie, że aby krajowi prawidłową wydajność zapewnić, musiano uciec się do sztucznej irygacji. To też, rzecz osobliwa, w całym tym kraju jedynie tu spotyka się ze sztucznymi kanałami, dochodzącymi miejscami do czterdziestu ośmiu kilometrów długości, które wodę doprowadzają tam, gdzieby jej niedostatek mógł stać się dla mieszkańców, katastrofą prawdziwą.

Kiedy opuścimy Sion, i wybrzeżem Rodanu posuniemy się w strony wschodnie, bierzemy rozbrat z dominującą tu od strony jeziora francuszczyzną, i wkraczamy w świat niemiecki.

Spostrzegamy to po nazwach miejscowości, które oddalają nas od zachodu.

Jednojęzyczne dotąd, przybierają one dwie nazwy, brzmiące odmiennie (Sierre - Siders, Viede - Viep), a gdy wstąpimy w progę zajezdnych domów, po wsiach okolicznych, mowa Szyllera i Goetego w zniekształconem brzmieniu, coraz donośniej dojdzie do naszych uszów. Rozpoczyna się tu bowiem ta trzecia część kantonu, językowa własność germańskiego plemienia, i choć francuszczyzna nie przestaje i tu być poważaną i dobrze wszystkim znaną, z dominującego jak na zachodzie stanowiska zepchnięta już w tem miejscu została przez żywioł, trzymający w swoim posiadaniu trzy czwarte ziemi starych Helwetów.

Ale charakter kraju jest wszędzie niezmienny. Takie same ruiny odwiecznych zamków sterczą i tu po drogach, mówiąc wyraźnie o tem, że taka sama przeszłość była udziałem obu części. I takie samo piękno, jeżeli nawet tu i owdzie nie wspanialsze, towarzyszy ci na każdym kroku. A kiedy się dojeżdża do Zermatt, widzi się w kraju, w którym się ma wszędzie tyle cudów, że zdaje się chwilami, iż w tem czarodziejskiem miejscu, przyroda sama oniemiała z podziwu nad samą sobą.

Zaznaczyłem już wyżej, do jakich rozmiarów doszła dziś, skutkiem udogodnionej komunikacji ta miejscowość, jakie tłumy przybyszów z całego świata rozpierają dziś ściany ich niezliczonych gościnnych domów, — powiem w tej chwili, iż żaden z nich jeszcze nie pożałował tego, że tu przyszedł.

Bo dolina w której Zermatt króluje, a która odcina się od Rodanu w Viege, by skierować się na południe, jest jedną z najpiękniejszych niezawodnie dolin.

Ubierają ją na całej rozległości malownicze większe i mniejsze uniesienia, przerywają w kierunkach różnych szmerzące po kamieniach szersze i węższe potoki, a kiedy się nią dotrze do Zermatt, i powiedzie okiem dokoła, nie wie się doprawdy czem się zachwycić, czy tem co się ma pod ręką, czy też perspektywą dalszą, ubraną łańcuchem górskim, białym śnieżnym nakryciem i nagimi lodowcami, ciągnącymi z siłą nieprzewyciężoną do siebie, choć w łonie swoim są one przecież wcieleniem śmierci.

Już kiedy się dotrze do Stalden, czuje się gdzie się jest, prztwiduje się, gdzie się zmierzając koleją pod górę wkrótce znajdzie, a skoro konduktor oznajmi, iż się dotarło do Zermatt, doznaje się uczuć podziwu, którego pióro odmalować nie jest w możności.

Bo wszystko tu dokoła jest uosobieniem majestatycznego piękna, wszystko jego głosem do duszy przemawia. A cóż dopiero, gdy po ochłonięciu z pierwszych wrażeń, w pogoni za nowymi opuści się dom gościnny, który dał nam przytułek zwróci się w strony niezagrodzone budynkami, skieruje wzrok w dalekie przestworza? Wtedy doznaje się literalnie zawrotu głowy, nie wie się na czem oko zatrzymać, i błąka się niemi na prawo i na lewo, przed i poza

siebie, podczas gdy z przepelnionej zachwytem piersi, wrywa się okrzyk bezgranicznego, dla Stwórcy tego wszystkiego, uwielbienia.

Stwierdzili to wszyscy, którzy z tego miejsca spoglądali w stronę Gornegratu, Cervina i Monte Roso, stwierdzam to i ja, i odkładam pióro na bok, bo wstyd mi jego niemocy, nie będącej w stanie wypowiedzieć, co się patrząc na to wszystko myśli i czuje.

Te wspaniałości jakimi usianą jest tu dokoła ziemia, przywodzą na pamięć kiedy się im z daleka i z bliska przygląda, wielkie tragedje jakie się wśród nich wczoraj nieledwie jeszcze rozgrywały.

Bo i one są wyraźnem świadectwem rozsianej tu dokoła grozy.

Bo gdyby nie było jej tu i w takiej obfitości, nie narażaliby się przecież najniezawodniej tak gromadnie na niebezpieczeństwo ludzkie, aby w te okropne środowiska przenikać, nie poświęcaliby w tym stopniu, aby nimi się przejąć, największego doczesnego dobra: życia.

To też miejscowy cmentarz wiejski i napisy na jego kamieniach grobowych, mówią do duszy głosem o wiele silniejszym od wszystkich opisów, o rozmiarach grozy jaką ten Zermatt i okoliczne wzniesienia zakłęty w swoim wnętrzu.

Dokoła skromnej kapliczki angielskiej w Zermatt, przytuliły się do siebie grobowce górskich ofiar tych miejsc.

Bez wzruszenia nie można wśród nich stąpać, bez uczuć nad wyraz przejmujących rozchytywać w ich napisach.

Choć są one przeważnie lapidarne, choć mówią nam tak niewiele. Ale mając przed oczami zaledwie kilka cyfr, i na fotografiach lub niedołączonych rzeźbach kilka podobizn ofiar tych gór, kiedy się przed nimi przystanie, puszcza się wodze swojej wyobraźni, dopowiada się sobie to, czego w tych napisach brak.

Zwłaszcza, gdy się spojrzy na drobne przedmioty będące przynależnością w życiu tych, którzy tu w śnie nieprzespanym złożyli przeważnie młode swoje głowy.

Tu widzisz strzępy poszarpanego na lodowcach ubrania, okrwawiony trzewik męski lub kapelusz, tam znowu okulary jakiegoś nieszczęsnego człowieka nauki, i brewiarz skromnego duchownego, któremu z rąk potoczył się on po śniegu gdy wydawał ostatnie tchnienie.

Wszystko bo co tu się znajduje, mówi.

Mówi jękiem i łzą.

O tych nieszczęśnikach dzielnych i duchowych przymiotów pełnych, z których kraje, do których oni należeli mogłyby w przyszłości wyciągnąć korzyści wielkie, którzy w pogoni za tem co gnuśnie w domu i beczynnie siedzieć im nie pozwalało, przyszli tu do tych przerażających okropnością swoją zlodowaciałych stron, w poszukiwaniu tego co im dusze rozpierać miało, pełni nadziei złotych i wiary, że tu zahartują się do zmagania z największemi prze-

ciwnościami, mającemi piętrzyć się na drodze ich życia, wiodącej do niepodległości i szczęścia ojczyzny.

Przyszli i nie odeszli ztąd.

Jak kwiat wystrzelili do góry, i zostali złamani.

Więc mi ich żal.

I z tego uroczego uniesienia, ślę im w podobłoczne sfery słowa mojego współubolewania, jakie mam i każdy z nas dla każdego kimby on nie był, ma, a którzy skruszeni siłą tu wyższą, odeszli pozostawiając po sobie łyzy.

Więc kiedy to wspominam, co na tych szczytach niebotycznych wobec tych resztek smutnych do duszy człowieczej mówi, kiedy o tem w tej chwili, duchem z tem przebywając, wśród tych skał i lodowców Vallisu, myślę, powtarzam smutnym głosem za Słowackim: „Smutno mi Boże”.

Osobliwością niezwykłą nietylko w tym kantonie, ale w całej Szwajcarji jest dolina Anniviers.

Ciągnie się ona na południu koryta Rodanu od miasteczka Sierre, i dociera do Dent Blanche, góry uniesionej na 2,700 metrów nad poziom morza.

Jest czemu się przyglądać kiedy się w dolinie tej ustronnej znajdzie, jest czemu się dziwić, gdy się z jej społecznemi zwyczajami zetknie.

Bo ubiorem mieszkańców swoich, wyróżnia się ona od wszystkich innych, bo wsiąkłe

w ich krew nie od dziś porządku, są czemś innym krajom nie znanem.

Mężczyźni noszą tu na głowach nie zwyczajne kapelusze, ale prawdziwe wieże, a kobiety kostjumami swojemi przypominają raczej płęć brzydką niż powabną.

Kiedy się więc między niemi chodzi, patrzy się jak na jakąś maskaradę, tak to jest dziwne i obce stronom innym, a gdy w uszy wpadną tu dźwięki miejscowej gwary, nie wie się czasem z jakim językiem w pokrewieństwie gwara to pozostaje.

Ale ustrój stosunków społecznych jest tu od ubioru o wiele więcej dziwny.

Wciela się tu w życie na małym terytorjum zasada wspólnoty, nieznaney stronom innym Europy. Jest to prawdziwy nomadyzm społeczności pierwotnej.

Po wielu wsiach, bydło nie jest własnością indywidualną, ale ogólną, krowy kobiety doją kolejno dla wszystkich, i wszyscy korzystają z udojonego mleka, masła i sera, a domy i muły należą tu i owdzie do wielu właścicieli, nie wielu bowiem znane jest tu pojęcie własności osobistej.

Ma się też przed okiem obraz w tem miejscu miniaturowej wędrówki narodów.

Spotyka się miejsca, które kolejno obsiadują z dalszych nawet stron przybywający, które do nikogo nie należą, gdzie nie jedne i te same ręce stale uprawiają rolę, chodzą koło winorośli, niosą trudy orki i pielęgnowania in-

wentarza. To też kto ma czas i nie spieszo mu do wykwintnych i wygodnych hoteli, wielkoświatowego gwaru, zabaw w eleganckiem towarzystwie kobiecem, wśród nieopisanych uroków przyrody, lub lodowcowych nadzwyczajności, niechaj bawiąc w tych stronach choć na kilka dni tu zawita, spotka się bowiem zdumiony z tem, co rozbudzając jego wielkie zaciekawienie, zda go się przenosić w świat nie dzisiejszy i z dzisiejszym nie mający wspólnego nic.

Słynną nie tylko w tym kantonie, ale w całej już Szwajcarji, jest tak nazwana droga prowadząca do wielkiego św. Bernarda.

Słynną i to nie od dziś.

Już w przedhistorycznych czasach przelewały się tędy ludzkie rzesze z Galji do dzisiejszych Włoch, tędy szły wojownicze kohorty szerzące dokoła swojego pochodu z północy na południe i odwrotnie, zniszczenie i śmierć.

Tędy i dziś udawać się musi każdy, kto chce zapoznać się z klasztorem, wcielającym w sobie szczytną ideę miłosierdzia dla nieszczęśliwych.

W miejscu, gdzie rozsiadło się niewielkie miasteczko Martigny, od doliny Rodanu odcina się mniejsza o wiele od niej dolina Dransy, o nią więc potrzeba zahaczyć, aby przeniknąć do miejsca zażywającego w całym świecie tak szerokiego rozgłosu.

Jest się w Vallis, w kantonie, w którym piękno o piękno się ociera, nie potrzebuję więc

zaznaczać, ile uroku przedstawia ta dolina, po wiem zatem tylko, że kto się do niej z olbrzymów Zermattu i gór okolicznych przedostanie, doświadcza uczucia, jakgdyby go przeniesiono nagle z rozgwaru bitwy strasznej w świat cichej i słonecznej sielanki.

Wszystko bo tu uśmiecha się słodko do podróżnego, wszystko koi go niebiańskim spokojem, póki i tu u jej krańca nie wejdą ci w drogę łaskoty wodospadu, urwiska i wyżyny przejmujące grozą twoją duszę.

Już w Orsieres, gdy zboczysz na zachód w dolinę Entremont, uczuwasz przedsmak mniej rozkosznego świata, już tu uderzają twój wzrok ziemne uniesienia, tu i owdzie przerażające mniej lub więcej groźnymi kształtami. A im dalej posuwasz się na południe, masz tych uniesień przed sobą coraz więcej, zaciera ci się przed oczyma to, co cię tak nęciło przed chwilą w pełnej słodczy dolinie Dransy.

W miarę jak posuwasz się naprzód, pchany żądzą zobaczenia tego czego nigdy jeszcze nie miałeś przed oczyma w życiu, historyczne wspomnienia cisną ci się z nieprzepartą siłą do głowy.

W Liddes i Saint Pierre, widma wielkiego Konstantyna, Charlemagna i Napoleona I-go stają ci przed oczyma duszy, zwłaszcza, gdy ci przewodnik ukaże miejsca, gdzie pierwszy z tych mocarzy pozostawił napis, świadczący o jego tu pobycie, drugi wyciągnął most dziś znajdujący się już w ruinach, a trzeci jak po-

wiedział Mickiewicz: „Bóg wojny, otoczony chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny“, zwycięzca z pod bliskiego Marengo, w hotelu, który do dziś istnieje zajmował pokój, i spożywał śniadanie, zanim ze swojemi pułkami puścił się w dalszą na południe stronę, by rozbić w puch austriackie wojsko pod tem właśnie włoskiem miastem.

Wielki Saint Bernard, jest to miejscowość niezmiernie ciekawa z tego względu, że jest ona najwyższą miejscowością w całej Szwajcarji, którą ludzie bez przerwy zamieszkują.

Unosi się na 2,472 metry nad poziom morza, t. j. dociera do wysokości, gdzie człowiek kiedy się tu znalazł myślał nie o czem innem tylko o tem, aby rzuciwszy na to co tu jest przelotnie okiem, uciec jaknajprędzej ztąd.

Warunki straszne wśród których tu się znalazł, do stałego pobytu bynajmniej go nie zachęcały.

Widziało się więc w tem miejscu podróżnicze gromady, badaczy osobliwości miejscowej przyrody, kohorty wojenne gnane żądzą zdobyczy i chwały.

Ale po az tem nikogo więcej.

Kto tu się dostał uciekał stąd czempredzej, nikt o tem nie pomyślał, aby tu się na stałe osiedlić, jak to się pospolicie mówi, zagrząć kąty.

Bo złowroga aura na to mu nie pozwalała, bo wiatry szalone północy mroziły mu w piersiach dech.

Bo miał tu on drugi Siptzberg, z zabójczym klimatem Spitzbergu.

Aby więc pomyśleć o osiedleniu się w tem miejscu na stałe, potrzeba było być nadczłowiekiem, ożywionym nadczłowieczemi pobudkami.

I cnotami pokrewnemi aniołom.

Takiego człowieka jednak świat wydał.

Był nim świątobliwy mnich Bernard de Methon, który w dziesiątym wieku po Chrystusie nawiedziwszy te odludne strony, świadomy tego, że są one przecież korytarzem łączącym północ z południem, i że tędy przez cały rok boży snują się tłumnie ludzie i znajdują tu tłumnie grób, postanowił przyjść im z pomocą.

I ufundował dla nich przytulisko.

By ich ratować, gdy stracili drogę przed oczami, żywić, gdy im brakło w sakwie podróżnej kawałka chleba, dawać dach nad głową, gdy ich zasypywał i z nóg ścinał szron.

Z czasem skromne jego przytulisko rozrosło się wydatnie, zgrupowało dookoła siebie mnichów zakonu św. Augustyna, i rosnąc z roku nieledwie na rok, jest dziś błogosławieństwem tych stron.

Ratuje od doszczętnej zagłady i cierpień Dantejskiego piekła, tysiące ludzkich istnień.

Przy pomocy wykwalifikowanej specjalnie posługi, i oddanych człowiekowi do pomocy całemu światu psów.

Psy te, których ojczyzną jest nie Szwajcarya, lecz Wirtembergja, zaaklimatyzowane do

tych gór, żyły się z niemi, i zastosowały do ich powietrznych warunków, to też stanowią one na tym Bernardzie coś takiego, bez czego gdyby ich tu nie było, nie byłby on w stanie ani w drobnej nawet części spełniać swojego obecnego posłannictwa.

W tej chwili ratownicze to przytulisko przedstawia się wprawdzie nie imponująco, ale pokazuje. Każdy wiek dorzucał do niego coś niecoś. Pierwsze większe budowle dźwignęło tu stulecie szesnaste, wiek następny dodał do nich niewielki kościółek, potrzeby zwiększające się ciągle w następnych, rozkazały rozszerzać się ścianom.

I dziś widzimy tu to, co potrzeba.

I z czcią i wdzięcznością nie dającymi się wypowiedzieć, przyglądamy się tym świętym ludziom, którzy zapomniawszy o sobie, wszystkie swoje myśli i duchy zestrzelają w jedno ognisko, ucieleśniające w sobie miłość.

To też po przyjrzeniu się wszystkiemu co tu jest, po zapoznaniu się szczegółowem z dziełem bezprzykładnego miłosierdzia jakie tu króluje, kiedy się z tych uniesionych nie mniej czarodziejsko od tyłu jakie się w tym kantonie podziwiało stron, zstępuje ku dołowi, pierś się rozszerza, jakaś niewypowiedziana błogość i szczęśliwość rozlewa się w duszy, i zapominając o tem co w zmaterializowanym dziś tak bardzo świecie, jest zaprzepaszczeniem szczytnej Chrystusowej nauki, składa się ludzkiemu sercu w pokorze głębokiej, uwielbienia hoła,

gdyż ona jedna, świętymi prawdami swojemi zdolną była podnieść na podobne jak tu wyżyny abnegacji człowieka, w duszy jego rozżarzyć światło, które ogrzać i odrodzić musi prędzej później, cały świat.



NA SZCZYCIE ŚW. BERNARDA.

ROZDZIAŁ XX.



Kanton fabrykacji zegarków. Neuchatel. Pomnik człowieka rozumu i serca. Chaux de Fonds i Locle.

Kanton Neuchatel jest Benjaminkiem Szwajcarii.

Najpóźniej ze wszystkich wszedł do jej państwowego organizmu, najpóźniej stał się członkiem politycznego związku, na wolności i równouprawnieniu opartego.

Wprawdzie kongres wiedeński w roku 1815 uchwalił przyłączenie tego kantonu do ojczyzny Tella wspólnie z kantonami Vallisu i Genewy, ale gdy dwa pierwsze od tego już czasu nie podlegały innemu prócz tego kraju zwierzchnictwu, on do roku 1857 uważał się za współwłasność Prus, które w pierwszych latach 18-go wieku, po wygaśnięciu panujących w nim udzielnych książąt, przyłączyły go do siebie.

Za Napoleona I-go wymieniony na Hannover, dostał się on w udziale jednemu z mar-

szalków krwawego cesarza, ale już w dniach zaćmienia gwiazdy Korsykanina, ucieka się pod opiekę Prus, i mimo że go kongres wiedeński podarował Szwajcarji, do końca 1857 roku pod tą opieką pozostaje.

W końcu 1856 roku, o mało o ten kanton nie przyszło do wojny, ale w spór wdała się Europa, i szczęśliwie zażegnała rozlew krwi.

I od następnego roku, nie ma już nic wspólnego Neuchatel z państwem, które w 13 lat potem, wyrósłszy po pogromie Francji za Napoleona III na olbrzyma, nie dałoby sobie wydrzeć z krzyżackiej paszczęki pięknego skrawka ziemi, gdyby nie było to nastąpiło w epoce jego słabości.

Ostateczne przyłączenie kantonu tego do Szwajcarji, dwojaką korzyść sprowadziło na ten kraj.

Po pierwsze, z historycznego terytorjum usunął się raz na zawsze współzawodnik, — „wiecznie głodny choć pożarł tak wiele“, jak mówi w Grażynie o jego spadkodawcy Krzyżaku Mickiewicz, i zawsze nad wyraz przykry jak Krzyżacy dla wszystkich, a powtóre skutkiem tego nabytku, Szwajcarja na zachodniej granicy zaokrągliła się dość znacznie, wzbogacając się prowincją ludną oraz przemysłową.

I malowniczą w całym znaczeniu tego wyrazu, bo opartą o łańcuch gór Jurajskiej formacji, nadających stronom które z zachodu na wschód je przerzyna, dziwny urok, któremu się oprzeć nie podobna.

Nad jeziorem tego nazwiska leży Neuchatel, prawdziwy klejnot tego jeziora.

Leży w amfiteatralnej pozycji.

W miejscu, gdzie się rozsiadł, odcina się od lustra wód zadrzewiony pagórek, Chaumont, i unosząc się faluje dalej, łącząc się z górami, których stanowi najniższą składową część. Otóż kiedy powstało to miasto, ten pagórek obrało sobie za podstawę, i tam dokoła starego zamku i katedry, dało dach pierwotnym swoim mieszkańcom.

Ale nie było mu tam wygodnie i dostatecznie przestronno, więc w kolei czasów zeszło ku dołowi, spęczniało nad jeziorem, stworzywszy całość o charakterze górskim i płaszczyńnianym.

To spęcznienie Neuchatelu, rzecz bardzo prosta, zmieniło jego charakter, gdy więc na górze ma on wygląd przystosowany do wymagań dawnych, na dole daje obraz całkiem odmienny, zatracając o to, co się widzi w miastach świeżo powstałych.

Mamy więc tu ulice szerokie, gmachy okazałe, mamy nad jeziorem place i aleje, gęsto poobsadzone drzewami, to jest to, co jest owocem kultury nowoczesnej z jej komfortem i zabijającym szablonem.

Że jednak jezioro w tym miejscu nie biegnie linią prostą, ale załamuje się w kilku punktach, przeto ten szablon jest pełen urozmaicenia, i o bowiem co nowoczesny człowiek tu wzniośl, ro-

mantyczna przyroda obdarła z cechy jednostajności.

I wtłoczyła w ramy, które podobać się każdemu muszą.

Każdy więc, kto Neuchatel nawiedzi, wyjeżdżając powie o nim niezawodnie, że jest on miastem pięknem, zwłaszcza też, jeżeli obejmie go okiem z dalszej odległości w łódce. Wtedy bowiem zatrze się w nim i we mgłę rozplynie, pospolita architektura nadbrzeżnych kamienic, góra zleje się z dołem, tworząc całość mile łechcąca wzrok.

Bardzo handlowem miastem w Szwajcarii jest to miasto.

Posiada obok Uniwersytetu pierwszorzędną Handlową Akademię, a niezależnie od nich, wyborne szkoły wyższe i bogate zbiory naukowe. Na 22000 mieszkańców, jest tych szkół i zbiorów aż zanadto, to też korzystają z nich cudzoziemcy, osiedlający się czasowo w tem prawdziwym ognisku kultury, i ogrzewający przy tem ognisku swojego ducha.

Do kulturalnego rozkwitu Neuchatelu przyczynia się naturalnie świątły szwajcarski rząd przedewszystkiem, ale i obywatele jego dopomagają mu w tem gorliwie. Nazwiska małych, zapisane są jedynie w oświatowych i dobroczynnych kronikach miasta, jest tu jednak jedno wielkie, które stać winno na pamięci całego świata.

Jest niem nazwisko Dawida Puri.

Był to sobie najzwyczajniejszy kupiec, nie karmazyn ani magnat o historycznym nazwisku.

Ale miał dążność jedną.

Czynienia dobrze.

Więc też gdy pracą całego swojego życia zebrał cztery miliony franków, postanowił ofiarować je na własność miastu, w którym ujrzał światło dzienne.

I w testamencie ofiarował je Neuchatelowi.

Na potrzeby jego ciała i ducha.

Dzięki więc temu szlachetnemu człowiekowi, biedni i nieszczęśliwi jego współobywatele, łąą nie skrapiają dziś codziennego swojego chleba, ci zaś, którzy mają go poddostatkiem na swoim stole, nie łąkną dla swoich umysłów strawy. Bo cały szereg szkół, niezależnie od instytucji dobroczynnych subwencjonuje to, co on miastu temu przeznaczył, świecąc szczytnym przykładem tym wszystkim, którzy w samolubstwie pamiętają jedynie o sobie, lub swoich najbliższych.

Wśród pomników, jakie ozdabiają Neuchatel, lubo więc jego pomnik jest najskromniejszym a nawet najniezdarniejszym, każdemu kto przed nim przystanie mówi więcej od tych, co piętno wysokiego artyzmu na sobie nosząc, upamiętniają nazwiska, szerszym niż on ciesząc się rozgłosem.

Kanton Neuchatel, którego to piękno miasto jest kulturalnym magnesem, słynie z hodowli wybornego wina i fabrykacji znanej i cenionej czekolady Sucharda.

Ale nie one nadały mu rozgłos, jakim się w świecie cieszy.

Zawdzięcza go on zegarmistrzowskiemu przemysłowi, który się w nim rozsiadł, w nim zakwitnął, i zatoczywszy szerokie koła, stworzył podstawę bytu dla wielu jego mieszkańców.

Jak wszystko wielkie, i ten przemysł powstał z drobnych początków.

W roku 1679 Daniel von la Sagne, według wzoru angielskiego zrobił w górach Jury pierwszy zegarek, zainteresowało to wielce jego bliższych i dalszych sąsiadów, w niedługim więc czasie znalazł niemałą liczbę naśladowców, i zgrupowawszy ich dokoła siebie, dał początek czemuś w rodzaju szkoły.

Gdyby w jego współobywatelach, nie tkwił drzemiący dotąd talent ku podobnego rodzaju zajęciom, być może że szkoda ta nie rozrosłaby się nigdy do poważniejszych rozmiarów, gdy znalazł on tu jednak uczniów nie tylko pojętych ale i licznych, stworzył jej podstawę, której nic wzruszyć zczasem nie mogło. I usłał w niej gniazdo zegarmistrzowskiej wytwórczości, obok Genewy największe na świecie.

Chaux i Locle, oto nazwy tego gniazda, placówek, których symbolem, jak wiatrak Holandji, jest zegarek.

Oddalone o niecałe dwie godziny od Neuchatelu, noszą one w Szwajcarii nazwę „wsi”, choć pierwszy z nich liczy w tej chwili 36000 mieszkańców, a drugi 13000, są one więc takie-

mi wsiami, jakich niezawodnie nie ma nigdzie na świecie.

Ale nie tylko ze względu na swoje zaludnienie, gmachy bowiem i ulice, jakie w nich się widzi, nadają im charakter imponujących wspaniałością miast.

Zwłaszcza też pierwszej z tych dziwnych wsi, Chaux de Fonds.

W XV-tym wieku była tu wieś w całym znaczeniu tego wyrazu, zjeżdżali się bowiem do niej na polowania okoliczni panowie, z chwilą przecież gdy usadowił się w tem miejscu przemysł zegarmistrzowski, wsią w pojęciu naszym być przestała.

Zwłaszcza też po strasznym pożarze, w roku 1874.

Wtedy powznoszono tu gmachy wspaniałe, poprowadzone szerokie na sposób amerykański pod prostym kątem ulice, zabrano się do odbudowania tego, co ogień zniszczył.

I gdy każdy dziesięć lat dorzucał nowe dzielnice, po pewnym czasie Chaux de Fonds przeinaczyło się do niepoznania, upodobniło do czegoś takiego, co się za Atlantykiem jedynie spotyka.

I dziś jest ogniskiem pulsującego życia, z fabrykami, sklepami, zakładami naukowymi i dobroczynnymi przytułkami, do współzawodnictwa z sobą wyzywając Neuchatel, choć Neuchatel jest kantonu stolicą.

Locle znacznie od niego mniejszy, wrażenia naturalnie takiego nie robi, ale i on na wieś

nie patrzy, jest w całym znaczeniu tego słowa miastem, darząc swoich mieszkańców tem wszystkim, czem ich miasto wszędzie darzy. Więc opieką w nieszczęściu i pokarmem dla umysłu. A że podobnie jak Chaux de Fonds posiada i szkołę zegarmistrzostwa, przeto z nim razem stanowi to, co jest ojczyzną zegarmistrzowskiego przemysłu.

Do miejscowości tych dwóch więc, kierują się zapotrzebowania handlujących czasomierzami, ztąd rozchodzą się one po całym świecie, roznosząc sławę szwajcarskich zegarków, w najdalsze kuli ziemskiej strony.

W Chaux de Fonds i Locle istnieją zatem największe fabryki tych niezbędnych dla każdego przedmiotów, z tych dwóch miejscowości rozchodzą się one w postaci, w jakiej dostają się nam do rąk. Ale myliłby się ktoby sądził, że wszystko co stanowi ich części składowe tu wyrabia się wyłącznie. Tak nie jest. Cała niemal okoliczna, bliższa i dalsza ludność, przykłada do tego swoje ręce, dziwnie bowiem uzdolnioną jest ona do tego przemysłu. I żyje z przemysłu tego, czerpie z niego źródło dochodu, bez którego w gęstej tu bardzo (156 osób na kilometr kwadratowy) byłoby jej i nie swojo i nieco przyciężko.

Kto chce zapoznać się z drogą, jaką przemysł zegarmistrzowski przebył w świecie w ciągu ubiegłych dwustu kilkunastu lat, i co wogóle głowa ludzka w tym czasie zrobiła dla udoskonalenia zegarka, niech po przyjrzeniu się temu

miastu, zajdzie choć na chwilę do szkoły zegarmistrzowskiej w Chaux de Fonds. Znajdzie tu na dole rozległego budynku, w trzech pokojach rozmieszczone Muzeum, będące pogładowym obrazem doskonalenia się zegarowego mechanizmu.

Obraz to niezmiernie zajmujący, z wielkim bowiem nakładem pieniędzy i starań, zgromadzono tu rzadkie okazy, mówiące o tem, czem był zegar wtedy, a czem jest dziś. I świadczący o cierpliwości Szwajcarów, jak i o ich wynalazczym duchu w dokładnem mierzeniu wielkiego, a przecież nieraz tak lekceważonego dobra, — czasu.

Kanton Neuchatelu leży na pograniczu Francji, językowo jest jej pokrewnym, wszystko bowiem co w nim stale mieszka, mową tego kraju wypowiada swoje myśli.

Ale nie uczucia.

Gdyż jest on przeważnie kantonem protestanckim, a katolicy stanowią w nim nieznaczny ułamek.

W roku 1870, roku strasznym dla pobratymczego narodu, oddał on mu sąsiedzką przysługę, przyjął bowiem gościnnie armję Burbakiego, na którą nacierało z szalonym impetem wojsko niemieckie, pragnące ją zgnieść. Gdyby nie on, dostałaby się ta armja do niewoli, lub została zmiażdżoną, kosztem niezliczonych ofiar i potoków krwi.

Neuchatel ją od tego losu uchronił, przy-

garnął rozbitków, którzy jego granice pod Les Verrieres przekroczyli, i roztoczywszy nad nimi opiekę, zasłużył sobie na wdzięczność kraju, którego język i kultura, są jego kulturą i językiem.

Nie pierwszy to zapewne i nie ostatni raz, Szwajcaria przez pośrednictwo tego kantonu, bez zapalenia jak się wyraziła Konopnicka świata całego, „osuszyła łez morze”.





NEUCHÂTEL OD STRONY JEZIORA.

ROZDZIAŁ XXI.



Koleją i pieszo po Szwajcarji włoskiej. Osobliwości tego kantonu. Ziemia ciepła i światła. Locarno.

Kanton Tessyński dla względów wyłącznie strategicznych dostał się w udziale Szwajcarji.

W chwili kiedy nie była ona wprawdzie jeszcze tem czem jest dziś, ale stanowiła już zwartą całość, dla zabezpieczenia się od południa musiała pomyśleć o wciągnięciu do swojego związku pasa ziemi, który dziś na jej obszar się składa, i acz odmienny charakterem swoim i zaludnieniem od całej reszty, zlewa się z nią mocno i ściśle.

Długo lud obsiadający ten kanton, w dość luźnym związku pozostawał z kantonami innymi, ocierając się przecież o ich konstytucję, podziwiając ich urządzenia, w dobru ludności zamieszkującej je mające swoje źródło, zżył się z niemi, rozmiłował że tak powiem w nich, kiedy więc uznały one za niezbędne scementować w organizmie praworządnej państwowości silniej go z sobą, nie spotkały się ze sprzeciwem,

i pomimo, że były one przeważnie niemieckie, podały mu rękę bratnią, tworząc dziś z nim jedną nierozzerwalną całość.

Chociaż tyle etnograficznych i geologicznych przeciwieństw jest pomiędzy nim i niemi, chociaż gdy się tu stanie i rozejrzy uważnie dokoła, widzi się odmienny zupełnie świat.

Bo tutejszy Włoch, a Niemiec i Francuz nawet z okolicznych stron, to prawdziwe ogień i woda, bo krajobrazy miejscowe więcej Lombardję niż Berneńskie i Gryzońskie ziemie przywodzą na pamięć, bo to o co w charakterze mieszkańców ociera się tu co krok, na północy wschodzie i zachodzie najbliższym, nie znajduje się nigdzie. A mimo to wszystko, zapytaj Tessyńczyka, czy mu nie tęskno do związku politycznego ze słoneczną Italią, a rozbratem na zawsze ze starą Helwecją, a dostrzeżesz sprzeciw tak gwałtowny i wyraźny, że odejdzie ci ochota powtórzenia tego zapytania. I to, iż pomimo wszystko, Szwajcar niemiecki a nawet francuski daje mu uczuć nawet niekiedy, że zalicza się on w Związku, do narodowych mniejszości.

Już w Eirolo kiedy się przebędzie tunel S-go Gotarda czuje się, że znajduje się w innym świecie. Inne twarze wchodzą wciąż w oczy, inne dźwięki do ucha się przedostają. W miarę jak się posuwa ku południowi odrębnym od północnego świat roztacza się dokoła, powietrze staje się o wiele gorętsze, niebo przybiera zabarwienie inne. A przy tem wszyst-

kiem, charakter mieszkań ludzkich upodabnia się do włoskiego, a skoro się stanie w dalszej drodze w Visca, zdaje się, że się jest w mieście lombardzkim nawskroś.

Bellinzona jest stolicą kantonu Tessyńskiego.

Lubo nie jest w nim miastem ani największem, ani najbardziej ożywionem, ani najwspanialszem. Ale gdy za nią nie przemawiają ani wielkość ani majestatyczność stolicy, szalę na jej stronę przeważa historia.

Przejsście naturalne ze świata gór do jezior, odegrała też ona ważną rolę w dziejach tego kantonu, a jej mury gdyby umiały mówić powiedziałaby nie jedno ciekawe o politycznych losach tych stron. Medjolańczycy bo i żołnierze kantonu Uri, przelewali tu potokami w kolei czasów krew, póki związek szwajcarski nie wciągnął Tessyńczyków w sferę swoich losów.

Był też czas, że wspólnie z Lugano i Locarno, dzieliła ona kolejno zaszczyt zajmowania przodowniczego miejsca w tym kantonie, póki dwa te ostatnie miasta, nie zrezygnowały z niego dla niej ostatecznie.

Lubo o wiele bliżej od Belizony leży Lago Maggiore niż jezioro Lugano, przecież do Lugano kieruje swoje pierwsze kroki ten, kto się w Belizonie znajdzie. Śladem więc wszystkich, podążmy też tam za mną i my. Stracimy na tem nie wiele, a trud dalszej drogi wynagrodzi nam to, co w mieście tem ujrzymy.

Ujrzymy co? Miasto nie wielkie ale ma

lowniczo położone i wspaniałemi budowlami przyozdobione.

Il Paradiso, — „rajem“, Tessyńczycy nazywają to miejsce gdzie się one wznoszą, i rzeczywiście jest to raj dla oka kiedy się im z bliska czy z daleka przygląda.

Bo z pagórka unoszącego się w uroczem półkolu ponad niemi, zstąpiły tu one ku wodom kokieteryjnego jeziora, przeglądają się w jego zwierciadle, odbijając w niem fantazyjne swoje kształty, bo na odleglejszem ich tle, widnieje łańcuch niezbyt wysokich gór, a z boku szpicem nie do zbytku ostro zakończonym, bodzie obłoki na 1700 metrów ponad morzem uniesiona góra Salwatora.

A wzdłuż budowli miejskich, bieży szeroka droga, po której od rana do zmroku, w niezbyt skwarnej porze, kłębią się różnojęzyczne tłumy, gwar dzieci ludu zmieszany z dystyngowaną paplaniną eleganckich panów i pań pięknie wystrojonych, wpada bezustannie w uszy.

Kiedym lat temu kilkadziesiąt, w pierwszej wędrówce mojej po zachodzie, zajechał do Lugano, widziałem i to jezioro naturalnie i te same góry, wpadały mi w oczy ładne kościoły miejskie i budowle interesujące swojemi różnolitemi kształtami. Ale w tem tu miejscu nie było nieledwie nic.

A raczej było, tu i owdzie skromny domek

drzewami otoczony, kilka pustych ogrodów i chatynek mniej zamożnych mieszkańców.

Dziś tego wszystkiego nie ma, jest za to promenada, jedna ze wspanialszych promenad świata.

Ojcowie miasta wiedząc o tem dobrze, że Lugano stolicą kantonu tego nigdy nie będzie, bo nie ma tej historycznej przeszłości co Belinzona, widzieli że tu jest pięknie, czarująco nawet pięknie, obdłużyli zatem gród powierzony ich pieczy, i postanowili aby stał się on atrakcją dla cudzoziemców, stworzyć z niego coś niezwyčajnego.

I zabrali się do dzieła od tego tu wybrzeża.

Wywłaszczyli naturalnie za wynagrodzeniem posiadaczy domów i ogrodów, uplanowali i wytknęli imponującą nad samem jeziorem arterję spacerową, powznosili hotele, jednym słowem, nad temi romantycznymi wodami stworzyli prawdziwe pieścidełko, do którego ani się umywa głośna przecież w świecie, Promenada Anglików w Nicei.

Oskard zatem puszczony tu został przez nich w ruch, burzycielska robota jego odezwała się głośnie echem po całym mieście, ale niszcząc to, co celowo zniszczone być musiało, wstrzymali oni druzgoczącą jego siłę przed tem, co uszanować i pozostawić nietkniętem, poza tą nadjeziorną linią, dla uchowania charakteru miasta nie dzisiejszego, postanowili.

Przy tej więc wspaniałej wielkowiejskiej alei, masz o kilka kroków nieledwie pnące się

po wzgórkach uliczki kręte, domostwa szanowne zgrzybiałym swoim wiekiem, i podziwiająco konfort i udogodnienia pierwszej, nie jesteś tym sposobem pozbawionym obrazu, odzwierciadlającego Lugano w czasach, gdy odcięte od szerokiego świata nie wydrażonym jeszcze Gortardem, śmielszym jedynie turystom ze stron dalszych było dostępne.

Jest więc tu rozmaitość na każdym niemal kroku, wczorajsze styka się z dzisiejszością, ucząc jak było tu w owych czasach odległych, gdy natura jedynie majestatyczna, była wyłącznym, ciągnącym do tego miejsca liczne rzesze, magnesem.

Pójdźcie z tej promenady na ulicę Nassa, przyglądnijcie się na prawo i na lewo, nieledwie zapadającym się budowlom, a przyznacie, iż mądrze postąpiono, że wszystkiego tu nie podciągnięto pod jeden strychulec.

Jeziro Lugano, na którego wybrzeżu pobudowało się to interesujące miasto, acz drobne i nie wtłoczone w olbrzymie góry, zalicza się do wyjątkowo uroczych.

W wysokim stopniu przyczyniają się do tego, fantastyczne wygięcia jego wybrzeży.

Bo kręcą się one figlarnie w różne strony, zbliżają to oddalają od siebie, i dalekie do podobieństwa z jeziorami Genewskiem i Zurychskiem, raczej przywodzi na myśl w miniaturze wody Czterech kantonów. Tylko obraz jeziora tego nie ma tej dzikości dokoła, jaką się widzi na przestrzeni od Lucerny do Fluellen, tylko

wszystko co tu jest, wlewa w duszę twoją balsam słodczy, kołysze cię raczej do snu słodkiego.

To też dla pojenia się tą słodyczą, mnogimi barkami przerywane jest ono przez podróżnych całymi dniami, a kiedy o wieczornej księżycowej porze doleci z nich do uszów twoich śpiew chóralny, zdaje ci się, że rozstałeś się z ziemią, i przeniesiony zostałeś w jakieś czarowane światy, z którymi ten, w jakim żyjesz cierpisz i czujesz, nie wiele zaiste ma wspólnego.

Locarno jest trzecim z rzędu w kantonie Tessyńskim miastem, które każdy nawiedzić musi, kto w niem przed opuszczeniem Szwajcarii się znajdzie.

Bo gdy Belinsona zainteresuje go jako jego stołeczny gród, Lugano olśni jako najczystszej wody jego perła, ono zachwycając go swą malowniczością, dziś zwłaszcza, wobec dążeń narodów całego świata, aby po grozie ostatniej wojny zlikwidować wczorajszą przeszłość, i nowe drogi współżycia wytknąć bolejącej ludzkości, w jego pragnieniu i myśli o słoneczniejszym jutrze, da pożywniejszy od dotychczasowego pokarm.

Lucarno podobne jest tem do Lugano, że leży nad wodami nie wyłącznie szwajcarskimi, że dzieli posiadanie ich z Włochami, ale dzieli w maleńkiej jedynie części, znakomita bowiem część Lago Maggiore jest własnością pobratymczej Tessynowi Lombardyi.

Lubo pod względem i położenia i wspaniałości o wiele ono ustępuje miastu górującemu nad jeziorem Lugano, przecież cieszy się wielkimi względami przybyszów z dalszych stron.

Są nawet wśród nich tacy, którzy wysuwają je na pierwszy plan.

Zawdzięcza to ono temu, czemu zawdzięcza Meiringen, że odciąga od Interlaken wielu przyjezdnych do Szwajcarii.

Spokojowi jaki w niem panuje.

Istotnie Lugano aczkolwiek małe, pełne jest ruchu i gwaru niby wielka jakaś stolica, a są nawet chwile, kiedy się po jego Il Paradiso przechadza, że się sądzi być w jakimś rzeczywiście wielkich rozmiarów grodzie.

Locarno tego niema.

Przy uroku otoczenia i wygodach nie o wiele mniejszych, ma się tu spokój nieznanym, pozwalający skupić myśl, a czasami gdy się chodzi po jego ulicach, zapomina się gdzie się jest, mniemając, że miejsce w którym się przebywa jest nawet nie miastem, ale jakąś zaciszną wsią.

Prawdziwy urok Locarna spoczywa we wspaniałych jego ogrodach, zakwieconych przez cały nieledwie rok. Rzadko gdzie rzeczywiście spotyka się podobne jak tu okazy flory, to też wabiąc ku sobie swojemi barwami, koją one wonią, przywodzącą na pamięć kwietniki uroczej Andaluzji.

W miejscu gdzie rozsiadło się to miastecz-

ko, Lago Maggiore znajduje swój kres. Kres zabudowany niebrzydkiemi domami, które choć porównania z Il Paradiso nie wytrzymują, przecież wabią oczy ku sobie, gdy im się z łódki dojeżdżając do portu przygląda. Zwłaszcza, że po za niemi unoszą się łańcuchem góry, tu i owdzie śniegiem w zimniejszej porze pokryte, a które stanowią tak wielki każdego krajobrazu powab.

Stare Locarno, bo i tu jak w Lugano obok nowego i wygodnego dla przyjezdnych jest takie, jako pozostałość po czasach nie dzisiejszych, uchowało swoją tak charakterystyczną fizjonomję małych miast włoskich 18 stulecia, a parafialny jego kościółek przenosi cię duchem aż w 13 wiek.

Gnieździ się też w niem i dokoła niego biedota, czerpiąca z głębin poblizkich wód i ogrodów jak również i od przybyszów ze stron obcych środki swojego utrzymania. W dniach targowych gromadzi się ona ze swojemi produktami na wielkim placu (Piazza Grande), ozdobionym o północy arkadami, i tu przejrzyć się można jej oryginalnym i jaskrawym strojom, wsłuchiwać w gwarę tak odmienną od tej, jaka nam wchodzi w uszy po innych miastach włoskich.

Największą osobliwością Locarna, jest Madonna del Sasso.

Odsunięta od środowiska miejskiego, uniesiona ponad nie w górę, świeci ona z daleka białością swoich murów, nie pozostawiając

w spokoju nikogo, kto się w cichem tem a tak powabnem mieście znajdzie. Każdy więc kto do niego zawita, kieruje ku temu kościołowi swoje kroki, i zawsze przejęty jest podziwem, przyglądając się słonecznej jego architekturze i obrazom jego wnętrza.

To też bawiąc niejednokrotnie w Locarno, kierowałem ku niemu często swoje kroki, i za każdym razem gdy się przed niem i w niem znalazłem, podziwiałem geniusz czarodziej-skiej Italji, która porozsiewawszy na całym swoim obszarze tyle skarbów piękna, nie po-zostawiła na stronie nawet takiej jak ta w tem miejscu świątyni.

W czasach ostatnich, pełna słodkiegć wdzięku ta szwajcarska miejscina, zagotowała się od wrzawy i ruchu, jakie w niej zapanowa-ły.

I zainteresowała sobą cały świat.

Dzięki temu, że ją obrano na siedzibę chwilową, pragnących sprowadzenia na ten płaczu padoł, po tej strasznej krwawej rzezi rozpętanej przez pychę i chciwość nędzników, największego błogosławieństwa ludzkości: po-koju.

Obradowano też w niej przy zaintereso-waniu powszechnem czas jakiś, miano ją przez czas jakiś na ustach wciąż, kierowano ku niej najpromienniejsze nadzieje, wiązano z nią pla-ny uszlachetnienia i odzwierzczenia ludzkości.

Czy nadzieje te się zrealizują, czy świat pchany przez szatańskie do przepaści bezden-

nej moce, uczłowieczy się w myśl nakazu boskiego, i wkroczy na świetlane drogi z których nigdy schodzić nie powinien, czas to pokaże.

Cokolwiek przecież jutro przyniesie, myśl ludzka zwracać się ku temu miastu nie przestanie przynigdy.

Bo tu czas jakiś kiełkowały plany zaszczyt człowiekowi przynoszące,

Tu, wyżsi duchem ponad otoczenie całe, radzili wzniośle wsłuchani w słowa Odkupiciela, nad ziszczeniem tego, co stanowiło jego życia wśród nas, boski rdzeń,

Tu być może kiedyś, rozniecone idee odrodzenia świata, zapromieniują w najdalsze przestrzenie.

Więc cokolwiek nastąpi, jakiegokolwiek niebo, chmurne czy słoneczne zawisnie nad głowami naszymi, piękne Locarno, przez każdego, dążącego do gwiazd i słońca ukochane, za to co bądź co bądź związało się z nazwiskiem twojem, bądź nam ubłogosławione.





MADONNA DEL SOSSO NAD JEZIOREM

ROZDZIAŁ XXII.

Lodowce Szwajcarji. Ich rozmiary i ogólna liczba. Słówo o przewodnikach. W świecie śmierci.

Świat Alp wysokich, jestto świat pełen niewypowiedzianej wspaniałości i grozy.

Podziwiałem go goszcząc na jego łonie w kantonach Gryzońskim, Bernu, i Vallisu, ocierając się o nietopniejący nigdy śnieg, po krywający kołdrą niepokalanej bieli, jego szczyty, czeluście i zbocza.

Ćmiło mi się więc od tej bieli w oczach, ogrom jej przejmował mnie niewypowiedzianym zachwytem, zwłaszcza że żaden w przyrodzie ruch dokoła, nie tłumił uczuć rozpierających pod jej wrażeniem, stęsknioną do czegoś niezwyčajnego, moją duszę.

I było mi pogodnie i błogo, tak błogo, że z żalem zstępowałem w tych wyżyn, spowitych jakąś obcą temu pstrému naszemu światu anielską jasnością, — wyżyn, złożonych snopa-

mi jasnych promieni, ślizgających się z góry po ich cichej słonecznej płaszczyźnie.

I nie dziwiłem się wcale temu, że legenda ludowa ochrzciła jeden z tych szczytów mianem Panny młodej, gdyż jak ona czarowały mnie one wszystkie wtedy tem, co w przelomowym dniu dziewiczego panny młodej życia, budzi zachwyt u tajemniczych wrót jej szczęścia, gdy z nadzieją i wiarą wkracza na drogę, pełną w jej wyobraźni woniejącego, ale nie wędnącego nigdy kwiecia.

Tylko że gdy uroczy jej niewinności welon ślubny, błoto prozy i niewesołej codzienności, kala zbyt często niestety nieraz bezlitosnej rzeczywistości zgrzytem, szczyty Alp, o ileż od niej więcej ubłogosławione i szczęśliwe, w niepokalanej bieli swoich szat, stoją tu nie tknięte od stworzenia świata, i stać będą niezmiennie, póki wola tego, który do bytu powołał z niczego wszystko, nie rozkaże obrócić się w nicłość wszystkiemu.

Ta wieczysta biel tych śniegów w alpejskich przestworzach, ze śniegiem jakim każda zima wzrok w krajach północy corocznie darzy, nie pozostaje przecież w ścisłym związku.

Nie płatkowa, rozlewna, i miękka, jest natomiast ona jak on, twarda i ziarnista.

Ścisłą powiązana nicią, ze światem kamiennego lodu, ułożonego pośród niej i pod nią, o swoistej naturze i charakterze.

Światem lodowców.

Rozpostarte większemi i mniejszemi ugru-

powaniami i bryłami, dają się one widzieć niemal wszędzie, gdzie szczyty gór tych bodą obłoki, lub układają się pod nimi we wgłębieniach, tworząc wszędzie gdzie są, teren od otaczającego odrębny i różny.

Obliczono, że ogólna ich liczba na ziemi Helwetów, dochodzi do sześciuset, i że gdyby z miejsc w które je przyroda wtłoczyła, siłą nie z tego świata usunąć je i ułożyć na jednej przestrzeni, uformowałyby one rozmiar 1839 kilometrów kwadratowych, o sto kilometrów przechodzący kantonu Zurychskiego wielkość.

A że ten przemysłowy kanton, dwudziestą drugą część całej Szwajcarii stanowi, przeto, — pomyślmy tylko, — lód nie topniejący nigdy w Tella bajecznego ojczyźnie, składa się na ogrom, w którym, gdyby go przemieniono w grunt orny, spożywałoby chleb codzienny mnóstwo ludzi.

Naturalnie, lodowce te, nie na całej przestrzeni Szwajcarii budząc zachwyt i grozę, są rozpostarte, — świat Alp wysokich wziął je wyłącznie w posiadanie swoje, i w tym świecie przecież mają one uprzywilejowane miejsca, im nadają odrębną od innych cechę i charakter.

Ku uroczym zatem dzikością swoją dolinom Renu, Aary i Rodanu, kierować się przyjezdni z całego świata muszą, z kantonami Gryzońskim Bernu i Vallisu wchodzić w ściślejszy związek, gdy zobojętnieli na to co jak

oni żyje, poszukiwać zapragną przepojonych śmierci powiewem wrażeń nieznanych.

I na śmierci łonie tworzyć sobie obraz tego, co wyobraźnia wróży wszechstworzeniu, gdy na zegarze bytu, smętnie wydzwoni mu ostatnia godzina.

Sześćset jak powiedziałem lodowców liczy cała Szwajcaria, nie wszystkie z nich jednak są celem najliczniejszych wędrówek przybyszów do tego kraju.

Przywilej magnesu dla szerokich tłumów, zarezerwowało sobie kilkanaście zaledwie z pomiędzy nich, one też roztaczając wyłącznie przed nimi grozę swoją, i obce innym górcom, a przede wszystkim naszym Tatrom dzikie powaby, ogniskują w sobie interes tych, którzy na ich łonie pragną zakosztować tego, co z opisów jedynie lub dzieł pędzła, znane jest mniej od nich szczęśliwym, a raczej nieustraszonym mniej, i mniej wytrzymałym.

Bo wytrzymałość i nieustraszoność jest dla nich koniecznością, odwaga granicząca z lekceważeniem niebezpieczeństwa a nawet śmierci, koniecznym ich udziałem, bo w pochodzie swoim po lodowcach, przeżywają oni i przeżyć muszą wszystko, co umysł ludzki wyobrazić sobie jest w stanie.

To też kobiety wśród nich, należą do dających się na palcach zliczyć wyjątków, zwłaszcza, gdy wycieczki po niebezpieczniejszych, zakreślone są na dalsze przestrzenie, a sam raz jeden byłem nawet światkiem nad lodowcem

Rodanu, wykluczenia przez przewodników, nie tylko ich, ale kilku nawet młodych zuchowato i silnie prezentujących się Prusaków, którzy rwali się gwałtownie do drogi, z wycieczką skrupulatnie wybranych angielskich turystów, i choć potrzęsali, celem ułakomienia ich i uczynienia mniej twardymi w wyborze, głośno złotem w kieszeniach swoich, ze wstydem powrócić musieli do hotelu, gdyż ich za nic w świat śmierci nie odważyli się prowadzić ci, którzy odpowiedzialni byli za każde zdane pod ich opiekę, ludzkie życie.

Te lodowce, organicznem pochodzeniem swoim tak do siebie zbliżone, nie są przecież jakby mógł sądzić o tem ten kto ich nigdy nie oglądał, jedne do drugich podobne.

Przeciwnie, wyróżniają się od siebie znamienne, dają obraz wcale inny, niż rozszalałych huraganu powiewem, do których je niekiedy przyrównywają, wzburzonych mórz.

Bo choć jak tych ostatnich woda, lód wszędzie wszystkich ich bez wyjątku stanowi część składową, gdy woda poruszana wichru podmuchem silnym, układa się w dziwaczne co prawda, ale ujęte w jeden, że się tak wyrażę systemat figury, one tworzą coś tak fantastycznego nieraz i dziwaczного, że kiedy im się uważnie przygląda, zdumienie niewypowiedziane w patrzącym budzą.

Bo cóż to za figury różnolite uderzały mój wzrok, gdym się niejednokrotnie w nie wpatrywał, jakież dziwadła utrwaliły się w pamięci

mojej, gdy je dziś pisząc te słowa, przypominam.

Szczyt wydobywający się z ponad wdzięcznego Zermattu, wtulonego w zbocza gór tu i ówdzie porośniętych karykaturą zakrzewienia, wydobywa się piramidalnie przed wzrokiem, i w otoczeniu szeroką przestrzenią ciągnących się dokoła niego lodów, zuchwale bodzie rozstępujące się przed nim obłoki.

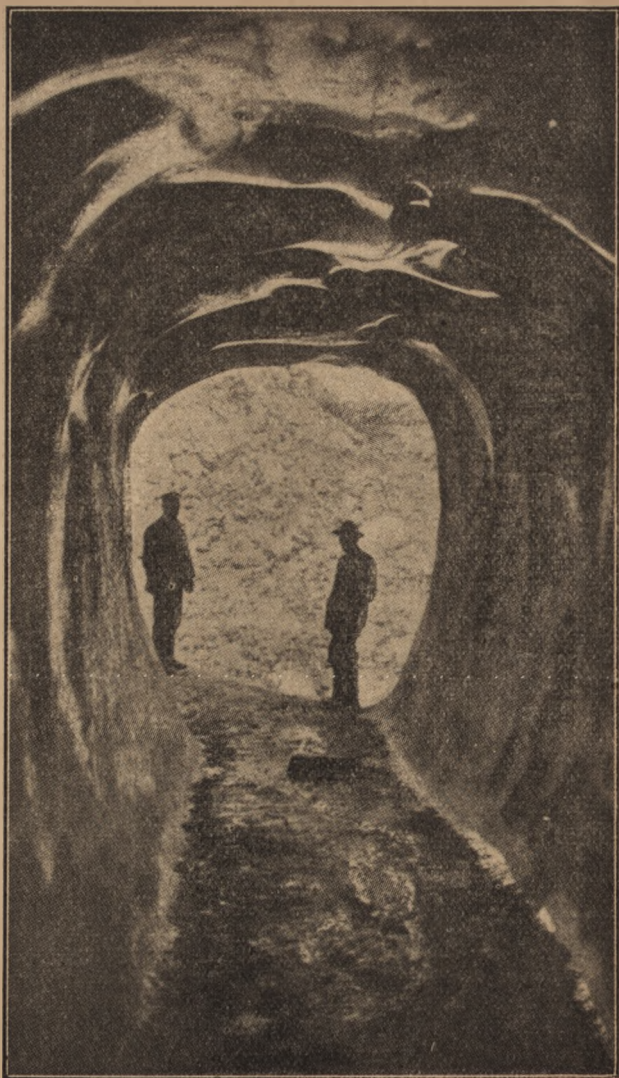
To Cerwin, olbrzym uniesiony na 4,505 metrów nad poziom morza, stoi tu w grozie budzącej ciekawość i przerażenie, zdając się urągać wszystkiemu, i wszystko trwożyć, co się ośmiela nie bacząc na niebezpieczeństwo, żyć tam u jego stóp w dole, w nadziei że nici istnienia nie porwie mu on w chwili szału swojego lub gniewu.

Gościńiec jak mleko biały, unoszący się lekkim spadkiem ku górze, dobrze udeptaną drogę śnieżną przywodzący na pamięć i w dali tylko ukazujący oczom kopce, wydobywające się z pośród białego otoczenia.

To Gorner, słynny w tych wierzchołkach gardzielem potoku, co w miejscach, w których powietrzostan to umożliwiał, toczy się szybko, żłobiąc sobie ścieżkę, wśród oswobodzonych tu i ówdzie ze skorupy lodowatej, dzikością nieopisaną przerażających skał.

Przysiadł się on do Breithornu, złął z nim w całość nieledwie jednolitą, i na wysokości nie o wiele od Cerwina niższej, tworzy nieruchomy ocean bieli.

A tam lodowiec Rodanu, płaszczyną sze-



ALTANA Z LODU NA LODOWCU.

roka i długą zachęca by się bez lęku puścić na jego szerokie przestworza, tam dwie kolejowe stacje: Wengernalp i Eigerwand, zdają się ludzić, że nie musi ten lód być w tych Alpach znowu strasznym, jeżeli do ich wnętrza człowiek wprowadzić potrafił przepelnione pasażerami wagony, tam Grindelwaldu, Wellhornu, i Wetterhornu nieruchome cielska, torujące ci co krok pochod naprzód, i przy pomocy jedynie lin i drabin, pozwalające się posuwać krok za krokiem.

I tak dalej i tak bez końca, jednostajność przy różnaitości płaszczyzn, przy przepaści spokój, przy grozie słodycz poezji sielskiej, przy piekle utworzonem nadludzka jakąś siła nie z tego świata Demonów i Tytanów, to co wabi ku sobie i odpycha, radość do duszy wlewa i w żyłach mrozi krew.

A to co znowu, co wśród skał czarnych bieli ci się na wyżynie i nizinach, wślizguje linjami łamanemi w skłębione groźne ich masy, żłobi sobie wśród ich cielsk strasznych raz drogi szerokie i przewiewne, to znowu ścieżki wąskie i pokręcone jak nici w kłębkach?

Na przestrzeni bez mała i powyżej czterech tysięcy metrów, wabi cię to ku sobie i odpycha, przyobiecując ogrom nieznanym ci dotąd rozkoszy, i ponurej niezawodnej jak amen w pacierzu śmierci, i kusząc niby piękna czarodziej-sko, ale zła jak sam szatan kobieta, z siłą której oprzeć się nie jesteś w stanie, ciągnie opętanego ich powabami ku sobie?

To Ochsen, Agassishorn i Finsterraarhorn, dziwołagi i straszydła, labirynty, w które gdybyś się bez nitki Aryjadny doświadczonej dostał, nie byłbyś nigdy w stanie opowiedzieć ludziom ludzkim głosem coś tam widział, które gdyby mówić potrafiły, powiedziałyby ci nie dla zachęcenia do wędrówki w tych światach, że nie jedna Aryjadna nosząca dziś nie mitologiczną tę ale „przewodnika”, po lodowcach nazwę, znalazła tu i to niejednokrotnie śmierć.

I to także lodowce.

Coś czego pojąć doprawdy kto tego nigdy nie widział niepodobna, czego groza, nie zna podobnej sobie w samem nawet Dantejskiem piekle, czego odzwierciedlenie wierne piórem lub ołówkiem i farbą, przechodzi człowiecze siły, co bujną wyobraźnią, przed duszy okiem ile tyle stworzyć sobie ale zawsze w karykaturze jedynie można.

Czego jednakże, we wspomnieniach tych, którzy śmiertelnem okiem to oglądali nie zatrze nigdy jako żywo czas, choć jak poeta powiada, skończy on wszystko i unieruchomi, „bo ma czas”.

Do wędrowania więc po tak dziwnych przestworach potrzeba niezawodnie odwagi szalonej skojarzonej z zuchwalstwem niesłychanem i lekceważeniem własnego życia, ale nie byłoby wśród lodowców tych karawan jakie dziś tam dają się dostrzegać, gdyby nie przyszedł im do pomocy bogaty aparat przewodników.

Oni są ich aniołami stróżami i duszą, i prze-

nikając sobą wszystko, organizacją w najdrobniejszych szczegółach wydoskonaloną, umożliwiają tłumom śmiazków, przenikanie do ich wnętrza.

Powiedział ktoś, że sto lat temu Anglicy wynaleźli Alpy szwajcarskie — być to może, gdzie bowiem nie przeniknęli oni w swoim poszukiwaniu nieznanego, ale gdyby czasy późniejsze nie wytworzyły całej armji tamtych, w ślady tych ostatnich wstępowałyby, szeregujące się z narodów innych nieliczne, energiczniejsze jednostki jedynie.

Że wstępują gromady, i to nic rasowo z wytrzymałością Anglosasów nie mające wspólnego, im nie komu innemu należy się za to hołd.

Jak nasz Tatrzański, tylko od Tatrzańskiego więcej może skupiony w sobie i zrównoważony, jest przewodnik Alp wysokich.

A zwłaszcza ten, którego specjalnością jest lodowiec.

Żywiół najgroźniejszy z pomiędzy groźnych, pełen niespodzianek i na każdym niemal kroku zasadzek.

Który zrzadka tylko darzy tem, co na dalszą zwłaszcza metę przyobiecował.

W którym jeden krok fałszywy, decyduje o życiu niejednego.

To też gdy przezorność, panowanie nad sobą, dar przewidywania, i hamowana na każdym kroku rozumem śmiałość, jest cechą każdego przeciętnego przewodnika po górach, ten który stoi na czele w sferę lodów wiecznych wypra-

wy, posiadać musi w stopniu podniesionym co najmniej do kwadratu, te właściwości.

Posiadają też je „lodowcowi“, że tak ich nazwę przewodnicy w Alpach, i gdyby nie oni, świat ten dziki i przerażający, byłby do dziś jedną wielką zagadką i tajemnicą.

Oni wyźłobili w nim drogi, ich to przeważna zasługa, że nie jest on dziś jednym olbrzymiem, niezbadanem pustkowiem, i cmentarzem.

Prawda, że przyszła im z pomocą nauka, że topografia Alp stanęła dziś na wysokości nieledwie topografji płaskich miejsc, prawda, że mają oni pod ręką stopy map, w orientacji więc swojej nie są pozostawieni samym sobie, — prawda, — ale gdyby nie ich instykt i hart, kroniki wędrówek ludzkich po lodowcach, zapisane byłyby wyłącznie nieledwie krwią.

Zapytywał mnie ktoś z wybierających się z Warszawy na lodowce, co też kosztuje wędrówka po nich, w towarzystwie odpowiedzialnych za ich całość i bezpieczeństwo.

Odpowiedziałem dwoma wyrazami: nieledwie nic,

Nie inaczej, jeżeli się zważy ogrom usług jakich się od nich doznaje.

Kiedym w czasie wojny, na przymusowy pobyt za granicą przez Prusaków skazany, zwędrowywał je wzdłuż i wszerz, pochód z Zermatu na straszny Cerwin taryfowany był na sto franków, Dent Blanche wymagał o 50 franków więcej, a mając ich 180 w kieszeni, można było

w plan swojej wycieczki włączyć, o wiele bez porównania śmielsze i dłuższe drogi.

Jeżeli więc do tych opłat niezbędnych, dodam koszt trażarza na plecach, pożywienia i cieplejszego ubrania, wyjdzie, że półtysiącem szwajcarskich franków, dawało się wtedy opędzić wszystko, co związane było z przeniknięciem w świat nieznany, w którym co krok przy niebycie doświadczonego kierownika, udziałem twoim stać się mógł grób.

Dużo? Być może na dzisiejszy kurs franka szwajcarskiego w Polsce, ale gdy się zważy co się dostaje wzamian za tę kwotę, i co ryzykuje ten z którego usługi korzystamy, zyska ona niezawodnie miano bajecznie nawet nieznaczej.

Bo ryzykuje on nieraz wszystko, byt swój i najukochańszych swoich.

Nie dla tego aby drogi wśród lodów nie znał, zna on ją i to nie od dziś dobrze, nie dla tego również, by nierozwaga wprowadzić go niekiedy mogła na ryzykowną ścieżkę, oblicza on bowiem wszystko zimno i trzeźwo, ale ponieważ wkraczając z osobnikami sobie nieznanymi w świat niebezpieczeństw, narażony, jest na ich nieprzewidziane odruchy i postanowienia, których odgadnąć nigdy nie jest w stanie, a których następstwa fatalne, gdy je sparaliżować usiłuje, kosztują go nieraz wszystko.

W lipcu 1865 roku, kilku Anglików zamierzyło zwiedzić, jeden z mniej wówczas znanych lodowców kantonu Vallis.

Zamówili więc sobie przewodnika, i w do-

świadczonem jego towarzystwie śmiało wyruszyli naprzód.

Dla bezpieczeństwa połączyli się z sobą grubym sznurem.

Droga pod górę poszła im sprawnie i gładko, lecz przy schodzeniu, pierwszy kroczący nad przepaścią, czy przez nieostrożność czy zuchwalstwo, zrobił fałszywy krok.

I potoczył się w mroźną otchłań, wciągając w nią za sobą współtowarzyszów, a wśród nich i tego który był ich opiekunem i drogowskazem.

Otóż wypadki takie, zarejestrowane w kronikach Alp, nie należą niestety do wyjątków.

Zdarzyły się dawniej często bardzo, dziś zdarzają się o wiele rzadziej, ale zdarzają się przecież niestety.

Kto więc powie, że płaca jaką za usługi swoje pobierają lodowcowi przewodnicy w Alpach, nie jest równomierną ich poświęceniu i zasłudze?

Kto?

Każdy z podróżujących po wysokich Alpach, obcując z przewodnikami po niebezpiecznych miejscach, podziwiał zawsze, przy ich nieustraszoneści, nadzwyczajnie zimną ich krew.

Kiedym bawił w górach, opowiadano mi na świadectwo tej ostatniej, następujący wypadek.

Pewien Amerykanin lat temu szereg dłuższy, zamierzył dotrzeć po lodach na najwyższy szczyt Cerwinu,

Droga była bardzo niebezpieczna ścieżki

oślizgłe wymagały niesłychanej przytomności, przepaście niezgłębione dawały się widzieć kroczącym naprzód wszędzie.

Choć więc zuchowatym był on bardzo, nie pewny przecież życia, wziął z sobą nie rachując się z kieszenią, dwóch przewodników.

I przywiązał ich liną do siebie, jednego przed, a drugiego po za sobą,

I nucąc swój narodowy hymn, wyruszył z niemi w drogę.

Ale przewodnikowi idącemu przed nim, poślizgnęła się nad przepaścią noga.

I stoczył się ku jej głębiom jak piłka.

Ciągnąc za sobą Amerykanina, który zwiśł za nim, podczas gdy przewodnik pierwszy, nadludzkim wysiłkiem uchwycił się lodowatego zbocza, i wtłoczywszy obie nogi w skaliste jamy, zatrzymał się nieporuszony jak mur.

Utrzymując Herkulesową swoją dłonią obu, tego który nad przepaścią wisiał, i tego który po jej brzegu staczał się ku niej.

Niebezpieczeństwo było straszne, jedno mrugnięcie oka, i dwaj żyjący ludzie, przemienić się lada chwila mogli, w dwa skostniałe trupy.

Wyczuł to Amerykanin, i chcąc uratować się kosztem tego, który na drodze śmierci go poprzedzał, wyjmując z kieszeni szybko nóż, i czując, że stojącemu pozanim przewodnikowi wyratować dwóch będzie niepodobieństwem a jego jednego możliwością, kieruje takowy w stronę sznura, którego kurczowo trzymał się jego towarzysz.

Ale dostrzega to przewodnik pierwszy, nie podnosząc przecież wcale głosu, wydobywa z pochwy przy boku, nie odstępujący go nigdy ostry jak brzytwa kozik, i najspokojniej w świecie odzywa się w kulawej angielszczyźnie do niego, zimnemi jak lód otaczający ich dokoła, temi słowy: „Milordzie, jeżeli dokonasz tego co zamierzyłeś, jak Bóg na niebie, przecinam z wami oboma linę”.

Groźba skutkuje, a po chwili nadludzkiem jego wysiłkiem, wyciągnięci zostają na brzeg obaj.

Zwiedzający Alpy szwajcarskie i to co w tych Alpach jest najstraszniejszego, świat wiecznych lodów, na przewodników zatem swoich liczyć jak na Zawiszę mogą zawsze, nie tylko dla tego że rekrutują się oni z wyjątkowo odważnej i przytomnej warstwy ludzi, ale że zaliczają się do zwartej zawodowej, i poważaniem ogólnem cieszącej się korporacji.

Dla której honor jest nieledwie wszystkim, —

Która go ceni ponad samo nawet życie.

To też nikt z tych, którzy do tej korporacji się zaliczają, nie zejdzie nigdy tchórzliwie z najniebezpieczniejszego nawet stanowiska, nikt dla uratowania swojego istnienia, nie poświęci tego, który się powierzył jego opiece, i raz skojarzony, dla doprowadzenia do skutku, uplanowanej z nieznanym mu jeszcze wczoraj z dalekiego świata przybyszem wycieczki, zlewa się z nim od tej chwili w jedno, z nim wy-

trwale znosi wszelki najcięższy nawet trud, z nim, gdy okaże się konieczność, — ginie.

Jestże, — odpowiedzmy sobie na to pytanie, zapłata, zdolna zrównoważyć coś podobnego, jestże w najbogatszym nawet języku świata wyraz, który byłby w stanie oddać należycie to, co stanowi życia tych wszystkich dzielnych ludzi, — rdzeń?

.....
 Światem śmierci nazywają powszechnie świat lodowców.

Istotnie zmartwiało tu od wieków na czem oko spoczęło wczoraj i spocznie jutro wszystko, i gdy w świat ten osobliwy i straszny wstąpisz, za każdym krokiem przerażający jej obraz mieć będziesz przed oczami wszędzie.

Aromat ani barwa kwiecia nie zachwyci nigdzie powonienia twego i wzroku, ptak nigdzie wesołym swoim świergotem nie nastroi radośnie twojej duszy, nigdzie jak w Mickiewiczowskim Sonecie Krymskim na stepie, „gad ślizgą pierśią nie dotknie się tu zioła“.

Wszystko w nieprzespanym dokoła letargu, śpi.

I jedno tylko słońce i gwiazdy, w milczeniu przesuwają się ponad twoją głową, jedne one po za tą nikłą gromadą współwędrowców, łączą cię z tem, co myśli kocha i cierpi, bo żyje, podczas gdy wszystko na co na prawo i na lewo skierujesz swój ciekawy ale i przerażony wzrok, owiane jest snu głębokiego i niezbudzonego, pełnym tajemniczości śmierci podmuchem.

Ale ta śmierć jest w gruncie rzeczy śmierci wiecznej pozorem i ułudą.

I tu jak wszędzie, jest utajony, pulsujący nieznacznie wprawdzie, ale bezustannie, ruch.

Wskazówka na zegarze życia i tu postępuje naprzód.

Cicho i niedostrzegalnie, niepowstrzymana przecież ani na jedną chwilę, nieprzerwanie i ciągle.

Zauważono, że ścięte w swojej martwocie lody, ze szkieltami skostniałych nieszczęśników, nieraz obniżają się powoli lecz bezustannie ku dołowi, że od czasu do czasu odnajdowano na ich nizinach to, co na wyżynie podróżujących niegdyś samotnie, było posiadaniem,

Że u spadków ich olbrzymiego i pozornie martwego cielska, doszukano się źródeł wielkich rzek.

I w tym strasznym więc miejscu, śmierć nie jest wszechmocą monarchinią i panią,

I tu nie podporządkowuje wszechwładzy swojej, życia,

I w tym oceanie utajonego bezruchu i martwoty, jak wszędzie na czem oko Boga spoczęło, kolebka, ta błogosławiona zapowiedź rozkwitu wszechstworzenia, ponad którą uszczęśliwiona matka wyciąga radośnie ręce do igrającego w niej niemowlęcia, ociera się o zamykającą na wieki, przedwcześnie zmartwiałego jej dziecka, zwłoki, — trumnę.





ŚWIAT WIECZNYCH LODÓW.

ROZDZIAŁ XXIII.

Konstytucja Szwajcarii. Ogólny jej zarys.

Dzisiejsza Konstytucja Szwajcarii datuje od dnia 29 maja 1874 roku.

W dniu 19 kwietnia tegoż roku, głosami 340.199 obywateli uchwalono ją w miejsce poprzedniej, od roku 1848 obowiązującej.

Uchwała nie była jednomyślną, znaczna liczba Szwajcarów (198,013) nie zgodziła się na jej przyjęcie, w myśl przecież obowiązujących ustaw, jako wyraz woli większości, weszła bezwzględnie w życie. I do dziś pozostaje w ojczyźnie Tella w swojej mocy.

Nie będąc jednolitem dziełem, owszem dając obraz raczej kompilacyjnej budowli, do dnia dzisiejszego nie przetrwała ona bez zmiany w kształcie, w jakim ją pierwotnie uchwalono, i poczynając od roku 1879 ulegała kilkanaście razy częściowym zmianom.

„W celu wzmocnienia związkowego państwa, zabezpieczenia jego jedności, siły i honoru, nadał sobie naród szwajcarski tę Konstytu-

cję", — tak głoszą początkowe jej wyrazy, które poprzedza zaznaczenie, że dokonał on tego, „w imieniu Wszechmogącego Boga“.

W jego też imieniu, 22 kantony złączone są z sobą, tworzą związek mający na celu, jak głosi artykuł 2-gi, zapewnienie niezależności politycznej Szwajcarii, utrzymanie porządku i spokoju wewnątrz kraju, ochronę wolności i praw związkowców.

Aby to osiągnąć, nie targnęła się przecież Konstytucja szwajcarska na właściwości i odrębności związkowców prowincjonalne, na ołtarzu całości nie poświęciła przywilejów części. Przeciwnie, w artykule następnym zadokumentowała ich samodzielność. Stanowiąc, że każdy kanton jest u siebie zwierzchniczym (souverain).

A teraz artykuł 4-ty, bardzo ważny i bardzo dla wolności Szwajcarii drogocenny.

„Wszyscy Szwajcarzy, — oto jego brzmienie, — „są równi wobec prawa. Niema w Szwajcarii żadnych stosunków poddańczych, żadnych przywilejów miejsca urodzenia, rodzin albo osób“.

Równość w najściślejszem tego słowa znaczeniu.

Nie znane tu są więc mniej wartościowe narodowości, jak w Prusach i barbarzyńskiej Moskwie, — każdy Szwajcar jakimkolwiek językiem przemawia, korzysta z pełni praw.

Pełnoprawne w granicach swojej suwerenności, o ile ta ich suwerenność nie jest ograni-

czona przez Konstytucję Związku, (art. 3-ci), kantony szwajcarskie nie mają przecież prawa zawierania umów natury politycznej pomiędzy sobą, ani też umów państwowych celnych i handlowych z zagranicą. Prawo wypowiedzenia wojny i zawierania pokoju (art. 8-y) przysługuje wyłącznie Związkowi.

„Wyjątkowo“ (ausnamsweise), — jak się wyraża artykuł, 8-y, mogą kantony zawierać z zagranicą układy, dotyczące niektórych swoich wewnętrznych spraw, (gospodarstwo, komunikacje, policja). Układy te jednak nie mogą szkodzić ani całości Szwajcarii, ani poszczególnym jej częściom.

Żaden Szwajcar pozostający w służbie publicznej (art. 12-y) nie może od żadnego obcego rządu pobierać pensji, otrzymywać podarunków, tytułów ani orderów. Stosuje się to zarówno do osób cywilnych jak i wojskowych.

Wedle artykułu 13-go, Związek niema prawa utrzymywania stałego wojska, a stała siła zbrojna każdego kantonu, nie może przekraczać 300 ludzi.

Artykuł 18-y stanowi, że każdy Szwajcar obowiązany jest do służby wojskowej, a artykuł 20-ty, że rzeczą jest Związku prawodawstwo dotyczące siły zbrojnej w Szwajcarii.

Rząd Związkowy (art. 27-my) troszczy się o najwyższe zakłady naukowe w kraju, kantony jednak o swoje początkowe szkolnictwo, które jest obowiązkowe dla wszystkich i bezpłatne.

Do szkół publicznych dopuszczani są wszyscy, bez względu na wyznanie religijne. Przeciwno kantonom, które naruszają te obowiązki, Związkowi przysługuje prawo przedsięwzięcia stosownych, niezbędnych do urzeczywistnienia postanowień tych, kroków, dopomagając im materialnie do wykonywania powyższych, w zakresie zarządu ludowego szkolnictwa.

Organizacja, kierunek i nadzór nad szkołami początkowymi jest rzeczą kantonu.

W dziedzinie celnej, Związek jest wszechwładny, jemu wyłącznie przysługuje prawo pobierania celnych opłat. W dziedzinie tej głosi art. 29, następujące zasady są obowiązujące: przedmioty niezbędne do gospodarstwa i przemysłu ulegają najmniejszemu ocleniu, niemniej jak i produkty konieczne do życia.

Za to przedmioty zbytku obciążone są najwyższem cłem, a cła wywozowe są możliwie niskie.

Art. 31-y zapewnia handlowi w całej Szwajcarji zupełną wolność.

Związkowi przysługuje prawo (art. 34-y) wydawania jednolitych postanowień dotyczących pracy dzieci w fabrykach i godzin zajęcie dorosłych. Również może on wydawać obowiązujące rozporządzenia związane z bezpieczeństwem pracujących w nim osób.

Domy gry zakazane są w całej Szwajcarji.

Poczta i telegraf należą wyłącznie do Związku. Zapewniona jest tajemnica korespon-

dencji (art. 34-y). Również są rzeczą związku sprawy walutowe, miary i wagi, wyrób i sprzedaż prochu.

Obywatel każdego kantonu jest obywatelem szwajcarskim, i jako taki ma prawo udziału w wyborach i głosowaniach publicznych. Każdy Szwajcar w miejscu swego zamieszkania korzysta z praw kantonalnych, a jednocześnie i z praw ogólnych. Prawo głosu uzyskuje on na zasadzie trzymiesięcznego zamieszkiwania w jednym miejscu.

Żaden kanton niema prawa (art. 44 i 45) wydalić ze swoich granic żadnego obywatela, każdy z nich ma prawo przenoszenia się z miejsca na miejsce i obierania sobie w granicach Szwajcarii dowolnego zamieszkania, o ile naturalnie nie wszedł w zatarg z kodeksem karnym.

Niezmiernie ważny jest art. 49-y.

Głosi on, że wolność wyznania i sumienia jest nienaruszalna.

„Nikt nie może być karany za przynależność do jakiegokolwiek religijnego związku”.

O wychowaniu religijnem dzieci do skończonych lat szesnastu stanowią rodzice lub opiekunowie, przekonania religijne nie zwalniają żadnego Szwajcara od wykonywania obowiązków obywatelskich, a swobodne wypełnianie obrządków religijnych (art. 50-y) jest zagwarantowane każdemu.

Musi ono przecież nie naruszać, zasad moralności i porządku.

Pewnego rodzaju wyjątkiem od tego przepisu jest artykuł następny 51.

Zabrania on Jezuitom i pokrewnym im ideowo stowarzyszeniom pobytu w Szwajcarii i spełniania obowiązków bądź w kościele bądź w szkole. Zakaz ten może być rozciągnięty i na inne religijne związki, których działalność jest bądź niebezpieczna dla państwa, bądź też zakłóca religijny spokój.

Niedopuszczalne jest zakładanie lub powoływanie do życia zamkniętych nowych klasztorów (art. 52).

Art. 55-ty gwarantuje wolność prasie, 56 wolność związkom i zgromadzeniom, a art. 57 podawanie petycji. Areszt za długi jest w Szwajcarii zniesiony (art. 59).

Art. 65-ty nie dopuszcza kary śmierci za polityczne przestępstwa jak również i kar cielesnych.

Na zasadzie art. 70-go, Związkowi (ale tylko Związkowi nie kantonom) przysługuje prawo wydalania z granic Szwajcarii cudzoziemców.

Oto są w ogólnym zarysie główne zasady ostatniej konstytucji Szwajcarii.

Owoc głębokiej rozważki i doświadczenia, jest ona wyrazem woli znacznej większości obywateli tego kraju, i jako taka nie może być pominięta w dziele odzwierciadlającym obraz tego kraju.

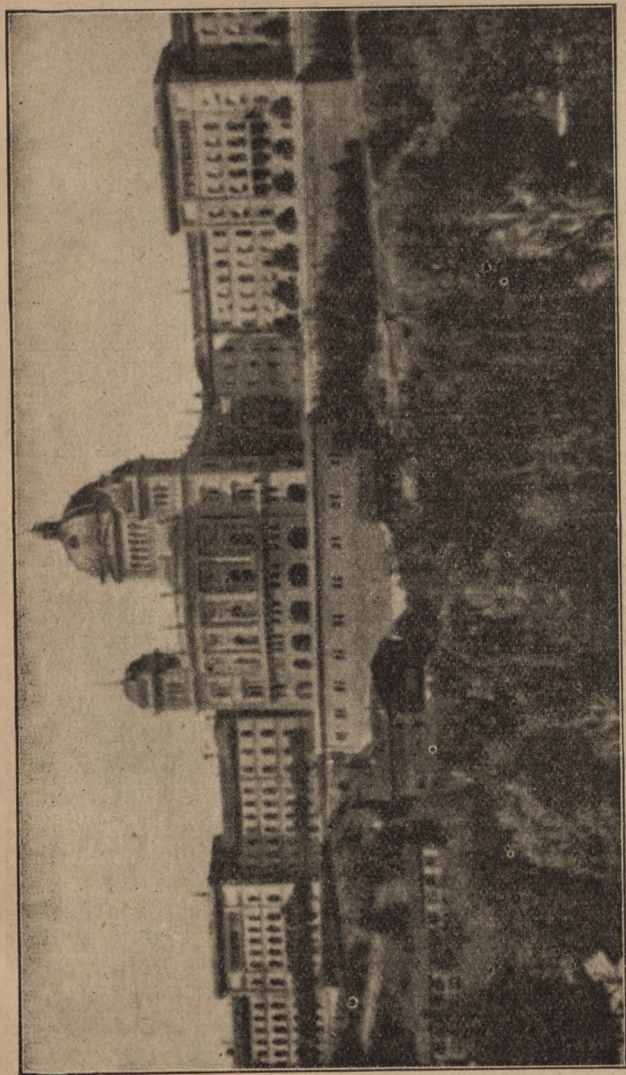
Podstawą jej jest równość wszystkich w obliczu prawa, a wolność nic wspólnego nie

mająca z samowolą i anarchją ożywia ją od początku do końca.

Jak każde dzieło ludzkie, w kolei czasów przyszłych ulegnie naturalnie i ta konstytucja (jak to ma miejsce i obecnie) poprawkom i uzupełnieniom, zastąpiona wreszcie inną zostanie, dopóki jednak to nie nastąpi, jest ona wysokiego znania godną, niepospolitej wartości, regulatorką politycznego życia prawdziwie wielkiego narodu, którego myśli i duchy zestrzelają się szczytnie i promiennie, w jasnym jej ognisku.

I jako taka, na uwagę bacznią każdego, a zwłaszcza nas Polaków, zasługuje.





GMACH PARLAMENTU SZWAJCARSKIEGO.

ROZDZIAŁ XXIV

*Światła i cienie w politycznym życiu Szwajcarji.
Jej niedola i dola. Jaką naukę czerpać zawsze
Polak powinien z tego kraju. Zakończenie.*

A teraz na zakończenie słów kilka.

Ta piękna, mało piękna, uroczo — czarodziejska Szwajcarja, gdzie każdy najskromniejszy nawet zakątek darzy przybysza ze stron obcych obrazami pozostawiającemi niezatarty ślad w duszy, w której na każdym nieledwie kroku Polak czerpać może i powinien na drodze prowadzącej do odrodzenia wyzwolonej z grobu bohaterskiej i męczeńskiej Ojczyzny, naukę, ta Szwajcarji w kolei długich krwawych wieków, w zwalczaniu przeciwności hartowała swojego ducha, zanim zaimponowała światu pełnią cnót i przymiotów, wyróżniających ją ponad narody inne.

Od chwili gdy synowie jej zagrożeni w swoim niezależnym bycie, zrozumiałwszy to o czem my powstałi tak niedawno z grobu i otoczeni zagrożającymi naszej niezawisłości wro-

gami nigdy zapominać nie powinniśmy, że w jedności i zgodzie spoczywa siła pragnących żyć narodów, kiedy w roku 1291 zawarli pierwszy związek, scementowawszy go w 24 lata później obficie pod Morgarten krwią, wzmagali wciąż narodowe siły, póki nie stworzyli związku, na który podnieść chciwą rękę nie ośmielił się już po dziś nikt.

Nie po różach przecież wiła się im i ich następcom do ostatnich nieledwie czasów droga. I oni mieli promienną i chmurną dolę.

Zabezpieczni raz na zawsze od najazdów chciwych cudzego z zewnątrz, wewnątrz toczeni byli rakiem niedomagań i nadurzyć, a w 17 jeszcze i 18 nawet wiekach, oligarchja ich wysysała wszystkie żywotne siły z ludu. Panowie werbując w kraju własnych ochotników do służby cudzoziemskiej, tak dalece bogacili się i pęcznieli frymarcząc krwią prostego ludu, sprzedawanego jak rzeczy władcóm obcych krajów, że oburzony tem do żywego Teodor Curti, napiętował niegodziwe ich postępowanie, takimi wstrząsającemi słowy: „magnaci szwajcarscy prowadzą walecznością Szwajcarów najhaniebniejszy handel. Służąc swojemu bogu mamonie, schylają oni pokornie głowy przed wolą cudzoziemskich monarchów”.

To też rządy w Szwajcarji były jak to współcześni stwierdzają jednym szeregiem gwłatów i rabunków, doprowadzających kraj do takiej ruiny, że jeszcze w ostatniej połowie 18 wieku, Jan Müller, w dzienniku podróży

swojej po Helwecji, pozostawił potomnym takie sprawozdawcze słowa:

„Wszędzie uderza kiedy się w tym kraju przebywa, widok nie już biedy, ale bezgranicznej nędzy, wszędzie wpadają w oczy głodem strawione twarze tych nielicznych ludzi, których się po drodze powłóczących nogami i w łachmany przyodzianych spotyka. Domy ich podobne są raczej do jaskiń dzikich zwierząt, niż do mieszkań dla ludzi”.

Tak było w Szwajcarii jeszcze w roku 1777, w pięć lat po zbrodni pierwszego rozbioru naszej Ojczyzny, którą przy obojętności krótkowzrocznej Europy, bezczeszcząc nas, ograbili barbarzyński moskal z faryzejską Austrią, za wskazówką największego rabusia narodów prusaka, upozorowawszy swój gwałt niesłychany rzekomą potrzebą ochroniania swoich państw, od zgnilizny toczącej w ich twierdzeniu, nasz naród.

Zajrzyjmy do historii Szwajcarii, a usłyszymy z ust nie dzisiejszego pisarza Hilty, że czas bardzo długi, była federacja szwajcarska tworem na zewnątrz wszelkiej siły pozbawionym, a wewnątrz tak zmurszałym, że, czego u nas nie było, buntury ludowe już w 15 wieku były w niej niemal na porządku dziennym, a w roku 1653 szalała w tym kraju wojna chłopska, rozpętana nie czem innym w tem państwie, jak nieprawidłowym stosunkiem panów do chłopów.

Jak my więc pod Płowcami, Grunwaldem,

Pskowem, Kircholem, Cecorą, Chocimem i Wiedniem, — i Szwajcarja męstwem, (po za Morgarten) podobnież popisać się może (nie w tym oczywiście stopniu co my), ale z nierzędem naszym w czasach pojagiellońskich, a zwłaszcza saskich, pozostaje ona w powinowactwie z nami blizkiem, a niekiedy nawet nasz nierzęd przewyższa. Jeżeli więc pomimo to nie stał się udziałem jej los, jakiego doczekaliśmy się niestety w ostatniej ćwierci 18 stulecia, to bynajmniej nie z tego powodu, jak twierdzą nasi rabusie i oszczercy, żeśmy rozkładem wewnętrznym górowali nad innymi narodami, ale dzięki temu jedynie, że nie miała ona w swoim pobliżu takich wampirów jak Fryderyk II pruski i moskiewska Katarzyna, ta — jak ją dowcipnie nazwał wielki poeta Anglii Byron, — królowa rozpustnic, (queen of keens).

Gdyby bowiem miała ich jak my, nad Aarą i górnym Renem, spełnioną zostałaby taka sama zbrodnia rozbioru, jaką zapisała historia nasza nad Wartą, Wisłą, Niemnem, Wilją i Dniestrem, i nad Europą zaciążyłby za ten rozbiór, „grzech śmiertelny“, (jak rozbiór Polski nazwał słynny francuski pisarz ksiądz Gratry), już nie jeden tylko, ale dwa.

Gdyby dzieje choćby Europy tylko, znane lepiej były ogółowi niż dziś są, cyniczna i bezczelna argumentacja naszych katów, że upadek Polski był koniecznością i bezpośrednim następstwem naszego wewnętrznego zepsucia, nie zaś dziełem gwałtu dziejowych

oprysków i bandytów, przez stokilkadziesiąt lat, nie spoczywałyby na historycznych naszych sumieniach, taki nieuzasadniony niczem i kłamliwy wyrzut.

Więc przyglądając się dziejom Szwajcarii, i zestawiając je z dziejami naszymi, jakąż naukę czerpać może dla siebie każdy bez wyjątku, myślący Polak?

Oto że i ona tak jak my w paśmie stuleci długich przechodziła koleje jeśli nie jak my jednakże, to jednak bardzo do naszych podobne, oto że podobna nam w bohaterstwie na polach chwały, miała i ona swoje epoki zmięczenia i rozkładu wewnętrznego.

Tak jak my.

Ale jeżeli pomimo wszystko co przez czas długi paraliżowało jej prawidłowy rozwój, otrząsnęła się ona przed naszymi niemal oczyma, z toczącej ją wewnątrz rdzy, i my również, którym tyle wrogowie nasi pod tym względem mają do wyrzucenia, prędzej czy później otrząśniemy się ze śladów takowej, pod jednym tylko przeciwieństwem warunkiem.

Że pracą nieustającą, zgodą i miłością Ojczyzny przepojeni, imponować po dniach rozterek światu będziemy, i jak Szwajcarija, zestrzeliwszy myśli i duchy nasze w jedno szczytne ognisko, staniemy się na wschodzie Europy tem, czem na zachodzie ona dziś jest: stróżami, na karność i porządku wspartej, wolności.

Wtedy historia na kartach swoich zapisze o nas nie tylko to, że byliśmy państwem wiel-

kiem, ale i to także, że z wielkością terytorjalną połączyliśmy, o wiele cenniejszą wielkość,—służącego prawdziwie wielkim celom:—chrześcijańskimi ideałami przepojonego nawszkroś narodu

Tak nam dopomóż Bóg!

K O N I E C.

Pisałem w Szwajcarii, w chwilach ostatnich, w srogiem jarzmie katów naszych, naszej niewoli.



Omyłka druku.

Do str. 177. Mickiewicz przybył z Odyńcem do Splügen w Alpach nie we Wrześniu 1824, lecz 1829 roku.

SPIS ROZDZIAŁÓW

	str.
Rozdział I. Wielkopolska Szwajcarów. Kolebka ich niezależności i kuźnia ich swobód. Legenda Tella. Lubo nigdy nie istniał żyje i żyć będzie wiecznie. Głos krytyki historycznej. Ślepa wiara ludu. Pjetyzm godny uczczenia. . . .	8
Rozdział II. Jeziozem Czterech Kantonów. Co się widzi z pokładu płynącego statku? Kapryśnica natura i jej osobliwości. Wobec uroku wód i pejzażów. Poezja i groza. Pieczęć fantazji ludu. W kaplicy Tella. Czem są gminne dzieje?	15
Rozdział III. Dzierżawca jeziora Czterech Kantonów. Lucerna. Siedm mostów dla 40 tysięcy ludzi. Wobec tańca	

śmierci. W starem mieście.
Pacyfista z przed wieków.
Muzeum pokoju. Lew Thor-
waldsena i ogród lodowców.
Myśl o naszych Tatrach. 26

Rozdział IV. W kantonie bajecznej le-
gendy. Przed pomnikiem
w Walddorfie. Co nam uka-
zał artysta wielki? Lud dłu-
gi czas po za światem. Ko-
lej Gotharda. Wcielenie mi-
łości ojczyzny i ofiarności.
W kantonie Unterwalden. 37

Rozdział V. Kraj przez pół katolicki.
Ze statystyki wyznaniowej.
Częstochowa Szwajcarów.
Podobieństwa i różnice. 59

Rozdział VI. Kanton trzech stref Szwaj-
carji. Ogólna jego charak-
terystyka. Bern. Staroświec-
ki wygląd śródmieścia. Pa-
norama z pod stopnia Ka-
tedry. Klejnot nad klejno-
tami. W pałacu Rady Związ-
kowej. 66

Rozdział VII Oberland Berneński. Dwa
jeziora bliźnie. Ich chara-
kter. Interlaken. Słótko o
przemysle ludowym. Czem
pociąga ku sobie Meiringen? 79

	str.
Rozdział VIII. Meringen. Dwa wodospady. Gardziel Aary. Wspomnienie Słowackiego przed wodospadem. Dwa wyjścia z Bernu w Romański świat.	90
Rozdział IX. W Atenach Limatu. Przewodnicza rola Zurychu w Szwajcarji. Woda na każdym kroku. Wspomnienie Zwingliego. Miasto nauki i przemysłu.	103
Rozdział X. Tam gdzie umarł Kościuszko. Wisła Szwajcarji. Solura. Miasto Polakowi najdroższe. Jego osobliwości. Z pobytu w niem bohatera dwóch światów. Z ostatnich chwil Kościuszki. Jego ostatni dom i grób.	117
Rozdział XI. Kraj bez przywilejów. Pięćwiekowa praca zjednoczenia Szwajcarji. Echo patriarchalnych czasów. Z mojego pobytu w Appenzell. Na placu ludowych obrad. .	129
Rozdział XII. Najmniej malownicze miasto Szwajcarji. Słówko o Renie. Miasto przemysłu i handlu. Katedra i Ratusz Bazylei. Polityczna osobliwość.	141

IV

	str.
Rozdział XIII. Najmniejszy lud największego kantonu. Retoromanie. Ich język i poezja ludowa. Fizycznie słabi a jednak silni duchem. Wytwarzają.	151
Rozdział XIV Engadina. Dolina Innu. Źródła i zakłady lecznicze. Cud inżynierji. Narodowy park. Pożegnanie Engadiny.	158
Rozdział XV. Ogólna charakterystyka kantonu Gryzońskiego. Cyfr i uwag nieco. Wspomnienie Mickiewicza na Alpach w Splügen.	172
Rozdział XVI. Na prograniczu dwóch języków. Napór germanizmu na świat romański. Fryburg. Wspomnienie Polski w katedrze. Słówko o zakładach naukowych tego miasta. .	181
Rozdział XVII. Największe jezioro Szwajcarii. Lozanna. Czar tego miasta. Gmach Sprawiedliwości i katedra. Francuzka uczelnia młodzieży. . . .	194
Rozdział XVIII Niewłaściwa nazwa jeziora. Genewa. Położenie miasta. Wspomnienie Kalwina. Przed pomnikiem księcia Brunswickiego.	203

	str.
Rozdział XIX. Kanton Valis. Charakterystyka kantonu. Sion. W świetle Zermattu. Góra św. Bernarda i myśli jakie się na niej do głowy cisną.	218
Rozdział XX. Kanton fabrykacji zegarków. Neuchatel. Pomnik człowieka rozumu i serca. Chaux de Fonds i Locle.	237
Rozdział XXI. Koleją i pieszo po Szwajcarji włoskiej. Osobliwości tego kantonu. Ziemia ciepła i światła. Locarno.	248
Rozdział XXII. Lodowce Szwajcarji. Ich rozmiary i ogólna liczba. Słówko o przewodnikach. W świetle śmierci.	261
Rozdział XXIII. Konstytucja Szwajcarji. Ogólny jej zarys.	278
Rozdział XXIV. Światła i cienie w politycznym życiu Szwajcarji. Jej niedola i dola. Jaką naukę czerpać zawsze Polak powinien z tego kraju? Zakończenie.	286

